

ANNA KLÓDZIŃSKA

**T**aniec  
**S**zkieletów

**ANNA KŁODZIŃSKA**

# **Taniec szkieletów**



**WYDAWNICTWO  
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

Okładkę projektowała

ELIZA MAZURKIEWICZ

Redaktor

WIESŁAWA ZANIEWSKA

Redaktor techniczny

DANUTA WDOWCZYK

*Pięć tysięcy dziewięćset druga*

*publikacja Wydawnictwa MON*

Printed In Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1977 r.

Wydanie I

Nakład 120 000+350 egz.

Objętość 8,47 ark, wyd., 7,25 ark, druk.

Papier druk sat. VII kl. 65 g, z roli 63 cm X

Głuchotańskich Zakładów Papierniczych.

Oddano do składu 6. VIII.76 r.,

druk ukończono w styczniu 1977 r.

w Wojskowych Zakładach Graficznych

w Warszawie.

Zam. 773 z dnia 17.08.1976 r.

Cena zł 16.-.

## Rozdział 1

– Krzyk... Tak, to był krzyk człowieka. Raz czy dwa krzyknął? Nie pamiętam. Ale słyszałem go poprzez huk pociągu. I mimo wiatru, bo wtedy wiał wiatr. Zadymka była, śnieg walił. Jak teraz.

Major słuchał uważnie, nie przerywając ani jednym słowem. Wąskie, czarne oczy paliły mu się pod ciemnymi brwiami, patrzył prosto w oczy tamtego i siłą swego wzroku jakby zmuszał go do ścisłej, rzeczowej relacji. Gawran lubił inaczej – długo, rozwlekle, z fantazją, przeplatając prawdę z tym, co mu niosła wyobraźnia. Żeby go słuchali, z rozdzielonymi gębami, w skupionej ciszy, w której każdy stara się nie uronić ani słowa. Cóż, kiedy teraz trzeba było samą prawdę. A prawdy są na ogół mniej ciekawe niż Gawranowa fantazja.

Podniósł się z krzesła, poprawił ogień w piecu, bo siedzieli w kuchni, tu było ciepłej. Gawranowa westchnęła ciężko. Ona

też lubiła opowiadać, jednakże mąż miał pierwszeństwo w chałupie. Żeby, nie być już taką ostatnią, jak ta noga stołowa, zakrzętała się koło herbaty, postawiła przed oficerem szklan-  
kę i cukier, chłopu dała w dużym, półlitrowym kubku, „Jego”  
kubku. Kiedy raz dała mu w szklance, rozbił ją o ścianę, i tyle.

– Ten krzyk – zaczął major z namysłem – słyszał pan przed hałasem nadjeżdżającego pociągu? Czy po?

– Nie. Ani przed, ani po. To było tak razem. Jedno z dru-  
gim.

– Ile metrów jest stąd do torów?

– Dokładnie trzydzieści sześć. Bo mierzyłem kiedyś, jak mi pociąg owcę przejechał. Sołtys mówił, że mogą dać od-  
szkodowanie, bo tor leci za blisko budynków gospodarskich.

– Ale nie dali! – wtrąciła szybko Gawranowa.

– Cicho, stara. Dali nie dali, owca nie ma tu nic do rze-  
czy. Pan major chce wiedzieć o człowieku.

– Słyszał pan krzyk, ale przecież była noc, zima, okna  
zamknięte. Nie spał pan jeszcze?

– Spałem. Ten pośpieszny leci o pierwszej dwadzieścia, a  
jak się spóźni, to i o drugiej. Tamtej nocy był koło nas pół do  
drugiej. Zbudziłem się chwilę przedtem, sam nie wiem dla-  
czego. Może przez ten wiatr. Rzucił śniegiem w okna.

– Psa żeś wpuścił do domu! – znowu wmieszała się żona.

– Cicho, stara. Psa wpuściłem, prawda, bo mi żal było,

skomlał na dworze, pewnie zmarł. Więc może z tego skomlenia się zbudziłem. No i słyszę, że pociąg nadjeżdża. Uchyliłem drzwi, taką szparkę zrobiłem, bo lubię popatrzeć na pośpieszyny. Chwilkęostałem, długo nie, bo śniegu zaraz nasypało do sieni.

– I wtedy słyszał pan krzyk?

– Tak. Pomyślałem, że ktoś okno w przedziale otworzył i krzyczy. Rano już o tym zapomniałem. Dopiero wczoraj, jak pies rozgrzebał zaspę...

Gawranowa wzdrygnęła się.

– Tyle czasu leżał obok chałupy, a my nic nie wiedzieli – szepnęła ze zgrozą. – Chryste Panie, jakie to ludzie są! – dodała, nie wiadomo pod którym adresem.

Skrzypnęły drzwi od sieni, pies zerwał się spod stołu, zaczął ujadać, ale Gawranowa chwyciła go za ogon i odciągnęła psa z powrotem. Wszedł milicjant w ośnieżonym mundurze, wytarł buty w słomiankę. Oficer popatrzył na niego pytająco.

– Przyjechali z komendy wojewódzkiej, obywatelu majorze. I lekarz. Jest też wóz pogrzebowy. No i piesek...

– Po co? – mruknął, podnosząc się z krzesła.

Włożył skórzaną kurtkę, podbitą barankiem, nasunął czapkę. Wyszli z milicjantem przed dom. Nysa z błękitnym poprzecznym pasem i literami „MO” stała kilkadziesiąt metrów dalej, w pobliżu rozgrzebanej zasy śnieżnej. Przewodnik z psem trzymał się z boku. Uważał, że wezwano ich, jego i psa, zupełnie niepotrzebnie. Trup był stary i w dodatku zasypany

śniegiem, ślady, jeżeli były, od dawna nieaktualne.

Przywitali się, lekarz z komendy przyjrzał się ciekawie obcemu majorowi, tamci znali go nie od dziś.

– Doktor Kropicki, major Szczęsny z Komendy Głównej – mruknął kapitan dla formy. Zabił parę razy rękami, bo zmarł w samochodzie i ruszył w stronę zaspy. Technik i fotograf szli za nim, pogadując/o czymś z cicha. Ciemny, włochaty wilczur Bej przysiadł i wyczekująco spojrzął w oczy swemu panu. Ten podrapał go za uszami, ale pozostał na miejscu.

– Niepotrzebnie was ściągnęli – rzekł Szczęsny, przecho-  
dząc obok przewodnika. – Wejdźcie do wozu, pies łapy sobie  
zagrzeje.

Zwłoki, ostrożnie odgrzebane spod warstwy śniegu, leżały na workach z grubej folii, pewnie po chemikaliach, był to mężczyzna w sile wieku, dobrze zbudowany, z gęstymi jasnymi włosami. Miał na sobie piżamę w paski, nogi bose. Sztywny od mrozu, o białej twarzy, wyglądał jak źle zrobiony manekin.

Pies tropiący pociągnął przewodnika w tę stronę, dotknął nosem zimnej bosej nogi i cofnął się jeżąc sierść.

Lekarz przykucnął nad ciałem, fotograf robił swoje. Kiedy unieśli zwłoki, Kropicki w milczeniu wskazał na szerniały od krwi wąski otwór w plecach, pod lewą łopatką.

– Zabity. Tak jakby nożem. W pociągu? Ktoś by słyszał  
walkę, szamotanie – rzekł kapitan z powątpiewaniem. – Chyba

dopiero tutaj, po wyrzuceniu. Przeszukajcie teren – zwrócił się do dwóch milicjantów. – Nóż, sztylet, coś takiego.

– Mógł nikt nie słyszeć – powiedział Szczęsny. Wodził wzrokiem od zasy do torów i od torów do chałupy, mierzył odległość i zastanawiał się głośno – noc, hałas pociągu. Skąd mamy pewność, że go w ogóle wyrzucono z wagonu? Dzieśięć metrów dalej jest szosa. Jeżdżą samochody.

– Tylko, że samochodem nikt nie podróżuje w piżamie – zauważył kapitan. – Zwłaszcza zimą. W piżamie i boso.

– Oczywiście – łatwo zgodził się major. – Doktorze, kiedy to się mogło stać? Mam na myśli, jak długo on tutaj leży.

– Kilka dni. Myślę, że od ostatniego śniegu.

– Do niedzieli pola były czarne, błoto stało w brzdach – wtrącił komendant miejscowego posterunku. – Dopiero w poniedziałek zaczęło sypać. Padało dwa dni, potem chwycił mróz. Dzisiaj mamy piątek. Od środy już było słońce i po piętnaście stopni mrozu w nocy.

– Czyli, że można przyjąć dwa dni, poniedziałek i wtorek. A raczej dwie noce, z poniedziałku na wtorek i następną. Dwie noce – powtórzył Szczęsny, patrząc na zwłoki.

Pochylił się, aby przejrzeć kieszenie od piżamy. Zmarznięty materiał, jakieś sztuczne tworzywo, trzaskał mu w palcach i darł się, nie wytrzymał zbyt dużego zimna. Zresztą, kieszenie były puste.



– Wiek około czterdziestki – rzekł Kropicki. – Dość dobrze umięśniony, mocno zbudowany. Pewnie trochę kulał, jedna noga ze dwa centymetry krótsza. Wolałbym szybko zrobić sekcję, bo jak zacznie tajać...

– Kapitanie, wyślijcie zwłoki do miasta. I chodźcie jeszcze ze mną do tego gospodarza, porozmawiamy.

Milicjanci, którzy bez przekonania szukali w śniegu noża lub sztyletu, chwycili folię z dwóch stron, dźwignęli ostrożnie i ponieśli do stojącego z boku samochodu pogrzebowego. Kierowca wychylił się przez opuszczoną szybę, popatrzył, splunął i szybko cofnął głowę. Woził eleganckie trumny z wieńcami, do takich widoków nie był przyzwyczajony. Konwojent zatrzasnął tylne drzwi i wszedł do szoferki, aby nie siedzieć razem z „czymś takim, strach popatrzeć”.

Gawranowie pilnie obserwowali wszystkie czynności milicyjne, stojąc o kilka kroków od drzwi chałupy. Ich pies, mały czarny kundel, obszczekiwał zawzięcie służbowego owczarka. Przewodnik z nudów ciskał w kundla śniegiem albo przechadzał się z wolna po zamarzniętym polu, a wielki ciemnowłosy Bej, z czujnie postawionymi uszami, stąpał obok niego.

– My do was, panie Józefie – rzekł komendant posterunku. Znał Gawranów, jak zresztą wszystkich gospodarzy z tej wsi i paru sąsiednich. Urodził się tutaj, wychował, później wyjechał do miasta i wrócił w szarobłękitnym mundurze, z naszywkami starszego sierżanta MO.

- A, proszę – Gawran podreptał do domu, żona za nim. Usiedli znowu w kuchni, ogrzali się i Szczęsny rzekł:
  - Panie Gawran, niech pan nam jeszcze raz powie, kiedy słyszał pan ten krzyk. Dokładnie.
  - No, więc już mówiłem, że to było w nocy. Z tego poniedziałku, co minął, na wtorek. Jak leciał pośpieszny.
  - Czyli z szóstego na siódmy – uzupełniła Gawranowa, zerknąwszy na kalendarz. – Pamiętam, bo szóstego rano...
  - Cicho, stara – przerwał jej znów mąż. – Pan major pyta o to, co w nocy, nie o to, co rano.
  - Poszli my do sołtysa – kobieta nie dała za wygraną. – W sprawie zapisu na cement.
  - Dobrze. I dzisiaj, kiedy pan wyszedł na pole, zobaczył pan, że pies odgrzebał w zaspie zwłoki – mówił Szczęsny.
  - Tak to było. Dałem znać do sołtysa, bo u niego jest telefon, a on zadzwonił na posterunek, do pana komendanta. Nie minęło ani pół godziny, pan sierżant już tu był.
- Komendantowi wydało się jednak, że pół godziny, to mogło być za długo. Wyjaśnił z zażenowaniem, że na drogach duże zasy i nie mógł się przebić motocyklem, więc go zostawił w agencji pocztowej, a sam poszedł pieszo „na skróty”.
- Nic pan nie ruszał przy zwłokach?
  - A skądże, panie majorze! – Gawran uderzył się pięścią w piersi, aż zadudniło. – Tak, jak leżał, tak go komendant zastał. Dzieciaków trochę się zleciało, bo ktoś słyszał jak

sołtys telefonował, ale je odpędziłem. Stałem obok tej zaspy, pilnowałem porządku.

– I pamięta pan, że pośpieszny szedł tamtej nocy o pół do drugiej?

– Na duży zegar spojrzełem, była ta godzina.

Obaj oficerowie popatrzyli na ciemnobrązowy, drewniany zegar z kukułką, chyba jeszcze przedwojenny, bo kto teraz takie robi. Szczęsny porównał czas na swojej „Rakiecie”, zgadzało się, co do minuty.

– Krzyk powtórzył się dwukrotnie?

– Tak jakby. Ale co krzyczał, tego nie usłyszałem.

– Męski głos czy kobiecy?

Gawran uniósł w górę ramiona, jakby się dziwił.

– Przecie ten trup, to chłop!

– A skąd pan wie, że to właśnie ten człowiek krzyczał?

– No, po prawdzie to... Tak myślę, że on. Wyrzucił go ktoś albo sam skoczył. I przedtem krzyknął, ze strachu. Albo się pokłócili i... – Gawran chodził po kuchni, wyobraźnia zaczęła pracować. Żona wodziła za nim oczami, czyhając na moment, w którym będzie mogła wtrącić choć jedno słowo.

– Idziemy – major sięgnął po czapkę. – Do widzenia.

W samochodzie z Komendy Głównej było sporo miejsca, toteż kapitan wsiadł do Mercedesa, Szczęsny chciał zresztą omówić z nim to i owo. Wyprzedzili Nysę, szosa była odśnieżona przez pług, gładka.

– Zastanawiam się, czy Gawran rzeczywiście słyszał wtedy krzyk – rzekł major. – Bo to by mogło znaczyć, że ten facet został zabity już po wyrzuceniu z pociągu. Trochę mi to nie pasuje. Zakładam, że jechał w wagonie sypialnym pociągu ekspresowego, który idzie na Wiedeń. Oczywiście, nie musiał aż tam jechać, ale w pociągu, który leci o tej porze, jest bezpośredni wagon sypialny do Wiednia. Czy nie mieliście żadnych sygnałów od kolejarzy? Przecież zginął im pasażer. Musiało zostać ubranie, bagaże. A u konduktora bilet sypialny i kolejowy.

– Ja dopiero wczoraj wieczorem wróciłem z urlopu. Nie czytałem jeszcze biuletynów. Rano naczelnik zawiadomił mnie o zwłokach i od razu przyjechałem tutaj.

– Musi być u was jakaś wiadomość.

– Sprawdźmy. Jak to się stało, majorze, że byliście we wsi przed nami?

Szczęśny uśmiechnął się.

– Przypadek. Jechałem w innej sprawie, załatwiłem i kiedy rozmawiałem dziś rano telefonicznie z Warszawą, szef zlecił mi małe zboczenie z kursu.

– Przejmiecie sprawę?

– Nie wiem jeszcze. Może poprowadzimy razem. Długo i tak nie mogę tu zostać, najwyżej dzień, dwa.

W komendzie wojewódzkiej kapitan zdał relację naczelnikowi

wydziału kryminalnego, a Szczęsny poprosił o meldunki z ostatniego tygodnia i zasiadł nad nimi, trochę przysłuchując się temu, o czym mówili, a trochę przeglądając zgłoszenia i notatki służbowe.

– Jest! – mruknął w pewnej chwili. – To by się zgadzało.

– Macie na myśli zawiadomienie z PKP? – spytał naczelnik, poruszony niespodziewanym pojawieniem się wysłannika Komendy Głównej.

– Tak. Konduktor... tak, jak przypuszczałem, pośpieszny na Wiedeń... ale pasażer do Zebrzydowic. Miejsce sypialne, klasa pierwsza, bilet normalny, wykupiony w Warszawie. Co prawda w tym zawiadomieniu nie ma ani słowa o tym, że pasażer wypadł z pociągu. Ani, że w ogóle zaginął! Tylko, że nie odebrał biletów. Może po prostu nie były mu do niczego potrzebne?... Aha, tu jest taka uwaga konduktora: „Pasażera tego zapamiętałem, kiedy szedł korytarzem wagonu, ponieważ trochę kulał. Nie zauważyłem go natomiast, jak pociąg zatrzymał się w Zebrzydowicach, chociaż powinien był wysiąść. Zajrzałem do przedziału, łóżko było puste. Nie było żadnych rzeczy ani walizki. Drugiego pasażera w tym przedziale nie miałem. Pamiętam, że ten pierwszy miał ze sobą walizkę. Gdyby wysiadł na którejś z poprzednich stacji, na pewno bym to zauważył, bo musiałyby przejść obok otwartych drzwi przedziału służbowego. W tej sytuacji uważałem za stosowne zawiadomić kierownika pociągu o powyższym”. Tak. No, a

kierownik przysłał pismo do komendy. Bardzo słusznie. Czy przesłuchaliście już tego konduktora, naczelniku?

– Nie, ale kiedy otrzymałem informację o znalezieniu zwłok, posłałem milicjanta na Słoneczną dwanaście. – A widząc zdziwione spojrzenie Szczęsnego, dodał: – Bo ten konduktor jest stąd, nie z Warszawy. I właśnie mieszka na Słonecznej. Spał, kiedy milicjant przyszedł, ale będzie u nas – spojrzał na zegarek – za kwadrans.

Był nawet wcześniej. Usiadł po drugiej stronie biurka, przyglądał włosy, przyjrzał się uważnie trzem oficerom i rzekł z wyrzutem:

– Mam służbę w nocy, chciałem się wyspać.  
– Przykro nam – odparł Szczęsny – ale potrzebujemy od pana paru wyjaśnień.

– Co do tego pasażera z sypialnego?  
– Skąd pan wie, że o niego chodzi? – wtrącił kapitan.  
– A o cóż innego. Nie przemycam, nie biorę lewych pasażerów, wódki w wagonie nie sprzedaję... Znalazł się ten facet?

– Tak, choć nie w tym stanie, w jakim pan go widział. Proszę popatrzeć – major rozrzucił na stole kilka zdjęć – czy to był któryś z nich?

Konduktor przebiegł wzrokiem po fotografiach i potrzęsął przecząco głową.

– A może tutaj pan go poznaje?

Jedno zdjęcie było jeszcze wilgotne, nie zdążyło wyschnąć. Kolejarz rzucił okiem, zmarszczył brwi.

– Chyba ten – wskazał palcem na twarz zmarłego. – Dziwne jakieś takie zdjęcie... Nie żyje?

– Zgadza się. Niech pan teraz opowie dokładnie, jak to z nim było. Czy przyszedł sam, czy w drodze z kimś rozmawiał, czy stał w korytarzu? Kupował coś od pana? Wychodził do toalety?

Konduktor zamyślił się na chwilę, a potem powoli odpowiadał na zadane pytania:

– Pasażer wszedł sam, na korytarzu stał przez jakiś czas, to pamiętam, bo przechodząc tam i z powrotem, jak to zwykle na początku podróży, potrąciłem go kilkakrotnie. W ogóle pasażerów nie było dużo, dwie kobiety i ze czterech mężczyzn. Nie, nie zauważyłem, żeby ten człowiek z kimkolwiek rozmawiał. Nie kupował nic do picia. Do toalety pewnie nie wychodził, bo miał przedział pierwszej klasy, więc raczej nie potrzebował, rozumiecie panowie.

– Zniknięcie pasażera zauważył pan dopiero w Zebrzydowicach?

– Na krótko przedtem. Kazał się obudzić kwadrans wcześniej. W Zebrzydowicach powinniśmy być o trzeciej szesnastce. Mieliśmy małe spóźnienie, więc poszedłem go budzić gdzieś o trzeciej dziesiątej.

– Czy w trakcie jazdy, około godziny... powiedzmy, między pierwszą a drugą, był pan u siebie w przedziale?

– Tak.

– Spał pan?

– No – konduktor zawahał się. – Może się zdrzemnąłem. Wie pan, jak to jest. Noc, cicho, spać się chce.

– Założmy, że pan zasnął. Czy drzwi po obu stronach wagonu były zamknięte na klucz?

– Oczywiście! To znaczy... te jedne, to nie. Bo przychodzili ze zwykłych wagonów po oranżadę i wodę mineralną. Więc te bliższe mojego przedziału były otwarte. A tamte na pewno zamknięte.

– No, tak – mruknął Szczęsny. – W tej sytuacji...

– Mnóstwo ludzi mogło się kręcić po wagonie sypialnym – zauważył naczelnik. – Czy w Zebrzydowicach jeszcze ktoś wysiadał?

– Nie. Tylko ten jeden miał wysiąść. A właściwie, co się z nim stało?

– Wypadł z pociągu. Albo został wyrzucony. Nic pan nie słyszał, żadnego hałasu, szamotania? Krzyku?

– Nie.

– A w przedziale, żadnych śladów? Żadnych rzeczy?

– Nic. Zdziwiłem się, pomyślałem: kiedy on wysiadł? I biletów nie odebrał. No, jak jechał prywatnie, to mu do rachunku nie były potrzebne. Od Warszawy do Zebrzydowic ten pociąg staje na pięciu stacjach. Zatrzymywaliśmy się też, chyba dwa razy, w polu.

– Gdzie?

– Nie wiem – przyznał z zażenowaniem. – Zadymka była, ciemno. Więc może wtedy wysiadł? Ale po co? Aha



– przypomniał sobie nagle – w jego przedziale okno było otwarte.

– Przecież się człowiek przez takie okno? Bo są różne okna w różnych wagonach.

– W tym sypialnym, to był stary wagon, chyba przecież się.

– Przeglądał pan pościel? Czy nie miała śladów krwi?

– Nie, nie przyszło mi do głowy, że to może być coś takiego... Ale to by się może dało sprawdzić w pralni – ożywił się.

– Sprawdzimy. Ten pasażer kulał?

– Tak, ja o tym napisałem.

– Rozmawiał pan z nim o czymkolwiek?

– Nie. Wskazałem mu miejsce, wziąłem bilety. Pasażer, jak wszyscy. Nie było potrzeby, aby się nim bliżej interesować. Czasem ktoś zachoruje albo przychodzi do mojego przedziału, kupuje coś, rozmawia, pyta o stację, o godzinę. Ale ten nie. W ogóle, facet nie do zapamiętania. Za często jeżdżę, aby zastanawiać się nad pasażerami.

– W porządku. On miał dolne łóżko czy górne?

– Dolne. Bilety kupione w „Orbisie” na placu Konstytucji.

– Gdzie są?

– Oddałem kierownikowi pociągu.

– Po czterech dniach... – zaczął Szczęsny i urwał. Jasne było, że w przedziale na próżno dzisiaj szukać śladów linii papilarnych, od tej pory przebywało w nim pewnie kilkunastu podróżnych. – Proszę powiedzieć, czy orientuje się pan,

choćby w przybliżeniu, kim byli pozostali pasażerowie wagonu sypialnego? Chodzi mi przede wszystkim o mężczyzn.

– Jeden, to był poseł. Wiem z legitymacji. A reszta miała normalne bilety, znaczy, bez zniżki. Żadnego nie pamiętam. Panie, ja już miałem od tamtego poniedziałku dwie doby jazdy! Kto by tam pamiętał tych wszystkich ludzi. A kobiety od razu poszły spać.

– Jak się nazywał ten poseł?

Konduktor potrząsnął głową. Posła też miał „z głowy”, nawet nie wie, na jakiej stacji wysiadł. Posłowie często jeżdżą w teren, do swoich wyborców.

Kiedy konduktor wyszedł, naczelnik westchnął i rzekł, że wśród czterystu sześćdziesięciu posłów z całego kraju nie będzie łatwo znaleźć tego jednego, który mógłby ewentualnie udzielić jakichś informacji.

– Dlaczego? – zaoponował Szczęsny. – Łatwiej szukać wśród czterystu sześćdziesięciu posłów niż wśród kilkunastu milionów zwykłych podróżnych. Zresztą, za tydzień będzie sesja sejmowa. Na razie proponuję komunikat w prasie i telewizji. Zdjęcie, podpis: „Ktokolwiek może udzielić” – i tak dalej, jak zwykle. Może zgłosi się ktoś z tych czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Czy przeglądaliście meldunki o zaginięciu? – zwrócił się do naczelnika.

– Wszystkie. Nic tu nie pasuje. Ale to jeszcze za wcześnie. Przecież ten człowiek mógł jechać do Zebrzydowic na tydzień, dwa. Ani rodzina, ani zakład pracy nie mają jeszcze

powodu do niepokoju. Oczywiście, przyjmuję, że miał rodzinę i że pracuje. To znaczy, pracował.

– Pewnie sekcja powie nam coś więcej. Cóż, w tej sytuacji ja wyłączam się ze śledztwa tutaj i przenoszę się do Warszawy. Będziemy się kontaktować. Poprowadzę poszukiwania po swojej linii, a wy tutaj po swojej. Proszę uzgadniać ze mną ważniejsze posunięcia, ja również będę wam przekazywał wszystko, czego się dowiem.

\*

Szczęśny wrócił do Warszawy. Zdał swemu szefowi relację z tego, co zdołał ustalić w komendzie wojewódzkiej, i dodał, że być może zamieszczenie zdjęcia i komunikatu w prasie da jakiś efekt. Pułkownik Toporski wyraził wątpliwość, że jednak był od urodzenia sceptykiem, a ostatnio cecha ta zaczęła wysuwać się u niego na pierwszy plan, Szczęśny nie przejął się. Wiedział, co robi. Pułkownik szykował się do szpitala na operację kamieni żółciowych i trzeba mu było wiele wybaczyć.

Na trzeci dzień po powrocie majora nadeszły wyniki sekcji zwłok denata NN. Nie przyniosły one żadnych rewelacji. Silny cios ostrym narzędziem, prawdopodobnie nożem o długości około dwunastu centymetrów, wymierzony z tyłu, pod lewą łopatkę. Człowiek byłby do uratowania, ale wykrwawił się i zamarł w śniegu.

Potem następował długi opis stanu poszczególnych narządów, uzębienia, ślad po przebytej operacji wyrostka, potwierdzenie faktu, o którym mówił konduktor, że jego pasażer miał jedną nogę trochę krótszą. Lekarz, przeprowadzający sekcję, dopisał jeszcze taką uwagę: „Z pewnych charakterystycznych oznak można by wnioskować, że denat uprawiał sporty wodne, prawdopodobnie dużo pływał.”

Z czego on to wnioskował? – zdziwił się Szczęsny. I odpowiedział sam sobie, że być może z jakichś zmian na skórze, zaraz jednak odrzucił tę myśl. Sam często pływał i nie zauważył u siebie żadnych śladów, a jedyną konsekwencją były silne, sprawne mięśnie rąk i nóg.

Jednakże wniosek lekarza, jeżeli był słuszny, mógł pomóc w śledztwie. Dlatego major wysłał telex do komendy wojewódzkiej z prośbą o bliższe szczegóły. Przeglądał też uważnie meldunki i ogłoszenia rodzin o zaginięciu osób, na razie bez skutku.

Zdjęcie z komunikatem ukazało się we wtorkowej prasie stołecznej, a także wieczorem po dzienniku w telewizji. W treści nie było mowy o zabójstwie i w ogóle o znalezieniu zwłok. Proszono tylko o informacje ludzi, którzy mogliby coś powiedzieć na temat tego człowieka. Kosmetyka twarzy zrobiła swoje – trudno było poznać, że zdjęcie robiono w cztery dni po śmierci.

Już o dziewiątej rano odezwał się pierwszy telefon. Porucznik, czuwający pod telefonem podanym w komunikacie

od razu przełączył rozmówcę do Szczęsnego, tak się umówili w przypadku, gdyby wiadomość była ważna.

– Mówi Kozłowski z Centralnego Biura Rozdzielczego „Kolmet” – przedstawił się mężczyzna po drugiej stronie słuchawki. – Jestem zastępcą kierownika wydziału kadr, no i... – zająknął się – myśmy na tym zdjęciu od razu rozpoznali naszego pracownika. To jest magister Szumski. Pojechał na urlop, wziął zaległy tydzień jeszcze z tamtego roku. Ale nie rozumiemy, po co to zdjęcie w prasie. I w ogóle, może by ktoś do nas przyszedł?

– Wszystko panu wyjaśnię – odparł Szczęsny. – „Kolmet” jest na Kruczej czy na Wilczej?

– Na Kruczej trzynaście.

– Będę u was najdalej za dwadzieścia minut.

Szczęsny odłożył słuchawkę i westchnął z ulgą. Przynajmniej wiadomo już, o kogo chodzi. Zajrzał do szefa, powiadomił go o telefonie i wyszedł z gmachu. W kwadrans później wchodził do pokoju, gdzie mieściły się kadry „Kolmetu”. Zasiał tam kilka osób, żywo dyskutujących nad gazetą z komunikatem. Na widok wchodzącego wszyscy podnieśli głowy, a tęgi blondyn w okularach powiedział dość opryskliwie jednym tchem:

– O co chodzi, teraz nie przyjmujemy interesantów, ma pan przecież wyraźnie napisane na wywieszce, czytać pan nie umie czy co, proszę stąd wyjść.

– Sam pan mnie zaprosił – odparł spokojnie Szczęsny.

– Ja?! – krzyknął blondyn i nagle zreflektował się – a pan jest...

– Major Szczęsny z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam. Myślałem, że... proszę, niech pan siada, majorze. Kawę czy herbatę?

– Akta.

– Co, proszę?

– Akta magistra Szumskiego. Ze zdjęciem.

– Oczywiście, już mam przygotowane – zakręcił się przy szafie ze skoroszytami, wyjął jedną teczkę. – O, proszę. Tu są akta. To jest jego fotografia. Myśmy wszyscy i tak od razu poznali...

Szczęsny przyjrzał się obu zdjęciom. Rzeczywiście, nie mogło być wątpliwości, mimo iż oczy człowieka z fotografii w gazecie patrzyły nieruchomo, martwo, ale to mógł dostrzec tylko fachowiec.

– Kiedy Władysław Szumski wyjechał na urlop?

– W sobotę był ostatni dzień w biurze. To znaczy, czwartego. Miał urlop od szóstego do jedenastego. Tydzień.

– Pan z nim pracował?

– Ja nie, on pracuje w sekcji przydziału metali nieżelaznych. W pokoju dwieście dwa, zaraz za zegarem w korytarzu na prawo. Zaprowadzić pana?

We drzwiach ukazał się szczupły mężczyzna, na widok którego blondyn ukłonił się.

– Panie dyrektorze, to jest właśnie major z Komendy Głównej, meldowałem panu, w sprawie magistra Szumskiego, którego zdjęcie jest...

Dyrektor przerwał mu ruchem ręki, po czym wyciągnął ją do Szczęsnego:

– Kostrzewski. Co się stało z Szumskim, majorze?

– Nie żyje.

– Nie żyje?! – wykrzyknął blondyn w okularach. Wypadek?

– Proszę, niech pan pozwoli do mego gabinetu – rzekł dyrektor, mocno poruszony wiadomością.

Zeszli piętro niżej, nie rozmawiali po drodze, każdy zatopiony w swoich myślach.

– Coś podobnego! – mruknął Kostrzewski, przepuszczając majora przed sobą do gabinetu. – Pani Ireno, niech nam pani da dwie dobre, mocne kawy. I po kieliszku koniaku.

Usiedli z boku przy niskim stoliku, dyrektor podsunął papierosy, sam też zapalił i spojrzął na Szczęsnego wyczekująco.

– Więc tak. Dzisiaj jest piętnasty, a dziesiątego przed południem znaleźliśmy w zaspie śnieżnej obok torów kolejowych, na odcinku pomiędzy Reszką a Czarną Wsią, właściwie obok gospodarstwa należącego do Czarnej Wsi, zwłoki mężczyzny bez żadnych dokumentów. Był w piżamie i boso. Jeżeli porównać zdjęcie denata ze zdjęciem Władysława Szumskiego, okazuje się, że to on. Zresztą, niech pan sam zobaczy, dyrektorze.

Szczęśny podsunął mu fotografię. Kostrzewski przyjrzał

się uważnie i pokiwał głową.

– Tak, to on. Nie czytałem jeszcze dzisiejszej prasy, dopiero sekretarka zwróciła mi uwagę na zdjęcie i komunikat. Potem przyszedł zastępca kierownika kadr. Mówi pan, że w piżamie i boso? To by znaczyło, że jechał wagonem sypialnym i... i co? Wypadł czy jak? Samobójstwo wykluczam, to był człowiek kipiący życiem, energiczny, zresztą w pracy układało mu się dobrze. Był co prawda rozwiedziony, ale od dość dawna i chyba bez żadnych tragedii.

Sekretarka wniosła na tacy kawę i koniak. Obdarzyła Szczęsnego powłóczytym spojrzeniem, podobała jej się oryginalna uroda majora, jasne włosy przy śniadej cerze i czarnych, wąskich oczach. Szczęsny nie zareagował, miał głowę zaprzątniętą ważniejszymi sprawami. Kiedy wyszła, powiedział:

– Panie dyrektorze, muszę zadać banalne pytanie, które zawsze zadajemy w takich sytuacjach. Czy Szumski miał tu jakichś wrogów, ludzi bardzo mu niechętnych?

Kostrzewski bystro popatrzył na mówiącego, a potem odparł:

– W takich sytuacjach, mówi pan. To by znaczyło, że podejrzewacie zabójstwo? Wypadnięcie z pociągu?

– Dostał nożem w plecy.

– Jasna cholera! Toż to morderstwo! Brał pan już cukier?

Proszę.

– Tak wygląda – Szczęsny postodził kawę. – Chciałbym porozmawiać z jego kolegami w pokoju dwieście dwa. Czy



Szumski mieszkał sam, nie orientuje się pan?

– O ile wiem, to sam. Po rozwodzie zostało mu dwupokojowe mieszkanie, bo była żona poślubiła kogoś innego, a ten miał trzy pokoje, na odmianę. Nożem w plecy? I nikt w sypialnym wagonie nie widział tego, nic nie słyszał? A konduktor?

– Prowadzimy śledztwo – odparł major wymijająco. – Dokąd Szumski mógł jechać?

– Prawdopodobnie do brata, który mieszka gdzieś w okolicy Zebrzydowic. Znałem Szumskiego od wielu lat, stąd trochę tych informacji. Zaraz, a brat nie zgłosił się po komunikację?

– Ogłosiliśmy w centralnej prasie. Mógł jeszcze nie przeczytać notatki. Czy pan może podać adres tego brata? Teczkę osobową Szumskiego wypożyczymy, do zwrotu.

Porozmawiali jeszcze chwilę, potem Kostrzewski zaprowadził oficera do pokoju dwieście dwa, wciąż bardzo przejęty tym, o czym się dowiedział.

\*

W czwartek doktor Kropicki przysłał Szczęsnemu lakoniczną depezę: „Zmiany w nerkach i skrzepy we krwi stop pozdrowienia Kropicki.” Była to odpowiedź na pytanie, dotyczące uwagi przy protokole sekcyjnym. Szczęsny zostawił zadrukowany blankiet na biurku i wyszedł na miasto, a kiedy wrócił, koledzy, nie orientujący się w sytuacji przyglądali mu

się współczująco.

W chwilę potem sekretarka poprosiła go do szefa.

Toporski najpierw chrząkał długo, przekładał jakieś papiery, jakby nie wiedząc od czego zacząć. Założył okulary, zdjął je i powiedział:

– Słuchajcie, majorze, może dać wam skierowanie do sanatorium?

Szczęsny spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Po co?

– No, widzicie.. Zdrowia nie należy lekceważyć. A leczycie się chociaż?

– Na co? – zdziwił się szczerze.

– Co to za odpowiedzi: po co, na co! – zdenerwował się szef. – Ja rozumiem, że chcieliście to jakaś ukryć, ale takich zmian w organizmie nie da się wyleczyć na odległość. I w ogóle, będę musiał skierować was na komisję.

Szcęsny chciał znowu zapytać, po co, ale się powstrzymał. Zamiast tego wybuchnął śmiechem, co Toporskiego wprawiło w osłupienie.

– Czy te wasze pytania, to, w związku z depeszą doktora Kropickiego? – rzekł rozweselony. – Bardzo jestem wdzięczny za troskę o moje zdrowie, ale zmiany w nerkach i skrzepy we krwi dotyczą sekcji zwłok, znalezionych w Czarnej Wsi. Ja na szczęście czuję się dobrze. Przy okazji, chciałem zameldować, że denatem jest Władysław Szumski, pracownik umysłowy z „Kolmetu” w Warszawie. Mam już trochę informacji, ale nie natrafiłem na nic, co by pomogło w śledztwie?

Współpracuję ze mną kapitan Kręglewski z Komendy Stołecznej. No i dzielnica.

– Szumski miał rodzinę?

– Brata w Zebrzydowicach. Miejskowa, komenda już go powiadomiła, pewnie dzisiaj przyjedzie. W mieszkaniu Szumskiego zainteresowała mnie właściwie tylko jedna rzecz. Kartka, wyrwana z notesu, a na niej długopisem naszkicowany urywek jakiegoś utworu muzycznego. Może początek, może ze środka. Bez słów. Nie jest to chyba współczesny szlagier, ale dałem kopię kartki do rozszyfrowania i będę wiedział.

– Dlaczego uważacie, że właśnie to ma znaczenie? Szumski mógł zajmować się komponowaniem albo grą na jakimś instrumencie.

– Sęk w tym, że nie. Miał podobno tak zwane „lewe” ucho, nie potrafił zapamiętać żadnej melodii i na niczym nie grał. Zobaczymy zresztą, co powie jego brat.

– A znaleźliście już tego posła z pociągu?

– Tak. To na nic, spał twardo i nic nie słyszał. Szumskiego nie zna i twierdzi, że go nigdy nie widział. Pokazałem zdjęcie, nie przypomina sobie takiej twarzy w wagonie.

Po wyjściu z gabinetu Szczęsny wrócił do pokoju i wyjaśnił stroskanym kolegom, że czuje się znakomicie. W chwilę później zadzwonił telefon. Był to znajomy muzyk, emerytowany pracownik resortu.

– Słuchaj, Szczęsny – rzekł. – Rozwiązałem zagadkę, którą mi dałeś. To jest początek utworu pod tytułem „Taniec szkieletów Camilla Saint-Saënsa, francuskiego kompozytora.

Jeżeli potrzebna ci jest jego data urodzenia, to...

– Nie, dziękuję. Poczekaj, zanotuję sobie nazwisko. Jak to się pisze?

Muzyk przesyłabizował.

– I mówisz, że „Taniec szkieletów”? Ładnie się nazywa. I nawet pasuje.

– Do czego?

Ale Szczęśny nie wyjaśnił. Podziękował raz jeszcze i odłożył słuchawkę. Coś go zastanowiło, bo siedział przez dłuższy czas ze zmarszczonymi brwiami i wpatrywał się w leżącą przed nim kartkę. „A jeżeli to szyfr? – myślał. – Jakieś hasło... płyta, taśma magnetofonowa... nadajnik krótkofalowy. Nie, za daleko idę. Nie ma podstaw.”

Mimo wszystko odszukał w pamięci numer telefonu i nakreślił. Odezwał się znajomy głos.

– Tadeusz? – spytał z zadowoleniem, ten człowiek był mu teraz potrzebny. – Tu Szczęśny. Mogę wpaść do ciebie?... No, to będę za chwilę.

Pułkownik Polewski powitał go z uśmiechem. Od czasu, jak się poznali, upłynęło kilka lat, w czasie których przypadło im dwukrotnie razem pracować, chociaż Polewski służył w kontrwywiadzie. Przez ten czas zdążyli się polubić i zaprzyjaźnić.

Pogadali więc najpierw o tym i owym, wspominali przeszłość, wreszcie Szczęśny powiedział, z czym przyszedł.

– Widzisz, Tadek, prowadzę taką jedną sprawę, znaleźliśmy zwłoki człowieka, zamordowanego i wyrzuconego z

pociągu. Wiem już, kto to jest. W jego mieszkaniu była schowana kartka, o, ta – podał mu. Pułkownik popatrzył, wzruszył ramionami:

- Nie znam się na nutach. Co to jest?
- Właśnie. Początek „Tańca szkieletów” francuskiego kompozytora... Ponieważ denat był podobno absolutnie niemuzyczny, pomyślałem, że może to jest jakiś szyfr.
- Chyba na fonię?
- Tak. Więc gdybyś u siebie kazał zwrócić uwagę, przy pelengacji, na ten utwór, rozumiesz, może jakaś krótkofalówka? Masz tu gdzie fortepian?

Polewski roześmiał się, a potem wstał i poprowadził przyjaciela do świetlicy. Znaleźli nie tylko instrument, ale i kogoś, kto umiał na nim grać. Położył sobie kartkę na pulpicie i uderzył w klawisze. Zabrzmiała ostra, rytmiczna melodia, dziwnie ponura. Przysłuchiwali się i major rzekł:

- Rzeczywiście, mogę sobie wyobrazić szkielety, tańczące powiedzmy na dachu.
- Blaszyńskim – mruknął Polewski i wzdrygnął się.

Grający powtórzył fragment, odwrócił się do nich i powiedział z urazą:

- To jest klasyka! Trzeba się na tym znać, żeby móc ocenić piękno. Wspaniały utwór! Profany!
- Oddał kartkę i wyszedł. Popatrzyli na siebie z zażenowaniem, Szczęsny wzruszył ramionami,
- Przecież to były komplementy, czemu on się obraził?

Jeżeli utwór nazywa się tańcem szkieletów, a myśmy to w wyobraźni zobaczyli jak żywe... to znaczy, jak martwe, tym lepiej dla kompozytora. Więc co, Tadeusz, uczulisz twoich na tę polkę truposzów?

– Oczywiście. Ale wątpię, żeby któryś z nich znał utwór. Postaraj się nagrać ten fragment na taśmę. Kilkakrotnie, żeby można pociąć i rozdać pracownikom. Przegrają sobie. Sprawdzę jeszcze, czy do tej pory czegoś takiego nie złapali i ewentualnie dam ci znać. Telefon masz w domu ten sam?

– Tak.

Kiedy się żegnali, Polewski przytrzymał jego rękę i dodał:

– Ale radziłbym ci nie sugerować się melodią. Czasy, kiedy szpieg posługiwał się tak ograniczonymi metodami, mijają. Zwróć bardziej uwagę na motywy. Poczekaj, jak mówię? Władysław Szumski?

– Z „Kolmetu”. Wiesz coś o nim?

– Chyba nie. Ale na wszelki wypadek podaj mi bliższe dane.

Szczęśny wracał do domu swoim małym, szarym Fiatem 126p. Wracał wolno, bo wciąż mii kołatała w pamięci przejmująca melodia francuskiego kompozytora. Zaparkował wóz i wszedł do sklepu muzycznego, ale nie było w nim żadnego nagrania „Tańca szkieletów”.

## Rozdział 2

Major Litycki z wydziału przestępstw gospodarczych nie uwierzył w pierwszy sygnał, jaki nadszedł do Komendy Głównej MO. Od lat zajmował się sprawami przemytu i właściwie nie było towaru, który by chociaż raz nie był obiektem jego zainteresowania w tym względzie. Czego to też nie próbowano przemycić! Od biustonoszy i końcówek długopisów po obrazy i cenne meble, do brylantów i złota w sztabkach i wyrobach – po plusze i krem „Nivea”.

Ale platyny do tej pory nikt nie usiłował z Polski wywieźć. Bo przywieźć, to owszem, zdarzało się. Zwłaszcza na potrzeby dentystyki i to głównie w poprzednich latach, kiedy to jeszcze ten i ów wstawiał sobie platynowe mostki i koronki. Później rzecz stała się zupełnie nieopłacalna.

– Mówisz, że platynę? – mruknął Litycki z niedowierzaniem. – Nonsens. Skąd by ją wzięli?

Kapitan Horny wystukał popiół z fajki i wyjął woreczek z tytoniem, aby napełnić ją na nowo.

– A jednak – mruknął. Mocował się chwilę z zaplątanym sznurkiem, wreszcie udało mu się rozwiązać woreczek. Ubił „Amphorę” w fajce, zapalił. – A jednak – powtórzył. – Nasz pracownik w Hamburgu rzadko się myli.

- I jest pewien, że to idzie stąd? Od nas?
- Tak.
- Czym?

– Ba! Żeby on wiedział, to i my byśmy wiedzieli Przy-  
puszcza, że pociągiem. Wagon sypialny albo restauracyjny.

– Na jakiej podstawie on sądzi, że to przemyt z Polski? Pojawiła się platyna w Hamburgu, zaobserwował ruch na czarnym rynku, rozumiem. Ale czy zdajesz sobie sprawę, co to za miasto? Ile statków przy pływa, ile pociągów, choćby z samej RFN? Dlaczego on myśli, że to idzie od nas?

– Znam Hamburg. I wiem, że to duże portowe miasto. Że ruch w interesie niewąski. Ale nasz człowiek jest uczulony na nasze sprawy. I jeżeli daje nam taki sygnał, to znaczy, że coś w tym jest.

Litycki wzruszył ramionami. Był wrogiem nikotyny i sam widok fajki Hornego wzbudzał w nim irytację.

– Rozmawiałeś z celnikami?

– Oczywiście. Na razie nic. Ale platyna, to nie kapy z pluszu ani lniane prześcieradła. Wiesz, ile na rynku przemysłowym kosztuje jeden gram tego szlachetnego metalu?

– Przypadkiem wiem. Około pięciuset zetał.

– A czy wiesz, że można ją przewozić nie tylko w wodzie, ale nawet w kwasach?

– Już widzę tego frajera, który przewozi bańkę z kwasem przez granicę – burknął major zgryźliwie. – Wymyśl coś lepszego.

– Kiedy ja mam rację. Chodzi nie tylko o kwas. Może sobie leżeć na dnie kanistra pełnego benzyny. Albo w baku. Platynowe blaszki w termosie z kawą, w butelkach z piwem czy oranżadą. Gdziekolwiek.



– Fantazjujesz. Jest bardzo ciężka. Takie butelki podpa-  
dłyby celnikom.

– A, skąd! Nie zaglądamy przecież na dno butelki, chyba,  
żeby mieli jakiś sygnał. Mogli już przepuścić parę kilo platy-  
ny.

– Dobrze, odwróćmy sytuację. Skąd przemytnik bierze te  
kilogramy cennego reglamentowanego metalu? Nie było dotąd  
żadnych meldunków o kradzieży.

– Platyny używa się w fabrykach chemicznych i w elek-  
tronice. Dawniej przede wszystkim jako katalizatorów, teraz...

– Wiem to i owo o zastosowaniu platyny – przerwał Li-  
tycki. – Wiem, że tygle, retorty, że dentyści, że jubilerzy i tak  
dalej. Ale w dalszym ciągu nie wiem, komu i kiedy zginęła.  
Więc dopóki od tej strony nie napłyną jakieś meldunki, zajmij  
się czymś innym.

Horny wsadził do kieszeni wygasłą fajkę, podniósł się z  
krzesła. Na progu, odwrócił się jeszcze i dodał:

– Zdaje się, że eksportujemy kiszone ogórki? W takich  
wielkich beczkach świetnie można przewieźć nawet dwadzie-  
ścia kilo platyny.

– Słuchaj, jak platyna zacznie u nas rosnać na polu razem  
z ogórkami, wtedy ci uwierzę!

– Żebyś się nie obudził z ręką w...

Resztę kapitan dopowiedział już za drzwiami. Litycki był  
mimo wszystko jego zwierzchnikiem.

Major nie zlekceważył sygnału z Hamburga, postanowił

jednak poczekać na jakiś konkretniejszy ślad. Platyna utkwiała mu w pamięci i przy pierwszej nadarzającej się okazji wstąpił do znajomego jubilera, który kiedyś zajmował się nie tylko sprzedażą, ale i wyrobem delikatnych złotych i srebrnych wisiorków, bransoletek i pierścionków. Jubiler nazywał się Antal Miklos, był z pochodzenia Węgrem, osiadłym i ożenionym w Polsce jeszcze przed wojną. Nie pracował już, ale od czasu do czasu, raczej dla własnej przyjemności niż z potrzeby, bawił się wyrobem wisiorka czy broszki.

Litycki odwiedził go w mieszkaniu. Znali się długo. Miklos pomagał mu już parę razy w rozpoznawaniu biżuterii i w ocenie. Starszy, siwy pan o czarnych oczach pełnych blasku powitał go miłym uśmiechem. Dłubał właśnie przy srebrnym pierścionku, miał w mieszkaniu coś w rodzaju niedużego warsztatu złotniczego. Podsunął majorowi krzeselko, odłożył narzędzia i rzekł:

– Zgaduję, że przyszedł pan do mnie po radę. Zawsze zadowolony, jeżeli mogę pomóc. Co potrafię. Najwięcej.

Polszczyzna Miklosa, mimo długoletniego pobytu w Polsce, trochę utykała, zwłaszcza w doborze słów. Mimo to, rozumiało się go dobrze.

– Ma pan rację, panie Antal. Gdybym miał więcej czasu, odwiedzałbym pana bezinteresownie, bo lubię z panem gawędzić. Cóż, kiedy robota wciąż pogania.

– No, ja wiem. Co tam pan nowego ma?

– Panie Antal, czy jubilerzy u nas używają jeszcze platyny?

– Platyna... to się mówi tu: białe złoto. Bardzo droga. Droższa od złota. Ludzie teraz wolą sztuczną biżuterię. Jak zgubi albo kto ukradnie, nie ma straty. A jak złoto, jest strata. Duża. Miałem kiedyś – zamyślił się na chwilę. – taka była broszka z platyny, tam w środku siedział szmaragd i naokoło brylanciki, malutkie, w kształcie kwiatu to było. Piękna rzecz! Ale już dawno. W Budapeszcie.

– A dzisiaj?

– Tutaj... tak, owszem. Rzadko, ale tak. Trochę. Pierścionki z platyny. Widziałem u jednego, wziął za ten pierścionek piętnaście tysięcy złotych. Tanio wziął, jak na platynę.

– Jak pan myśli, dużo platyny używają nasi złotnicy? Prywatnie, w warsztatach.

Miklos skrzywił się, odwrócił głowę. Nie patrzył na majora.

– To jest, wie pan, taka jakby... – znowu się zawahał – zdrada. Ja też jestem złotnik prywatny. Nieładnie, gdyby coś mówić.

– Panie Antal, ja nie proszę o nazwiska ani o adresy – Lityczy zmieszał się trochę, bo lubił starego. – Ja chcę tylko wiedzieć, czy w ogóle używają platyny, i czy dużo.

– No, używają. Robi się, jak jest amator i jak ma platynę. Bo tego przecież nie kupi, to jest... no, pod ochroną.

– Reglamentowany metal, wiem. Więc zdarzają się amatorzy, którzy sami przynoszą platynę?

Miklos przyświadczył ruchem głowy.

– Pan major, ja powiem: pan tego więcej znajdzie u

prywatnego dentysty jak u jubilera. W naszym fachu teraz musi ktoś nam to przynieść, żeby zrobić. Ja nie robił z platyny nic, całe lata. W komisach są takie rzeczy, czasem. Trzeba się znać, bo ludzie oszukują. Patrz, pan major. Coś pokażę! – ożywił się.

Wstał, pogrzebał w szufladzie, wyjął małe drewniane pudełko, otworzył. Wewnątrz na ciemnoczerwonym aksamicie leżała broszka w kształcie ptaka ze skrzydłami, rozpostartymi do lotu. Ptak miał głowę uniesioną do góry i patrzył czerwonymi, rubinowymi oczami. Miklos podsunął Lityckiemu pudełko, skierował światło stojącej lampy na broszkę. Ptak zaślśnił blaskiem ni to srebra, ni bieli.

– Platyna? – spytał oficer, przyglądając się z wyraźnym zachwytem małemu arcydziełu.

– Nie. Iryd. Ta sama rodzina, ale jeszcze odporniejszy. Bardzo twardy. Najtwardszy. Pan wie, major, z irydu robione są też międzynarodalne wzorce metra i kilograma. No, tam jest jego tylko niewiele, prawie sama platyna.

– Pan rzeźbił tego ptaka?

– Ja. Mnie dawali za niego już dziesięć tysięcy, ja nie sprzedał. Nie chciałem.

– To wcale nie tak dużo. Nie dziwię się, że pan nie chciał.

Miklos roześmiał się, dotknął palcami srebrzystego metalu.

– Dziesięć tysięcy dolarów – wyjaśnił pobłaźliwie. – To był Amerykanin. Mnie dużo jubilerów pytali, jak ja to zrobił.

Bo on taki mocno twardy, iryd. Nikt nie potrafi z niego robić broszki. Ale to jest moja tajemnica. Kiedy żegnali się, Węgier powiedział jeszcze:

– Szukaj pan major w fabrykach. Tam platyny używają najwięcej.

\*

Horny przeszedł jezdnię przy czerwonym świetle i został zatrzymany przez milicjanta z ruchu drogowego. Bez słowa zapłacił mandat. Zirytowany, rozglądał się tylko czy nie widzi tej sceny któryś z kolegów z Komendy Głównej, bo używaliby sobie na nim przez tydzień. Milicjantowi nie mógł tłumaczyć, że absorbuje go sprawa przemytu platyny i dlatego chodzi po mieście bardzo nieuważnie.

W domu, po obiedzie i krótkiej zabawie z dziećmi, stanął przed regałami, szukając wśród książek czegoś o stosowaniu w przemyśle metali nieżelaznych. Miał chyba ze trzysta tomów o najróżniejszej treści, od wspomnień wojennych i zagadnień politycznych, poprzez reportaże ze wszystkich stron świata, na „Kubusiu Puchatku” kończąc. Było też nieco tytułów z chemii, fizyki i medycyny. Nie znalazł jednak tego, co chciał.

– Czego szukasz, Jerzy? – zagadnęła Krystyna. Siedziała przy stole i wciągała gumkę w dziecięce rajtuzy

– Mamy coś o metalach? Cynk, platyna i tak dalej.

– Zdaje się, że nie. Zobacz w Encyklopedii Technicznej.  
– Zaglądałem już. Za mało. No, nic. Wstąpię jutro do księgarni, może dostanę. Metaloznawstwo czy coś w tym rodzaju. Miałem... – urwał, bo zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. – Tak?

Mówił Litycki. Komenda Miasta w Poznaniu informowała o kradzieży w zakładach elektronicznych „E-15” i zabójstwie wartownika. Według wstępnej oceny dyrektora, zginęło ponad sześć kilogramów platyny, używanej w postaci siatki, jako katalizatora.

– Chcesz, żebym tam pojechał? – spytał Horny, wiedząc już, że trzeba rezerwować pokój w hotelu i że będą z tym kłopoty.

– Tak – odparł major. – Wartownika zabito nożem. Zabójstwem zajmie się miejscowa jednostka, od nas pojedzie też major Szczęsny. Macie pokój w hotelu „Merkury”, dwuosobowy. Sprawa jest pilna. Za trzy kwadransy pojedzie pod twój dom major Szczęsny. Czarny Mercedes, WG-1529. Masz forszę czy ci podrzucić?

Kapitan zastanowił się, przebiegł myślą zawartość portfela.

– Na pierwsze dni mam. Przekaż mi trochę na komendę w Poznaniu, to sobie odbiorę. Szczęsny zna szczegóły zabójstwa?

– Wątpię, dowiedział się o nim pół godziny temu. Daj mi jutro znać teleksem, jak sprawa wygląda. W razie potrzeby, przyjadę.

– Dobrze – odparł Horny i pomyślał, że postara się, aby tej potrzeby nie było. Litycki przeszkadzał mu w terenie, był

według, niego zbyt drobiazgowy i marudził.

Wrzucił do grubej, starej teczki pizamę, przybory toaletowe i spory zapas tytoniu. Po namyśle wziął jeszcze drugą fajkę, na wypadek gdyby z pierwszą się coś stało. Fajki miał dobrze przepalone i nie znosił nowych. Kiedy wyszedł przed dom, czarny Mercedes właśnie podjeżdżał.

– Witaj, tropicielu śladów! – rzekł, pakując się obok Szczęsnego na tylne siedzenie. Kierowca był z komendy, odwrócił się i uśmiechnął.

– Witaj, łowco platyny! – odparł major. Miał na sobie krótki, półwojskowy kożuszek, narciarskie spodnie, wpuszczone w sportowe buty i granatową „uszanke”.

– Skąd wiesz? – zaciekawiał się Horny. Sądził, że „ci od zabójstw” nie znają jego ostatnich zainteresowań. Nie czekając na odpowiedź, zapytał: – Kiedy to się stało?

– W nocy. Rano przyszedł wartownik ze zmiany, dzwonił, stukał do bramy, potem zaczęli schodzić się pracownicy zakładów. Drugie wejście, od tyłu, zamyka się u nich już po godzinie szesnastej. Wyważyli bramę, bo zamki tam widać mają dobre, weszli do wartowni, no i zobaczyli. Leżał na podłodze, mocno wykrwawiony. Dostał w prawą komorę serca, równiutko jakby ktoś wymierzył, nożem długości około dwunastu centymetrów. Jak tamten.

– Jaki tamten? Były dwa zabójstwa?

– Pasażer z pociągu. Władysław Szumski. Nie pamiętasz? Był komunikat w prasie i telewizji.

– Ach, tak. Przypominam sobie. Pracownik „Kolmetu”, prawda?

– Tak. Dwa tygodnie minęły... Nie mamy sprawcy.

Szczęśny powiedział to na pozór obojętnym tonem, ale Horny, który go znał, wiedział dobrze, ile ukrytej pasji i irytacji kryje się w tym stwierdzeniu: „nie mamy sprawcy”. Długoletni, doświadczony pracownik milicji, jakim był Szczęśny, nie znosił nie wykrytych spraw, zwłaszcza w przypadku zabójstwa. Męczyło go to, denerwowało, bezwiednie oczekiwał, kto jeszcze i kiedy padnie ofiarą, snuł przypuszczenia – kim jest morderca, jakie ma dalsze plany zbrodni, czy to człowiek normalny czy też typ patologiczny, zabijający na ślepo.

Jechali jakiś czas w milczeniu, wreszcie Horny odezwał się:

– Sądzisz, że te dwa zabójstwa mają ze sobą związek?

– Nie wiem. Mogą mieć. Czy to jest pierwszy sygnał o kradzieży platyny?

– O kradzieży pierwszy. Ale mamy informacje od naszego pracownika w Hamburgu, że z kraju idzie przemyt platyny, tam, do nich. Litycki nie wierzy. Twierdzi, że zbyt trudno sprawdzić w Hamburgu, skąd przemycają. Portowe miasto, wielkie, przemyt od dawna niewąski. A ja wierzę naszemu koledze. On ma dobrego nosa. Jeżeli twierdzi, że platyna idzie z Polski, z pewnością ma rację.

– Kto to jest?

– „C-6”.



Szczęśny uśmiechnął się przelotnie, znał „C-6” od kilku lat, nie odezwał się jednak, to była jego sprawa.

– Do czego używają platyny w tych zakładach? – spytał kapitan.

– Katalizatory. Skradziono ją z magazynu, jeszcze nie była używana. Wiesz, przyszło mi na myśl, że sześć kilogramów metalu w postaci bardzo lekkiej, delikatnej siatki, to musiały być spore paki czy worki! Objętościowo bardzo duże, musieli mieć samochód ciężarowy do wywiezienia. Klucze do magazynu były w wartowni. Znikły. Widocznie zabrali je ze sobą. No, z pewnością dyrekcja kazała już zmienić wszystkie zamki.

W Poznaniu byli wieczorem. Pokój w hotelu „Merkury”, ładny dwuosobowy na trzecim piętrze, był rzeczywiście dla nich zarezerwowany. Kierowca miał w Poznaniu rodzinę i rad był, że ją odwiedzi. W przegródce na klucz czekała na nich kartka z podanym telefonem, pod który mieli zgłosić się jeszcze tego samego dnia. Zostawili rzeczy, umyli ręce i zeszli na kolację. Ceny w restauracji były grubo powyżej ich kieszeni, postanowili jednak zjeść coś obfitszego, czekała ich ciężka robota, może długo w noc.

W restauracji było pustawo, marzec to nie był sezon targów, wystaw i różnych międzynarodowych imprez, w czasie których w poznańskich hotelach ani szpilki wetknąć. Szczęśny przestudiował kartę i zamówił barszcz z pasztecikiem,

a potem sandacza z wody. Horny wybrał bryzol, piwo i kawę.

W spokoju delektowali się każdy swoim daniem, kuchnia w „Merkurym” była doskonała, obojętnie, co by się jadło. Przy kawie kapitan wyciągnął fajkę, major papierosy, pogadywali o tym i owym. Wreszcie Szczęsny spojrzął na zegarek i rzekł:

– No, jeżeli mamy tej nocy pospać chociaż godzinę, to trzeba iść.

Po zapłaceniu rachunku wrócili do pokoju i zgłosili się telefonicznie do czekającego na nich oficera komendy. Obiecał, że za chwilę przyśle samochód, podał markę i numer rejestracyjny, gdyż nie był to radiowóz ze znakami MO. Po półgodzinie zajechali przed zakłady „E-15”.

\*

Wartownik jednak żył, choć ledwie, ledwie się w nim to życie kołatało. Przywieziono go do szpitala w karetce reanimacyjnej i długo lekarze próbowali zmusić upartą śmierć, aby odeszła.

Kiedy Szczęsny i Horny siedzieli w gabinecie dyrektora zakładów, pijąc kawę przygotowaną przez zaspaną sekretarkę, ze szpitala zadzwonił porucznik z komendy wojewódzkiej i zawiadomił ich z ulgą w głosie, że wartownik żyje, a co ważniejsze chyba żyć będzie.

– To dobrze! – ucieszył się dyrektor, starszy łysawy pan, ekonomista z wykształcenia. – Chłop ma rodzinę, troje

dzieciaków. Co by ta kobieta sama zrobiła.

– To dobrze – powtórzył Szczęsny, ale co innego miał jeszcze na myśli. Rodzina rodziną, do niego jednak należało wykrycie przestępcy czy też przestępców, bo ślady wskazywały na obecność co najmniej dwóch. – Mam nadzieję, że coś niecoś zauważył.

I zasępił się, bo wiedział, że człowieka, którego z takim trudem wyrwano śmierci, nieprędko będzie można przesłuchać.

Noża nie znaleziono. W magazynie, włamywacze nie zostawili ani grama platyny, oszczędzając wszystko inne, nawet drogie i poszukiwane stopy innych metali kolorowych. Ze zdjęć, bo teraz był już porządek na półkach i w pojemnikach, wynikało, iż sprawcy nie od razu trafili, do działu, gdzie przechowywano platynę, lecz szukali jej w różnych częściach długiego budynku magazynu. Mogło to oznaczać, że nie byli w zmowie z magazynierem ani z innym pracownikiem „E-15” i szli raczej na ślepo. Ale, o czym dobrze wiedział Horny, mogła to być również taktyka, przestępcza – krycie współnika, który może być jeszcze potrzebny.

Wartownik został prawdopodobnie zaskoczony w dyżurce, kiedy przygotowywał sobie herbatę. Elektryczna maszynka miała przepalone spirale, woda w czajniku wygotowała się, dno było popękane. Na stole leżał wyschnięty chleb z kiełbasą, obok stał półlitrowy kubek, biały w zielone kwiaty i torebka z cukrem.

– Nie ruszaliśmy jedzenia – powiedział komendant straży. – Tak to, zastał wartownik z rannej zmiany.

– Gdzie leżał napadnięty? – spytał Szczęsny, wodząc oczami po podłodze i po przybrudzonych ścianach dyżurki

– Tutaj – pokazał dyrektor. – Był ślad, zakreślony przez milicję, ale widocznie zatarliśmy butami – przyznał z zażenowaniem.

– Nie szkodzi, mamy zdjęcia.

W magazynie było takie mnóstwo najróżniejszych śladów linii papilarnych, że technik zbuntował się.

– Robotą na tydzień! – warknął do Hornego. – Tu przychodziła chyba cała załoga.

– Możliwe – odparł kapitan, aby coś powiedzieć. Nie martwiły go linie papilarne, był przekonany, że przestępcy działali w rękawiczkach.

Szczęsny zajrzał na chwilę do budynku, chociaż platyna go nie interesowała. Szukał czegoś innego i po godzinie znalazł: drobne smugi krwi na jednej ze ścian w pobliżu drzwi.

– Rękawiczka – rzekł na pytające spojrzenie Hornego. – Może płaszcz, kurtka. Zakrwawione poły albo brzeg materiału. Otarł tym o mur.

Pewnie nie zauważył, że na kurtce była krew, bo tak w ogóle, to działali bardzo ostrożnie i z namysłem. Ale ślad jest nikły i pewnie nie da się stwierdzić grupy ani cech... Czekać, tu jest coś jeszcze.

Schylił się, zajrzał pod niską półkę i zdjął z podłogi cienki, srebrzysty drut długości kilkunastu centymetrów. Podeszedł dyrektor, spojrzął na drut.

– To nasze – powiedział. – Z platynowej siatki.

Szczęśny miał na rękach bawełniane białe rękawiczki, nazywał je „kelnerskimi”, choć nigdy nie „widział takich u żadnego z kelnerów, ale kojarzyły mu się trochę z podawaniem do stołu. Trzymał teraz drucik i przyglądał mu się uważnie. Na jednym końcu przyczepiło się do metalu wąskie, delikatne jak pajęczyna, pasemko jakiegoś włókna.

Zbliżył się technik.

– Może być – rzekł z aprobatą. Chwycił pincetą drut i schował do koperty.

– Nie przywiązywałbym wagi – mruknął Horny.

– Oczywiście, że nie – odparł Szczęśny. – Ale znajdowanie śladów to moje hobby.

Roześmieli się, wyszli z magazynu. Ekipa śledcza udała się do samochodu. Technik i fotograf pogadywali półgłosem. Byli niezadowoleni, bo kazano im po raz drugi wykonywać tę samą robotę, tylko dlatego, że przyjechali „jacyś tam.” z Warszawy.

Dochodziła pierwsza, kiedy Szczęśny, któremu często dzień mylił się z nocą, poprosił dyrektora o teczkę personalne wszystkich wartowników, a także pracowników magazynu. Zmęczony kierownik zakładów spytał, czy nie dałoby się tego odłożyć do następnego dnia, gdyż cały wydział kadr śpi w

tej chwili snem sprawiedliwego i trzeba by tych ludzi ściągać z domów.

Major spojrzął na zegarek.

– Rzeczywiście. Nie zauważyłem, że już tak późno – usprawiedliwił się z zażenowaniem. – Dobrze, będziemy tu jutro z samego rana.

Horny kopnął go delikatnie w kostkę, wobec czego Szczęsny dorzucił spiesznie: – To znaczy, gdzieś koło dziewiątej.

Dyrektor, który wstawał codziennie przed szóstą i to był dla niego ranek, pokiwał tylko głową, ale nic nie powiedział. W gruncie rzeczy rad był, że do dziewiątej załatwi poranną odprawę z kierownikami i pocztę.

\*

Po południu następnego dnia siedzieli w komendzie wojewódzkiej i przeglądali meldunki operacyjne, a także sprawozdania służby drogowej, która od dwóch dni obserwowała pilnie wszystkie samochody, wyjeżdżające z Poznania, przede wszystkim zaś ciężarówki. Kierowcy, zdumieni nagłą, wzmożoną akcją kontroli pojazdów, spiesznie porządkowali delegacje, książki wyjazdów, karty rejestracyjne i wszystko, co było do porządkowania.

Funkcjonariusze zatrzymali kilka lewych kursów, przekazali komu trzeba służbowego Fiata 125p z jakiejś fabryki, który z Krakowa do Rzeszowa jechał przez Poznań, wycofali do baz kilka ciężarówek na oponach tak łysych, jak czaszka Brynnera – ale platyny nie znaleźli.

– Znam dość dobrze wszystkich wartowników z „E-15” – mówił do Szczęsnego porucznik z komendy, długoletni funkcjonariusz, Kowalik. – Nie chcę wam nic sugerować, majorze, ale to są ludzie pewni i oddani zakładom. Jestem przekonany, że żaden z nich nie brał w tym udziału. Zwłaszcza Hajnowski.

– Jaki jest jego stan?

– No, ciężki. Nie możemy go przesłuchać.

– A magazynierzy?

Kowalik zamyślił się.

– W tym, magazynie, o który chodzi, jest ich dwóch. Prócz tego, przy dużym ruchu pomaga czasem taki jeden emerytowany pracownik. Za tego gwarantuję. Zbowidowiec, zasłużony człowiek. Walczył o miasto w czterdziestym piątym, pod Cytadelą.

– Tamtych dwóch też znacie?

– Jednego. I to nie bardzo. Drugiego wcale. Cóż, to jeszcze o niczym nie świadczy. Tego drugiego przyjęli parę miesięcy temu. Nazywa się Stopka czy Stapka... coś takiego.

– Może Stonka? – burknął Horny z niezadowoleniem. Porucznik powinien wiedzieć dokładnie, był w grupie prowadzącej sprawę.

Kowalik zmieszał się, zakaszłał.

– Stańko – rzekł już z pewnością w głosie. – Waclaw Stańko.

– Przesłuchiwaliście go? Bo nie widzę tutaj protokołu.

– Nie. On jest na urlopie. Pytałem w domu, ale wyjechał do Karpacza. Tydzień temu.

- Czy wobec tego pierwszy magazynier był sam od tygodnia?
- Pomagał mu emeryt.
- Stańko przyszedł do pracy kilka miesięcy temu i już pojechał na urlop?
- Mógł mieć przeniesienie służbowe. Dowiem się.
- Sprawdźcie, jak wygląda sprawa z tym Karpaczem. Szybko! I dajcie mi znać do hotelu.

Wrócili do „Merkurego”. Kolację zjedli przezornie gdzieś po drodze, dietę dzienną diabli wzięli już przy śniadaniu. Po-tem Horny zasiadł w holu przed telewizorem, a Szczęsny czekał w pokoju na telefon od porucznika. Wpierw jednak zadzwoniła Warszawa. To był Polewski, w oględnych słowach powiadomił majora, że jeden z techników nasłuchu dwukrotnie złapał początek „Tańca szkieletów” Camilla Saint-Saënsa.

- A jednak! – wykrzyknął Szczęsny. – Kto to jest, jakiś amator?
- Nie wiem jeszcze. Szczegóły, jak wrócisz.
- Dobrze. Proszę o dalszą uwagę na tańczące gnaty.
- Zrobi się. Wykształciłeś muzykalnie moich chłopaków.
- Widzisz, mają ze mnie pożytek.
- Kiedy wracasz?
- Nie wiem – odparł Szczęsny ostrożnie. Pomyślał o nieprzytomnym, ciężko rannym Hajnowskim i powtórzył: – Nie wiem.

Kiedy odłożył słuchawkę, zadzwonił porucznik. Był



podekscytowany, wskutek czego jąkał się trochę. Szczęsny słuchał cierpliwie, przeczekując irytujące pauzy. Okazało się, że Stańko do Karpacza nie dojechał, w każdym razie nie było go w domu wczasowym, którego nazwę i adres podała jego żona.

– Możę się zadekować u jakiejś babki? – podsunął Szczęsny. – Na wszelki wypadek, niech go poszukają koledzy z jednostki w Karpaczu.

Przekażcie im oficjalny powód: kradzież w magazynie. Stańko może nam być potrzebny.

Odłożył słuchawkę, wyszedł do hallu. Horny spojrzął na niego pytająco, zaraz jednak rzucił okiem na telewizor. Był czwartek, szedł jakiś film Hitchcocka. Szczęsny przysiadł w fotelu, ale po paru minutach zauważył, że nie wie, o co chodzi tym ludziom na ekranie. Myśli jego krążyły ciągle wokół tajemniczej melodii, nadawanej przez tajemniczego radioamatora.

Podniósł się i bezszelestnie po miękkim dywanie przeszedł do windy. Była regulowana przez fotokomórkę, otworzyła się, kiedy stanął przed drzwiami. Nacisnął parter, zjechał jednak tylko na drugie piętro, bo tam ktoś wsiadł. Mężczyzna około pięćdziesiątki, z rzadkimi, lekko rudawymi włosami, w czworokątnych okularach lekko przyciemnionych, uśmiechnął się kątami warg i mruknął:

– I'm sorry. – Wsadził ręce w kieszenie spodni, pogwizdywał coś cicho. – Przeszkodziłem panu?

Szczęsny znał dobrze angielski, nie odezwał się jednak.

Coś go zirykowało w tym człowieku, nie wiedział co – spojrzenie, wygląd, może głos, może nawet to pogwizdywanie. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że irytacja jest nie uzasadniona, po prostu tamten przeszkodził mu w spokojnym myśleniu.

Wysiedli na parterze. Recepcjonistka spojrzała na mężczyznę w czworokątnych okularach i zawołała półgłosem:

– Herr Zintau! Ein Telegram für Sie.

– Danke – odparł, podszedł do niej i odebrał blankiet.

„Niemiec, a przeprasza po angielsku” – Szczęsny pomyślał o tym zupełnie przelotnie, w końcu nieznany mężczyzna mógł być Szwedem, Duńczykiem, Holendrem. Pokręcił się po dużym hallu, przystanął przed oszkloną ścianą i patrzył na miasto, migocące światłami. Widać stąd było część Uniwersytetu i daleki zarys Zamku, w którym mieścił się teraz Pałac Kultury. Przed hotel zajechał autokar, wyszła z niego grupa turystów, chociaż nie był to jeszcze sezon, widać korzystali z wolnych miejsc. Cicho grało radio w barku kawowym na drugim końcu hallu.

– To „Łabędź” – powiedział ktoś obok niego.

– Griega? – spytała jakaś dziewczyna.

Pierwszy głos roześmiał się.

– Ależ skąd! Sain-Saënsa – odparł w wyższością.

Szczęsny odwrócił się gwałtownie. Kilka kroków dalej stała jakaś para, młody człowiek w luźnym, szarym swetrze i jego towarzyszką w czarnych obcisłych spodniach i kolorowej

bluzce z szerokimi rękawami. Miała długie, opadające na ramiona, jasne włosy. Zdecydował się w jednej chwili.

– Przepraszam pana – podszedł do nich, młody człowiek spojrział ze zdziwieniem. – Słyszałem, że wymienił pan nazwisko tego francuskiego kompozytora. Wolno spytać, czy jest pan muzykiem?

– Trochę – roześmiał się, dziewczyna uśmiechnęła się również. – Wie pan, po prostu grywam po amatorsku. Ale interesuję się muzyką.

– To tak, jak ja – zełgał Szczęsny gładko. – Jestem przejazdem w Poznaniu, może pan wie, czy można tu dostać płytę z „Tańcem szkieletów”?

– Boże! – zawołała dziewczyna z przestachem i znów się uśmiechnęła. – To musi być okropny utwór.

– Ciekawy – stwierdził jej towarzysz. – Trudny w odbiorze. Nie wiem, proszę pana. My też jesteśmy tu przejazdem i nie chodziliśmy po sklepach. Jutro wyjeżdżamy. Wątpię, czy pan gdzieś znajdzie taką płytę. Jeżeli się orientuję, „Taniec szkieletów” nie był w ogóle po wojnie nagrywany u nas. Może wskutek zbyt przykrych skojarzeń wojennych... rozumie pan, obozy i w ogóle.

– Tak, pewnie ma pan rację.

– A dlaczego pan szuka właśnie tego utworu Saint-Saënsa? Nie zdarzyło mi się spotkać kogoś, kto by lubił „Taniec szkieletów”!

- Sam tytuł jest okropny – wtrąciła dziewczyna.
- Zbieram wszystkie nagrania tego kompozytora – odrzekł Szczęsny i czując, że rozmowa przybiera obrót niekorzystny dla jego wiadomości muzycznych, pożegnał spieszenie młodą parę.

\*

Po dwóch dniach czekania na moment, w którym wartownik Hajnowski będzie mógł powiedzieć kilka zdań, Szczęsny zrezygnował z dalszego pobytu w Poznaniu. W końcu trudno było siedzieć tygodniami, a tyle mogło trwać, jak powiedział lekarz, przywrócenie chorego do stanu zdrowia. Uzgodniwszy z oficerami komendy wojewódzkiej, że powiadomią go natychmiast, gdy z Hajnowskim będzie można porozmawiać, pożegnał miasto, hotel i Hornego. Ten miał w Poznaniu jeszcze sporo roboty.

Jak dotąd, nie natrafiono na ślad magazyniera Stańki. Nasuwało to różne podejrzenia, jakkolwiek sprawa mogła być całkiem prozaiczna. Znajomi pobąkiwali o jego nienajlepszych stosunkach z żoną, o jakiejś Danucie – włosy blond, w biodrach osiemdziesiąt osiem, jeżeli można mu było wierzyć na słowo, bo nikt dziewczyny nie widział. Urlop magazyniera kończył się za trzy dni, więc Horny postanowił po prostu poczekać.

Szczęsny wrócił do Warszawy i zaraz na drugi dzień zjawił się u Polewskiego.

- Jestem – powiedział. – Co nowego?
- Jak twój trup? – odparł pułkownik pytaniem.
- Żyje.
- Co ty powiesz! Interesujące.
- Ustaliłeś, kto nadaje tę melodię?
- Niezupełnie.

Major przysiadł na parapecie okiennym i spoglądał na przyjaciela z niedowierzaniem.

- Nie złapaliście go? Jak to możliwe?
- Widzisz – Polewski przejechał palcami po bujnej, ciemnej czuprynie, gęsto już poprzątkanej siwizną – powiedz mi, czy ty znasz się na krótkofalówkach amatorskich?

– Trochę.

– No, to pewnie wiesz, że eter jest już dzisiaj strasznie zaśmiecony. I niełatwo trafić od razu bezbłędnie na właściwego faceta. Nasi technicy namierzyli melodię w paśmie osiemdziesięciu metrów, ale już za drugim razem wyszło im odchylenie około jednego kHz. Może to być więc na przykład 28 MHz, ale może również 28,002 lub coś koło tego. Służby nasłuchowe zwracają oczywiście uwagę na całe pasmo częstotliwości i na wszystkie odchylenia i wiemy, kto jest zarejestrowany na takiej częstotliwości, a kto na innej. Rzecz w tym jednak, że aby złapać dokładnie tego, o którego nam chodzi, trzeba by już uruchomić pelengację.

– Rozumiem. W każdym razie pasmo, na którym on pracuje, wynosi osiemdziesiąt metrów, a częstotliwości są zmienne, tak?

- Mniej więcej.
- Czyli, daje nam to kilka względnie kilkanaście możliwości. Kilkanaście nazwisk właścicieli radiostacji krótkofalowych. To się przecież da ustalić. Jeżeli będę miał nawet piętnaście nazwisk, dam sobie radę.
- Nie wątpię. Myśmy ostatnio ustalili, na jakiej częstotliwości nadają twój „Taniec szkieletów”. Tylko, że tego człowieka od dwóch miesięcy nie ma w kraju. Mieszkanie jest zamknięte, z żoną rozszedł się od paru lat, dzieci ani dziadka z babcią nie ma. Dlatego powiedziałem ci na początku, że ustaliliśmy niezupełnie. Po prostu tak: wiemy, na czyjej krótkofalówce nadawano, nie wiemy, kto nadawał. Nie badałem tego bliżej, bo to twoja sprawa.
- Nie sądzisz, że teraz to już trochę i twoja?
- Pułkownik zaprzeczył ruchem głowy.
- Nie mam żadnych danych, aby tak myśleć. Człowiek, na którego zarejestrowana jest krótkofalówka, cieszy się naszym zaufaniem. To były wojskowy, odszedł stamtąd po ciężkim wypadku, jest inwalidą. Teraz pracuje w cywilnej branży, jako chemik. Często wyjeżdża służbowo za granicę. Oczywiście, nie siedzę w człowieku, wszystko jest możliwe na tym najlepszym ze światów... Bywało tak zresztą, o czym wiesz. Ale, powtarzam, tutaj nie ma żadnych podstaw. Nie możemy zajmować się każdym, kto sobie wygrywa melodie przy pomocy nadajnika. Może ma akurat takie hobby? Zresztą, nie przekracza dozwolonych, międzynarodowych przepisów, że muzyki nie wolno nadawać dłużej niż pięć minut. Pewnie nadaje z magnetofonu, nagrał sobie. Wolno mu. Może to

sygnał dla jakiegoś zespołu muzycznego?

Szczęsnemu zabłyśły czarne, wąskie oczy.

– Żartujesz! – powiedział ostro.

– Żartuję – przyznał pułkownik. – Wolałem jednak z tym wszystkim na ciebie poczekać. W końcu, to się wiąże z twoją sprawą. Zobaczymy, co będzie dalej. Może w pewnym momencie zaczniemy współpracę.

– Podaj mi jego nazwisko i adres tego mieszkania.

– Proszę cię. To jest inżynier Ryszard Kawecki, ulica Barbary jeden, mieszkania czterdzieści sześć. Znak wywoławczy stacji: SP 5 XXX.

– I powiadasz, że od paru miesięcy jest za granicą? Gdzie on pracuje?

– W Biurze Konstrukcji Przemysłowych „Ultor” na Krucezej. Klucze od mieszkania zostawił sprzątacze z biura, która od czasu do czasu zagląda, wietrzy, sprawdza, czy nie cieknie z sufitu i takie tam. Mój pracownik z nią rozmawiał. Kobieta starsza, prosta. W zasadzie wykluczam, żeby umiała obsługiwać krótkofalówkę, natomiast mogła komuś wypożyczyć klucze, do czego się nie przyznaje. Myślę, że któryś z twoich dzielnych chłopców wyręczy moich w deptaniu tej babce po piętach. Sprzątaczkę miewają na przykład bratanków czy siostrzeńców albo szwagrów, rodzina może być liczna, a klucze pewnie leżą w jej mieszkaniu na komodzie. Radioamatorów u nas na pęczki; w Lidze Obrony Kraju można się nauczyć nie

tylko, jak obsługiwać krótkofalówkę, ale i jak ją skonstruować.

– Dobrze, Tadeusz. Jeszcze dzisiaj zaczniemy obserwować sprzątaczkę i zainteresujemy się bliżej jej krewniakami.

## Rozdział 3

„Alfa”; wszedł cicho do pokoju, nie zapalając światła. Była głęboka noc, godzina druga, wtedy śpi się najlepiej, prawie nikt jeszcze nie wstaje, żadnych samochodów na ulicy, pusto na podwórzu. Mimo to „Alfa” nie odważył się przekreślić kontaktu, chociaż zasłony na oknie były zaciągnięte. Zauważywszy to, zmarszczył brwi i stał parę minut, próbując sobie przypomnieć czy poprzednim razem tak było, czy też okno pozostawił odsłonięte.

Tak, pamiętał dobrze, zasłony – gęste, ciemnozłotego koloru – wisiały po brzegach okna, przez które przebijał mocny blask księżycy w pełni.

A więc od tamtej pory w mieszkaniu ktoś był. Wiedział, że przychodzi tu sprzątaczką z biura. Wiedział również, że każdego dnia może powrócić inżynier Kawecki. I chociaż liczył na niezawodność informacji „Bety”, to jednak mogło się zdarzyć, że Kawecki przyspieszy swój powrót O parę dni, nie zawiadamiając o tym nikogo.

„Beta” upewnił go dzisiaj, że inżynier w dalszym ciągu przebywa w Londynie. Wobec tego okno zasłoniła sprzątaczką.



„Alfa” zapalił ręczną latarkę, miała niebieskie światło, nie dostrzegalne przez brokatowe zasłony. Położył ją na biurku, tak, aby w tym półmroku mógł się jednak poruszać i nie spowodować hałasu. „Alfa” znany był z ostrożności.

Szara nieduża walizka, stojąca na biurku, nie była w istocie walizką, chociaż przypominała ją na pierwszy rzut oka. Przed oczami „Alfy” znajdował się piękny nowoczesny transceiver japońskiej firmy „Kenwood”, czyli nadajnik i odbiornik w jednej obudowie. Usiadł przy biurku, ze swojej podręcznej torby wyjął mały kasetowy magnetofon, położył obok radiostacji. Potem spojrzął na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu, całe siedem minut.

Nagle przyszło mu na myśl, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie zabezpieczył „Kenwoodu”. Poprzednim razem i wcześniej tak nie było, prawdopodobnie Kawecki zapomniał o zabezpieczeniu albo też nie przywiązywał do tego wagi. Jeżeli jednak później ktoś był w mieszkaniu, mógł to być fachowiec, powiedzmy, kolega z Polskiego Związku Krótkofalowców, to „Alfa” miał prawo spodziewać się, że zasilanie płynie teraz przez automat.

Sądził, że da sobie radę, dysponował kilkunastu precyzyjnymi narzędziami; kwestia tylko, czy automat zamknięty jest na klucz typu Yale czy na polski Yeti. Miał zresztą sposób na oba.

Delikatnie dotknął małego czarnego klawisza z prawej strony. Przełącznik drgnął i dał się przesunąć bez kłopotu. A więc i tym razem zabezpieczenia nie było. To dobrze. Pokręcił

gałkami, usłyszał głosy, urywki rozmów, szmery i szумы typowe dla pasma osiemdziesięciu metrów. Spoglądając co chwila na zegarek, szybko odnalazł swoją częstotliwość i zestroił nadajnik, aby ustawić jego największą moc. Potem, w błękitnym świetle latarki wymacał na biurku mikrofon, przysunął go, otworzył magnetofon. Taśma była już założona.

Jeszcze półtorej minuty. „Alfa” poczuł, że spocily mu się ręce. Zdjął cienkie rękawiczki, wytarł palce chusteczką do nosa, popatrzył w ciemne okno. Na kilka sekund wyłączył zasilanie, bo zdawało mu się, że skrzypnęły drzwi wejściowe. Ale w mieszkaniu panowała cisza, więc znowu uruchomił radiostację, poprawił częstotliwość.

Kiedy wskazówki zegarka dotykały już niemal godziny drugiej dwadzieścia, wcisnął klawisz magnetofonu i otworzył mikrofon. Rozległy się suche, ostre dźwięki pierwszych taktów „Tańca szkieletów”. Niespokojna melodia „popłynęła w eter. Urwała się precyzyjnie po dwóch minutach. Teraz „Alfa” musiał odczekać sześć minut, po czym powtórzył nadawanie.

Znowu ze zdenerwowania spocily mu się ręce, poczuł, że i czoło ma mokre. Zdziwił się. Strach? Nerwy? Odpowiedział sam sobie, że to przez ten upał w nie wietrzonym pokoju, ogrzewanym dzień i noc kaloryferem. Było duszno, gorąco.

Po sześciu minutach po raz drugi odezwał się ten sam fragment utworu, po czym „Alfa” wyłączył magnetofon i radiostację. Szybko, sprawnie pozbierał swoje rzeczy, wsunął

magnetofon do torby, rozejrzył się dokoła, czy wszystko pozostawił w takim stanie, w jakim było poprzednio. Potem, cicho stąpając w miękkich, obcisłych pantoflach, wyszedł z pokoju. Na dziś, jego rola była skończona.

\*

Dyżurny technik nasłuchu, nie zdejmując z głowy słuchawek, zanotował:

„SP 5 XXX godzina 02.20 nadawał przez dwie minuty melodię «Tańca szkieletów». Po sześciominutowej przerwie powtórzył, po czym wyłączył nadawanie.”

Nie był to formalny meldunek, technik zapisał tę informację dla pułkownika Polewskiego, na oddzielnej kartce, bo tak mu polecono.

\*

Paręset kilometrów od Warszawy, w głębi lasów nadodrzańskich, w drewnianym starym domu, nie w pokoju, lecz na poddaszu, siedząc przy stole, na którym stał taki sam odbiornik „Kenwood” i o godzinie drugiej” dwadzieścia nastawiony był na odbiór – „Gamma” wsłuchiwał się uważnie w szumy, trzaski i głosy z eteru. Kilka sekund po wyznaczonym terminie poprzez te wszystkie dźwięki przebiła się daleka, lecz dość wyraźna melodia.

„Gamma” nigdy nie był zbyt muzykalny, sam mówił o sobie, że w dzieciństwie słoń mu nadepnął na ucho. Tę melodię

jednak znał i rozróżniał wśród tysiąca innych, musiał ją znać i pamiętać. Czasami dziwił się trochę, dlaczego „Delta” nie wybrał czegoś przyjemniejszego dla ucha. Ot, choćby jakiegoś wesołego walczyka, może nawet marsza. „Delta”, później, jak był już w lepszym humorze, wyjaśnił mu, że umyślnie wybrano coś, co jest nieładne, bardzo rzadko grane i w związku z tym w maksymalnym stopniu wyklucza pomyłkę.

O tym wszystkim „Gamma” myślał, czekając cierpliwie przez sześć minut na następny fragment melodii. Wiedział, że gdyby się nie powtórzyła, nie byłoby to niedbalstwo ze strony „Alfy”, lecz wyraźnie określona sytuacja. I wiedział, co ma w takiej sytuacji zrobić.

Jednakże „Taniec szkieletów” znów odezwał się w eterze. „Gamma” wysłuchał fragmentu do końca, poczekał jeszcze chwilę, potem wyłączył odbiór. Po półgodzinie uruchomił nadajnik. Ten sam fragment utworu, tak samo powtórzony, poleciał tym, razem o wiele dalej, poza granice kraju.

Około czwartej nad ranem „Gamma” poruszył się niespokojnie, przyśniły mu się, nie wiadomo dlaczego – szaroniebieskie mundury i kilka par oczu, patrzących na niego groźnie. Zbudził się, jęcząc ze strachu. Zaklął, wyszedł spod kołdry i ciężko stąpając bosymi nogami poszedł do drugiego pokoju. Otworzył kredens, nalał sobie pół szklanki jarzębiaku, wychylił duszkiem, zakrzuszył się i rozkaszał. Żona zbudziła się, zawołała coś tam gniewnie. Nie odpowiedział. Wrócił do

łóżka, zepchnął ją na sam brzeg, bo rozłożyła się na jego poduszce, owinał się kołdrą.

– Zamknąłeś strych? – spytała, rozbudzona.

Odburknął, że tak, o takich rzeczach nie zapominał.

\*

Na drugi dzień pułkownik Polewski przeczytał kartkę, podaną mu przez technika nasłuchu i połączył się ze Szczęsnym.

– Masz wiadomość – rzekł bez wstępu. – To samo, co zawsze.

– U tego samego faceta?

– Tak. Bierz się do roboty.

Szczęśny dobrze wiedział, że trzeba brać się, i to szybko. Nieznany osobnik, buszujący na cudzej radiostacji, musiał mieć jakieś powiązanie ze sprawą wyrzucenia z pociągu Władysława Szumskiego. Jeżeli osobiście tego nie dokonał, to w każdym razie był w to wmieszany. „Taniec szkieletów” też.

Wszedł do gabinetu swego szefa, powtórzył wiadomość od Polewskiego i powiedział:

– Potrzebna mi będzie ekipa, wóz i radiostacja. Na dwa do trzech tygodni. Współpraca z kapitanem Hornym, współpraca z Komendą Stołeczną – wyliczał, rozstawiając palce – sześciu ludzi do obserwacji. Potem może przewodnik z psem.

Toporski słuchał z przymkniętymi oczami, nie przerywał. Kiedy Szczęśny umilkł, szef nagle uniół powieki i spojrzał na

niego bystro, zapominając na chwilę o swoich kamieniach żółciowych.

– Co z tym łączycie? – spytał.

Szczęśny odpowiedział bez wahania:

– Kradzież platyny z zakładów „E-15” w Poznaniu oraz usiłowanie zabójstwa wartownika łączy się, według mnie, z wyrzuceniem z pociągu Władysława Szumskiego, z pojawieniem się platyny w Hamburgu, a także z nadawaniem przez radiostację KF urywka „Tańca szkieletów”. To jest jakiś sygnał. Znak. Może...

Przerwał, bo na biurku Toporskiego zadzwonił telefon. Pułkownik wziął słuchawkę, chwilę posłuchał i oddał majorowi bez słowa.

Dzwonił Polewski. Miał dla niego drugą informację. Tę samą melodię nadawała nad ranem nieznana radiostacja o dość dalekim zasięgu, umieszczona gdzieś w lasach nad Odrą. Nasłuch był w tym przypadku nienajlepszy, trudno więc było ustalić dokładne pasmo częstotliwości. W każdym razie, tajemniczy radiooperator odezwał się w tych okolicach chyba po raz pierwszy.

Szczęśny odłożył słuchawkę i zamyślił się tak głęboko, że prawie zapomniał o obecności szefa.

– No? – spytał w końcu Toporski, nie mogąc się doczekać wyjaśnienia.

Major ocknął się, poinformował w czym rzecz.

– Myślę, że dojdzie wam do tego wszystkiego współpraca z kontrwywiadem – rzekł pułkownik. – Ten sygnał idzie

prawdopodobnie za granicę. I chyba przez dwie radiostacje. Ciekawe dlaczego.

– On stąd nie może – wyjaśnił Szczęsny. – Zbyt wielkie ryzyko. Pewnie podaje komuś w kraju, a ten wysyła dalej. Tamta radiostacja jest nie zarejestrowana, facet może się przenieść z miejsca na miejsce. Powiedzmy, że ma ją wmontowaną w samochodzie.

– Na daleki zasięg potrzebuje dużej anteny. Samochodowa nie wystarczy.

– Ale samochodem można podjechać na przykład w głąb Puszczy Kampinoskiej i tam rozwinąć antenę dipolową o poziomej polaryzacji. Ma zasięg kilkuset kilometrów. Wystarczy do Hamburga.

Toporski uśmiechnął się.

– Podkształciliście się w krótkofalówkach – rzekł. – Przyda się. A co do tej ekipy i tak dalej... – pomyślał chwilę, zanotował w kalendarzu parę zdań. – Poinformuję was za godzinę, półtorej.

Szczęsny mruknął coś pod nosem, wymownie spojrzął na zegarek i wyszedł. Nie lubił nic odkładać. Chciał zmontować zespół operacyjno-śledczy już dzisiaj, zaraz. Za dwie godziny powinni wyjechać w teren. Najdalej wieczorem. A tymczasem pułkownik zwleka.

Wrócił do pokoju. Na jego biurku leżała kartka: „Zadzwoń do Tadeusza, nie przedstawił się, mówił, że będziesz wiedział.” Wiadomość napisał jeden z kolegów. Szczęsny zdziwił

się: znowu Polewski? Tadeuszów znał kilku, toteż wahał się chwilę, zanim nakręcił numer pułkownika. Ale to rzeczywiście dzwonił on.

– Kawecki wraca dzisiaj do Warszawy – powiedział. – Mam w związku z tym pewien plan i chcę go z tobą skonsultować.

– Dobrze. Wpadnij do Komendy, bo mnie tu stary uwiązał, mam czekać na decyzję, więc nie mogę wyjść.

– W porządku. Będę niedługo.

\*

„Alfa” po raz pierwszy odważył się skrytykować polecenie „Deltę” i to w jego obecności. Od tygodnia nie miał kontaktu z „Beta”, który wyjechał gdzieś w teren. Nie wiedział więc, czy właściciel SP 5 XXX przypadkiem nie powrócił do Warszawy. Oczywiście mógł to sprawdzić sam, sposób by się znalazł. Nie chciał jednak ryzykować. Na takie rzeczy nie zgadzał się sam „Omega”. Instrukcje, które wydał i od czasu do czasu uzupełniał, były wyraźne. „Alfa” wiedział, że żaden osobisty kontakt z inżynierem Kaweckim nie jest dozwolony.

Powiedział to wszystko „Delcie”, chciał wytłumaczyć, dlaczego nie może tym razem wejść do mieszkania inżyniera, i prosił, aby poczekali na powrót „Bety”. Tłumaczenia nie pomogły, prośby też nie. Pod presją ostrych słów „Alfa” ugiął się i zgodził.

Wszedł teraz do mieszkania tak ostrożnie, jak tylko się dało,



niemal nie dotykając stopami podłogi, zatrzymywał się co chwila i nasłuchiwał niczym tropione zwierzę. I dopiero kiedy przekonał się, że mieszkanie jest puste, odetchnął z ulgą.

W pokoju, gdzie stała radiostacja, coś się jednak zmieniło. Zorientował się, kiedy tylko dotknął przełącznika. Transceiver był, zabezpieczony. „Alfa” pomyślał jeszcze, że być może nastąpiła awaria prądu, a ponieważ zasłony były zaciągnięte, zaryzykował i przekręcił kontakt lampki, stojącej na biurku. Rozbłysła światłem, zgasił ją więc czym prędzej.

Albo inżynier wrócił, zabezpieczył stację i znowu wyjechał, albo... Właśnie. Ta druga możliwość była niepokojąca. Bo jeżeli jest w Warszawie, to może tu się zjawić w każdej chwili. Dobrze, jeżeli po nadaniu melodii. Gorzej, jeżeli przed.

„Alfa” zapalił swoją niebieską latarkę i przesunął światłem po biurku, szukając automatu. Znalazł go dość łatwo, zobaczył, że jest zamknięty na Yale. Dobra! narzędzie, delikatnie manipulował przy kluczu, aż otworzył automat. Wtedy zaczął się śpieszyć, dochodziła druga dwadzieścia. Włączył magnetofon, później te sześć minut czekania dłużyły mu się jak nigdy, wciąż nasłuchiwał, czy nie usłyszy szcęknięcia zamka w drzwiach wejściowych. W domu była jednak cisza. Skończył wreszcie nadawanie, uporządkował biurko. Potem wyszedł, tą samą drogą, którą zawsze wchodził.

\*

– Teraz! – powiedział porucznik. Jego towarzysz szybko uruchomił małą, przenośną radiostację, wywołał obserwatorów na klatce schodowej, w bramie i na ulicy, po kolei każdemu oznajmił to samo.

Czekali później w napięciu. Na ekranie telewizora nic już teraz nie było widać, chociaż kamera ukryta w mieszkaniu inżyniera Kaweckiego pracowała bez przerwy. Porucznik patrzył na ulicę, wejście do domu przy Barbary jeden było jednak wciąż puste. Widział tylko sylwetki wywiadowców, a kiedy popatrzył w lewo, dostrzegł maskę zaparkowanego przy chodniku Fiata125p.

– Co tam się dzieje? – szepnął niespokojnie. – Jeżeli go przytrzymali na schodach, to powinni już dawno wyjść.

– Pójdę zobaczyć – odparł sierżant.

Wyszedł z mieszkania, narzuciwszy kurtkę i czapkę. W bramie obserwowanego domu przyłączyli się do podoficera dwaj wywiadowcy, również zdziwieni, że nikt dotąd nie pokazał się na dole. Na klatce schodowej było zupełnie cicho. Nikt nie schodził, nikt nie jechał windą.

– Może jeszcze nie wyszedł z mieszkania? – rzekł jeden z wywiadowców.

– Ty zostań przy windzie, a my podejźmy schodami na szóste piętro – zdecydował sierżant.

Stali później na górze, nadśluchiwali przed drzwiami, czy

ktoś tam nie chodzi, ale nie dobiegał do nich żaden szmer.

– Zasnął albo zemdłał – szepnął któryś.

Sierżant, nie chcąc porozumiewać się na schodach przez radiostację, postanowił wrócić do porucznika. Wywiadowcy zostali. Po trzydziestu minutach daremnego wyczekiwania, porucznik wraz z sierżantem i inżynierem Kaweckim weszli do mieszkania. Oficer wysunął się do przodu z pistoletem w rękę. Najpierw ostrożnie, potem z coraz większym zdumieniem przetrzasnęli całe M3, zaglądając nawet do szaf i pawlaczka. Nie znaleźli nikogo.

– Nie rozumiem! – wykrzyknął Kawecki. – Przecież wyraźnie widzieliśmy, jak nadawał przy moim biurku!

Porucznik podszedł do regałów, wyjął z grubego tomu „Wielkiej Koalicji” ukrytą tam kamerę. Bezradnie rozejrzał się dokoła. Okno było zamknięte, zresztą z szóstego piętra nikt by dobrowolnie nie wyskakiwał, chyba samobójca. Balkon w drugim pokoju był również zamknięty.

– Automat otworzył pewnie kluczem takim, jak mój – mówił inżynier, przyglądając się radiostacji. – Albo... o, proszę! – oznajmił z triumfem, podnosząc z dywanu ledwie dostrzegalną nitkę – ta nitka znajdowała się na automacie. Specjalnie ją tam położyłem, żeby mieć pewność, czy ktoś się do niego nie dobiera. Facet nie zauważył pułapki, czemu zresztą się nie dziwię. Latarka dawała bardzo mało światła.

– Kamera pokazała nam w każdym razie, na jakim

paśmie częstotliwości pracował – zauważył oficer. – Dobrze i to. Ale gdzie on się podział, u diabła?!

Jeszcze raz, chociaż bez większej nadziei, bo w końcu chodziło tylko o czterdzieści parę metrów powierzchni, przeszukali całe mieszkanie. Nie było nawet śladu czyjejś obecności. Osobnik, który na krótkofalówce SP 5 XXX nadawał swoje sygnały, po prostu rozpułynał się w powietrzu. Zarówno droga, którą wszedł, jak i niespodziewane zniknięcie pozostawało tajemnicą.

– Kto mieszka obok pana? – spytał porucznik.

– Z lewej strony jakieś małżeństwo, nie utrzymuję z nimi kontaktów – odparł Kawecki. – W ogóle zbyt czysto wyjeżdżam, aby znać sąsiadów. Po prawej stronie jest ściana szczytowa. Wykluczone, żeby ktoś tamtędy mógł się wdrapać. Cóż, widocznie popełniłem błąd powierzając klucze naszej sprzętaczce.

– Nie przypuszczam – rzekł oficer. – Gdyby ten osobnik wszedł przy pomocy dorobionych kluczy, musiałyby tą samą drogą wyjść. A przecież tego nie zrobił. Nasi pracownicy znajdowali się na klatce schodowej i przy windzie, a także w bramie. Zakładając nawet, że przemknął się tylko do sąsiadów obok, musiałyby natychmiast zostać zauważony.

– No, ale przecież nie wyparował! – wykrzyknął inżynier z irytacją. – Jeżeli tu był, jeżeli nie wszedł, to musi wciąż jeszcze znajdować się w moim mieszkaniu! A więc, gdzie

jest? Ani sufit, ani podłoga nie otwierają się, panowie, cudów nie ma, to jest budownictwo wielkopłytowe! Facet nie ulotnił się również przez muszlę w łazience, nie jest szczurem wodnym. Na balkonie go nie ma i...

Urwał, bo sierżant nagle wyszedł do drugiego pokoju, otworzył drzwi balkonowe. Poszli za nim, stanęli na progu. Balkony ciągnęły się jedną długą linią, każdy był odgrodzony od sąsiedniego matową wysoką szybą, wpuszczoną w żelazną balustradę.

– Przełazł przez barierkę? – zdumiał się Kawecki. – Na tej wysokości, to trzeba być cyrkowcem. W takim razie mógł dotrzeć do każdego z tych kilkunastu mieszkań, które mają balkony na szóstym piętrze.

– Tak – przyznał porucznik, oglądając barierkę. – Jeżeli ktoś nie odczuwa lęku przed wysokością, to może sobie przejść w ten sposób nawet na drugi koniec wieżowca. Cholera! Że też mi to nie przyszło go głowy. Nie obserwowaliśmy balkonów. Założyłem, że facet wyjdzie normalnie, drzwiami.

– Nie wiem, czy to by coś dało – zauważył inżynier. – Balkony są nie od ulicy Barbary, ale od skweru, tu jest prawie zupełnie ciemno, proszę popatrzeć w dół.

Rozległy trawnik z kępą drzew i krzewów pośrodku nie był niczym oświetlony, nie paliła się tu ani jedna latarnia. O tej godzinie nie rozjaśniał też ciemności odblask z żadnego okna.

– No dobrze – sierżant wciąż rozglądał się niezdecydowanie po balkonie, potem wrócił do pokoju, zamknął drzwi

– zastanawia mnie jednak, w jaki sposób on sobie poradził z drzwiami balkonowymi? Przecież musiał najpierw je od zewnątrz otworzyć, a z tamtej strony nie ma klamki, potem, również z zewnątrz, zamknąć.

– Prawda – przyznał Kawecki ze zdziwieniem. – Jak weszliśmy, te drzwi były zamknięte.

W takim razie... w takim razie, którędy on wszedł i wyszedł, do jasnej cholery!?

\*

Szczęśny i Polewski słuchali porucznika z taką samą dozą uwagi, co i zdziwienia. Major w pewnej chwili zaczął żałować, że sam nie poszedł, na obserwację i nie śledził z ukrycia tego, co pokazywała kamera telewizyjna.

– Ten człowiek pracował przy słabym, być może zielonym czy niebieskim, świetle latarki ręcznej – kontynuował porucznik. – Oko kamery, unieruchomione za jego plecami na regałach, pokazywało nam tylko jego plecy, sylwetkę i ruchy rąk. Ani razu nie było widać twarzy. Natomiast udało mi się dojrzeć pasmo częstotliwości, na którym nadawał. Kiedy wchodził i kiedy później wstał i wyszedł z pokoju, mogłem się zorientować, że jest dość wysoki, mniej więcej metr siedemdziesiąt cztery, może sześć. Szczupły, wąski w ramionach. Włosy opadające na kark, raczej gładkie, założone za uszy. Istotny szczegół, to obrączka na palcu prawej ręki. Dlatego istotny, że na ogół nie nosi się obrączki na środkowym palcu.

- Jak był ubrany? – spytał major.
- Obraz na ekranie był, jak mówię, niewyraźny wskutek słabego światła latarki. Wydaje mi się, że on miał na sobie ciemny sweter, obcisły. Na pewno golf. Aha, to również ważne: nadawał w rękawiczkach, ale dwukrotnie je zdejmował i wycierał ręce chustką czy jakąś szmatką. Właśnie wtedy zauważyłem obrączkę. Był ostrożny, kiedy zdjął rękawiczki to niczego nie dotykał prócz własnej chustki.
- Mówiliście, że przyniósł ze sobą magnetofon. Jaki typ?
- Kasetowy. Mały. Taśma była już tam założona. Niestety, nie mogłem dostrzec, jakiej firmy był magnetofon. Wyglądał na zachodniemiecki.
- To narzędzia, a raczej chyba klucz, którym otworzył automat... – zaczął Szczęsny, porucznik jednak mu przerwał.
- To nie był klucz Yale. On miał w swojej torbie jakieś małe, precyzyjne dłutka, wytrychy, śrubociągi. Wybrał, jeżeli dobrze widziałem, dwa. Poszło mu dość szybko. No, dzisiaj, już włamywacze łatwo dają sobie radę z takimi kluczami. Chciałbym jeszcze dodać, że w pewnej chwili, po wejściu do pokoju, zapalił lampkę na biurku, ale to trwało sekundę i zaraz zgasił. Widocznie zorientował się, że napięcie sieci w radiostacji nie idzie przez kabel zasilający, wprost do gniazdka, ale przez automat, chciał jednak prawdopodobnie sprawdzić, czy to nie awaria prądu w mieszkaniu. I w czasie tej sekundy, kiedy paliła się lampka, sierżant, który siedział obok mnie, dostrzegł

bliznę na prawym uchu tego człowieka. Podobno wyglądała tak, jakby miał on małżowinę uszną źle przekłwaną, dla założenia kolczyka. Źle, bo widać było ślad, a normalnie takiego przekłucia u kobiet nie widać.

– Dzisiaj kobiety wcale uszu nie przekłuwają. Kolczyki i klipsy zawiesza się zwyczajnie, przytrzymują się same po obu stronach małżowiny. Mniejsza z tym – Szczęsny bezwiednie narysował na kartce duże ucho z kolczykiem, a potem rzekł: – Gdyby on rzeczywiście coś takiego nosił kiedyś... Wątpię. Może Cygan? Hindus? Po prostu, skaleczył się w ucho. Co jeszcze, poruczniku?

– Droga – odparł zwięźle. – Którędy wszedł i wyszedł. Przyznaję, że jak dotąd nie mam pojęcia! Miałem ochotę rozebrać wszystkie ściany, sufit i podłogę!

– Klatka schodowa była w nocy oświetlona?

– Tak. Na wszystkich piętrach. Nasi ludzie stali o kilka metrów od tego mieszkania, a także na dole, przy windzie. Z całą pewnością facet nie wyszedł na schody. Pozostaje więc tylko jedno: w jaki sposób przedostał się na balkon, a prócz tego, prawdopodobnie przy pomocy sprężyny, drutu, linki, bo ja wiem w końcu czego, otwierał i zamykał drzwi balkonowe od zewnątrz.

– To nie jest żadna rewelacja – rzekł Szczęsny. – Pamiętam zabójstwo, pozorowane na samobójstwo, gdzie przestępca właśnie w ten sposób wyszedł z mieszkania, pozostawiając



drzwi zamknięte na klucz od wewnątrz. Były również inne wypadki. To się robi tak: – Wziął kartkę papieru i zaczął rysować. – O, tutaj zakładam...

Ale Polewski mu przerwał.

– Instruktaż zostaw na później. Pracujemy razem nad tą sprawą, musimy więc podzielić funkcje. Poruczniku – zwrócił się do swego podwładnego – postarajcie się naszkicować portret pamięciowy tego człowieka. Sylwetkę, oczywiście. Dokładny meldunek, opis roboty, nazwiska wszystkich mieszkańców bloku, personalia, wszystko, co nas może interesować. Zakładam na razie, że osobnik... nazwiemy go „Kolczyk”, ze względu na to przekłute ucho, więc że „Kolczyk” przeszedł przez balkonowe barierki do któregoś z mieszkań. Cały dom weźmiemy pod obserwację.

Porucznik wyszedł, a Polewski popatrzył na Szczęsnego i powiedział:

– Będziemy działać w dwóch kierunkach: po linii radiostacji i sygnałów „Tańca szkieletów” oraz po linii zabójstwa Władysława Szumskiego, usiłowania zabójstwa wartownika z Poznania i kradzieży platyny. Zgoda?

– Zgoda. Z tego wnoszę, że pierwszy kierunek sugeruje dywersję, szpiegostwo lub coś w tym rodzaju. Możliwe, że są tu dwie odrębne sprawy. A jednak... – zawahał się, umilkł.

– Myślisz, że nie?

– Zobaczymy – odparł wymijająco.

\*

Na drzwiach wisiała żółta tabliczka z wrytym nazwiskiem: Waldemar Łukawski. Szczęsny raz jeszcze zerknął na zegarek. Osiemnasta dwie. W sam raz. O tej porze lokator powinien być już w domu.

Zadzwoił. Usłyszał człapanie pantofli i męski głos, jakby zaspany:

- Kto tam?
- Do pana Łukawskiego – odparł.
- Ale kto?
- Swój.

Dziwna rzecz, jak to słowo działa niczym magnes. Nie znaczy właściwie nic, bo „swoim” może być zarówno ktoś z rodziny, jak sąsiad, pracownik administracji albo nawet złodziej, który sprawdza obecność lokatorów, na swoje potrzeby. Wystarczy jednak powiedzieć: swój, a drzwi najczęściej otwierają się. Tak było i teraz.

Na progu stanął mężczyzna szczupły, o bladej zmęczonej twarzy, w marynarce narzuconej tylko na koszulę. Przetarł oczy, odchrząknął i spojrzął na oficera niechętnie.

- Co za swój? – burknął.

Szczęsny wyciągnął legitymację, pokazał. Obserwował tamtego z uwagą, ale mężczyzna nie wydawał się ani zdziwiony, ani przestraszony niespodziewaną wizytą.

- Ma pan coś do mnie? – spytał powstrzymując ziewanie.

– Chciałbym porozmawiać, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu. Przepraszam, że pana zbudziłem.

Nikły uśmiech przeleciał mu przez wargi.

– Źle spałem w nocy. Jakieś hałasy były obok. Wróciłem z pracy i zdrzemnąłem się trochę. Proszę, niech pan wejdzie.

Było to takie mieszkanie, jak u inżyniera Kaweckiego. Łukawski zajrzał do kuchni, gdzie jakaś kobieta zmywała naczynia, przyknuął tam drzwi i gestem zaprosił majora do większego pokoju. Usiedli przy stoliku, gospodarz podsunął papierosy. Milczał, najwidoczniej czekając wyjaśnienia.

– Wspomniał pan o hałasach w nocy – zaczął Szczęsny. – Właśnie przychodzę w tej sprawie. Komenda Stołeczna od pewnego czasu otrzymuje alarmujące listy od kilku lokatorów tego domu. Skarżą się na krzyki, głośną muzykę, tupanie, jednym słowem zakłócanie wypoczynku nocnego. Podobno dzieje to się w pańskim mieszkaniu, względnie obok, u obywatela Kaweckiego.

– U mnie? Wykluczone! Oboje z żoną pracujemy, wstajemy wcześniej i dlatego równie wcześniej kładziemy się spać. Owszem, na sylwestra czy na nasze imieniny bywają goście...

– Nie, to nie chodzi o sporadyczne zabawy – przerwał Szczęsny. – Z tego, co pan mówi, wynika, że hałasy odbywają się u pańskiego sąsiada, tak? – Wskazał na ścianę, za którą mieszkał Kaweckie.

Łukawski wzruszył ramionami, zastanawiał się chwilę.

– Bo ja wiem? – mruknął. – Wczoraj w nocy coś tam się działo. Kilka osób chodziło, otwierało balkon, po schodach ktoś głośno zbiegał. Przedtem była muzyka. Ale żeby częściej, to nie. Co prawda, śpimy dość mocno. No, wczoraj zbudziliśmy się oboje. Musiał więc być naprawdę duży hałas.

– O której to było?

– Gdzieś tak... trzecia, pół do czwartej. Nie zapalałem światła, ale sąsiad z dołu ma zegar ścienny, który bardzo głośno bije. Słysząc przez podłogę.

– Czy wychodził pan na schody?

– Nie. Po co! Nie lubię zadawać się z pijakami.

– A to byli pijacy?

– Tak przypuszczam. Potem chyba wszyscy wyszli, bo nastąpiła cisza. Albo gospodarz wygnał gości i poszedł spać.

Szczęśny wstał, przeszedł się po pokoju, rzucił okiem na zasłony, zaciągnięte nad całym oknem i balkonem. Odsunął je trochę, spojrzął przez szybę.

– Pozwoli pan? – spytał i nie czekając na odpowiedź, wyszedł na balkon. Był tam dwie, może trzy minuty. Wrócił zmarznięty, uśmiechnął się do Łukawskiego, który siedział nieporuszony, rzekł tylko:

– Zimna mi pan napuścił.

– Zaraz się pokój ogrzeje. Kaloryfery bardzo gorące. Chciałem jeszcze spytać, czy zna pan sąsiada Kaweckiego?

– Nie.

- Nawet z widzenia?
- Może go parę razy widziałem, przy windzie albo na dole. Ale nie rozmawialiśmy ze sobą.
  - Jednakże wie pan, jak on wygląda?
  - No – Łukawski wzruszył ramionami. – Chyba ktoś mi go pokazywał. Nie pamiętam. A czy coś się z nim stało, że pan tak wypytuje?
  - Po prostu, inżynier od miesiąca przebywa za granicą. Rozumie pan, że milicję musi interesować taki fakt: gospodarza nie ma, a w mieszkaniu hałasy.
  - Może komuś dał klucze?
  - Może. Sprawdzimy, jak wróci. Mam do pana prośbę. Gdyby pan lub małżonka usłyszeli u niego znowu jakieś podejrzane odgłosy, kroki i tak dalej, proszę zawiadomić Komendę Stołeczną. Najlepiej oficera dyżurnego. Wyśle radiowóz i sprawdzą.
  - Dobrze – zgodził się Łukawski. – Zadzwoń.
  - To wszystko. Przepraszam za najście. Do widzenia.
- Szczęśny zbiegał schodami z szóstego piętra, nie czekając na windę. Najlepiej myślało mu się w ruchu. A było o czym.

\*

- Widzisz, to mógłby być on, ale te szczegóły, o których mówił porucznik, nie zgadzają się – rzekł Szczęśny. – Co prawda, nie mogę ci również zagwarantować, że ich nie ma.

– Mówisz mętnie – stwierdził Polewski. – Albo szczególnie są, albo nie ma. Tertium non datur.

– Zaraz. Więc blizny na prawym uchu, gdyby była, nie byłbym w stanie zauważyć, gdyż facet zakrył uszy włosami. Po prostu, zwisały mu po obu stronach policzków, długie i niemyte. Co do obrączki, nie miał jej na żadnym palcu. Wzrost by się zgadzał z tamtym rysopisem, ale to za mało. Szczupły – owszem. Być może więc, nosi obrączkę na środkowym palcu, być może ma bliznę na prawym uchu. Nie znalazłem pretekstu, żeby obejrzeć go bliżej.

– Czy nie zapomnieliśmy o sąsiedzie z drugiej strony?

– Nie. Tam jest ściana szczytowa, żadnych sąsiadów.

– Całe szczęście. Pozostają nam więc wszyscy dalsi sąsiedzi z balkonami, mieszkający na szóstym piętrze. Chyba, że ten człowiek spuścił się na sznurze, z balkonu inżyniera na nieoświetlony skwer? Nonsens.

– Nonsens o tyle, że sznur by pozostał, względnie ślady otarcia na oblodzonej barierce. Cholera! – Szczęsny zamyślił się nad niezwykłą drogą, którą wyszedł tajemniczy radiooperator. – A na siódme piętro? Aha, nie ma – przypomniał sobie. Strychu też nie ma, tylko dach. Jakby wszedł? Po gzymsach? Jakiejś rynnie, której nie wzięliśmy pod uwagę? Ten dach jest ukośny, na pewno też był na nim lód. Chyba niemożliwe.

– Zbadaliśmy dach. Niemożliwe.

– No, więc wracamy do poprzedniej wersji: któreś z kilkunastu mieszkań na szóstym piętrze, z balkonami. Ile tego jest?

– Bez mieszkania Kaweckiego, dwanaście. Dwa odpadają.

– Bo co? Proszę bez taryfy ulgowej.

– W jednym, nasz pracownik.

– No, tak. To rzeczywiście odpada – powiedział Szczęsny bez przekonania w głosie. – A drugie?

– Dwoje starszych ludzi. Żadnych podejrzeń!

– To dla ciebie. A dla mnie, nie. Nie znam ich, nigdy nie wiadomo, czego można się spodziewać po staruszkach.

– Niech ci będzie – zgodził się Polewski. – W takim razie; jedenaście mieszkań.

– Sporo.

– To zależy. Gdyby dom był na przykład sześcioklatkowy... No, dobra. Zajmiesz się tym?

– Tak. Zmontowałem już niezłą ekipę. Masz listę nazwisk tych lokatorów?

Polewski podał mu kartkę.

– Zdjęcia?

– Za dużo chcesz od razu. Na razie zrobiliśmy pięć, z małżeństwem Łukawskich, włącznie. Resztę sobie dopełnisz, w miarę jak ci się lokatorzy odpowiednio ustawią, gdzieś na ulicy.

– Żartuj sobie, żartuj. Jutro będę miał wszystkich.

Mówiąc tak Szczęsny przechwalał się trochę, z czego zresztą zdawał sobie sprawę. Liczył jednak na operatywność

kolegów z Komendy Stołecznej i na pomoc kapitana Kazimierza Kręglewskiego, dawnego kumpla z sekcji zabójstw, z którym wiele lat przesiedzieli w jednym pokoju, zanim Szczęśny nie przeniósł się – ściślej: zanim go nie przenieśli – do Komendy Głównej.

Kręglewski zdążył przez ten czas porządnie wyłysieć, awansował z porucznika na kapitana, zapisał się na Wyższe Studia Administracyjne i ślęczał wieczorami nad książką.

Szczęśny nie zazdrościł koledze. Wyższe studia ukończył dawno, o doktorat nie dbał, nie był mu do niczego potrzebny. Sam jednak zachęcił Kręglewskiego do nauki, prawie siłą zmusił do studiów, bo to był warunek nie tylko dalszego awansu, ale i pozostania w wydziale kryminalnym.

Szczęśny wiedział, bo dobrze znał kolegę, że poza swoim wydziałem Kazik „skończy się”, i to szybko. Nie chciał tego, zbyt wiele ich łączyło i szczerze się lubili.

Podjechał teraz do Komendy Stołecznej, ale zobaczył zamkniętą bramę i, spojrzawszy na zegarek, wzruszył ramionami. Oczywiście, o tej godzinie Kręglewski od dawna siedzi w domu, chyba, że ma zajęcia na Studium. Postanowił zaryzykować. Kapitan mieszkał na Sadybie przy Powsińskiej, w oknach mieszkania paliło się światło.

– Jesteś – rzekł major z ulgą, kiedy przyjaciel otworzył mu drzwi. – To dobrze.

– Właż – odparł Kręglewski. Skąd wiedziałeś, że nie



mogę sobie dać rady z tą cholerną socjologią?

– Ja z czym innym, potem ci pomogę w socjologii.

Siedli w pokoju, zapalili, pani domu uśmiechając się do Szczęsnego przyniosła herbatę i jakieś ciasto. Pogadali chwilę, po czym Anna wyszła do drugiego pokoju, gdzie spał jedena-stoletni syn. Rozumiała, że dwaj oficerowie chcą zostać sami.

– Najtrudniej będzie ze zdjęciami – zakończył Szczęsny, podając mu pięć fotografii. – Tych już mam, zrobili to ludzie Polewskiego. Ale pozostaje jeszcze sześć rodzin. Nie wiem, czy wszyscy są w Warszawie, czy na przykład ktoś nie choruje na grypę i nie wychodzi z domu. Mimo to, musimy te zdjęcia mieć.

Kręglewski przestudiował uważnie kartkę, a potem rzekł:

– Dwa mieszkania masz już z głowy. Znamy tych ludzi. Zdjęcia są u nas, w kartotece. Pod pięćdziesiątym drugim, Matylda i Antoni Gnatowie, on paser, ona handlowała wódką, teraz chyba przestała. Dzielnicowy da nam bliższe szczegóły. Pod sześćdziesiątym trzecim, Zofia i Jolanta Kackie, siostry. Pierwsza siedziała cztery lata za manko w sklepie, nie pracuje, zarabia, jeżeli znajdzie amatora na swoje stare kości. Druga, to jeszcze lepszy numer. Zdemolowała kiedyś pół lokalu, pobiła milicjanta i w pijanym widzie rozniosła nam radiowóz. No, nie dosłownie, ale co zdążyła, to potłukła i podarła. Obie wyglą-dają jak czarownice. Chociaż starsza musiała być kiedyś zu-pełnie ładna. Ciągłe mamy skargi, że hałasują i śmiecą.

– Wydaje mi się, że obie rodziny możemy wykluczyć z naszej sprawy. To nie ten rodzaj przestępstw i nie ta mentalność.

Kręglewski pokręcił głową niezdecydowanie.

– Wiesz, różnie z tym bywa. Jakieś powiązania, mety, informacje dla twojego tajemniczego radiooperatora. Nie, ja bym nie wykluczał.

– W każdym razie, mamy ich rozszyfrowanych. Pozostają cztery mieszkania. Z tym jest gorzej, bo są to: profesor Uniwersytetu Warszawskiego, bardzo znany aktor, działaczka Ligi Kobiet i pracownik umysłowy handlu zagranicznego. Z rodzinami. Do kogo z tych czterech mógł pójść w nocy „Kolczyk”? Tak nazwaliśmy radiooperatora.

– Mówisz, że ma bliznę na prawym uchu? To dosyć wyraźny znak rozpoznawczy. A wśród tych pięciu, których zdjęcia zrobili koledzy ze Służby Bezpieczeństwa, nie ma faceta z blizną?

– Nie wiem. Łukawski nosi długie włosy, lokator obok niego z lewej strony jest na zdjęciu w czapce futrzanej i z podniesionym kołnierzem. To było na ulicy. Jakiś inżynier elektronik, Roman Burda.

– Nie znam człowieka. Ale dowiem się. Na kiedy chcesz mieć to wszystko?

– Na wczoraj – odparł Szczęsny i uśmiechnął się. – Pamiętasz, Kazik, jak pracowaliśmy razem? Pięć, siedem lat temu...

## Rozdział 4

O trzeciej nad ranem kapitana Hornego zbudził telefon. Dzwonił dyżurny lekarz ze szpitala, w którym leżał wartownik Hajnowski. Usłyszawszy pierwsze zdanie, Horny momentalnie obudził się.

– Będą u was tak szybko, jak tylko zdołam – powiedział.  
– Proszę, doktorze, niech pan robi, co tylko można, aby...

Nie dokończył, rzucił słuchawkę i zaczął się ubierać. Szpital był dość daleko od hotelu, połączył się więc z Komendą Miasta i poprosił o radiowóz. Upłynęło jednak dobre dwadzieścia minut, zanim na sygnale zajechali przed budynek szpitalny.

Kapitan wyskoczył, biegiem przebył holi, niecierpliwie machnął ręką w stronę portiera, który usiłował go zatrzymać. Wiedział, gdzie leży Hajnowski, był tu już kilka razy. Na schodach pierwszego piętra dogonił chirurga, który miał dyżur tej nocy i szedł właśnie w kierunku sali operacyjnej.

– Przytomny – uprzedził pytanie. – Na razie – dodał ciszej.

Horny rozejrzał się po korytarzu, zdjął z wieszaka biały kitel i narzucił na ubranie. Nawet nie zauważył dużej, ciemnej plamy krwi, tak był pochłonięty myślą, czy tym razem zdoła się porozumieć z rannym wartownikiem. Ostrożnie uchylił drzwi pokoju, oznaczonego numerem jedenaście. Przy łóżku

Hajnowskiego siedziała pielęgniarka, kontrolując pracę kroplówki. Nie odwróciła głowy, powiedziała tylko:

– Proszę stanąć tak, aby on pana widział.

Kapitan zbliżył się do łóżka i zatrzymał się naprzeciw twarzy wartownika, u jego nóg. Hajnowski miał przymknięte powieki. Musiał jednak usłyszeć te słowa i kroki, bo nagle otworzył oczy i spojrzał zupełnie przytomnie.

– Jestem kapitan Horny z Komendy Głównej – rzekł oficer, starając się mówić powoli i wyraźnie. – Czy chce mi pan coś powiedzieć? Przekazać milicji jakąś informację?

Ranny poruszył ustami, wargi miał spieczone. Pielęgniarka otarła je wilgotną gazą. W pokoju panowała zupełna cisza, drugie łóżko było nie zajęte.

– Ja go... trochę... widziałem – odezwał się Hajnowski. Wzrokiem błędził teraz po ścianach, jakby zbierając myśli. – Szykowałem... kolację. Wszedł... do dyżurki, ale brama była... zamknięta i nie wiem... nie wiem, jak – umilkł bezradnie.

– My już wiemy – uspokoił go Horny. – Jak ten, człowiek wyglądał? Jeden był czy dwóch?

Hajnowski milczał dłuższą chwilę, ściągając brwi z namysłem.

– Jednego widziałem – wyszeptał. – Tylko jednego. Był ciemno ubrany... Kapelusz miał, nasunięty... ale mu spadł, bo ja się broniłem... tylko on mnie od tyłu za gardło złapał i nie mogłem krzyknąć... Jak mu spadł kapelusz, to widziałem... miał bliznę na uchu... Na prawym, chyba.

– Twarzy pan nie pamięta? Miał wąsy, brodę? Okulary?  
Był łysy?

Wartownik wolno poruszył głową na znak przeczenia.

– Nie... bez wąsów i brody... bez okularów. Włosy miał... chyba ciemne. Silny był, ale... byłbym dał mu radę. Tylko, że on potem nożem... I już nie wiem, co dalej było.

Do pokoju wszedł chirurg, popatrzył na rannego.

– Dosyć, kapitanie – zawyrokował stanowczo.

– Dobranoc, panie Hajnowski. Życzę zdrowia! – kapitan wysunął się z separatki, notując w pamięci to, co usłyszał. Blizna na prawym uchu, to był ważny szczegół. Postanowił, że z samego rana zatelefonuje do Warszawy. Zamyślił się tak bardzo, że w pokrzwawionym kitlu lekarskim zszedł do hallu i skierował się do drzwi wyjściowych. Dopiero zirytowany głos portiera przywrócił go rzeczywistości.

Zaraz po godzinie ósmej połączył się z Komendą Główną, odnalazł Szczęsnego i przekazał to, o czym się dowiedział w szpitalu.

– Zgadza się! – wykrzyknął Szczęsny. – To by znaczyło, że...

– Że co? – spytał Horny, kiedy milczenie przedłużało się.

– Słuchaj, Jurek, posiedź ty jeszcze w Poznaniu, dobrze?

– Dokładniej nie możesz?

– Nie przez telefon.

– Wszystko jedno. Posiedź i porozumiej się z towarzyszami,

tam na miejscu, podaj rysopis mężczyzny szczupłego, twarz raczej blada, gładko wygolona, włosy dość długie, wzrost około metr siedemdziesiąt pięć, sześć. Blizna na prawym uchu. Najprawdopodobniej mieszkaniec Warszawy i... czekaj, myślę, że mieszka na Barbary jeden. Zanotowałeś?

– Tak.

– Czy magazynier wrócił z urlopu?

– Nie, ale znaleźliśmy go. Okazuje się, że zanim dotarł do domu wczasowego, zdążył złamać nogę i leży w szpitalu. Odpada.

– Raczej tak. Może Hajnowski jeszcze coś sobie przypomni?

– On jest w bardzo kiepskim stanie. Słuchaj, Szczęsny, myśmy tu doszli już do pewnych wniosków. Więc było co najmniej dwóch, mieli samochód. Prawdopodobnie „Fiat 125p”. W każdym razie wóz o podobnym kształcie. Weszli na teren fabryki przez mur, na tyłach magazynu są ślady wyraźnego otarcia, zupełnie świeże.

– Sądzisz, że ktoś z fabryki im pomógł? Powiedzmy, w udzieleniu informacji o platynie?

– Brak dowodów. Nawet brak podejrzeń. O tym, że platyny używa się tu do produkcji, wiedziała chyba cała załoga. Oczywiście, mogło być tak, że jeden ze sprawców był pracownikiem fabryki, a drugiego sobie dobrał razem z samochodem. Ale w „E-15” pracuje sześć tysięcy ludzi. Nie sposób każdego wziąć pod obserwację.

– Jasne. Daj mi znać, gdyby zaszło coś nowego.

Szczęśny odłożył słuchawkę, oparł głowę na rękę i siedział tak dość długo, z przymkniętymi powiekami. Od paru dni nie dawała mu spokoju myśl, a raczej szczegół, który, jak sądził, chyba niesłusznie zlekceważył. Kiedy oglądał balkon w mieszkaniu Waldemara Łukawskiego, dostrzegł, że matowa szyba, oprawiona w żelazną barierkę i oddzielająca oba balkony, była ruchoma. Łatwo dawała się przesunąć na bok.

Szczęśnemu bardzo zależało, żeby jeszcze raz znaleźć się na balkonie i obejrzeć go dokładniej, bez asysty gospodarza. Gdybym wiedział, co to za facet... – myślał. Tajemnicza droga, którą dostawał się do mieszkania inżyniera Kaweckiego nieznany radiooperator, musiała jak najszybciej przestać być tajemnicą.

Szczęśny wstał i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

Jeżeli to jest ktoś z tych kilkunastu mieszkań na linii balkonów – rozważał – albo nawet ktokolwiek z ulicy Barbary numer jeden, to po kiego diabła wybrał taką trudną drogę? Ryzyko wał upadek z szóstego piętra, mordował się z drzwiami balkonowymi otwierając je w tak skomplikowany sposób od zewnątrz. Po co? Czy nie prościej było wejść do mieszkania Kaweckiego „na pasówkę”? Jeżeli to człowiek, który w swoich tajemniczych sprawach posługuje się cudzą krótkofalówką, nadaje jakiś szyfr, to czyż było dla niego problemem dopasować klucze? Na pewno nie. Wobec tego, czego się obawiał?... Może tego, że ktoś go dostrzeże na schodach,

wychodzącego z cudzego mieszkania. Musiała to być poważna obawa. Kiedy włamywacz tak się boi?... Jeżeli mieszka w tym samym domu i nie chce „spalić się” na własnym terenie.

No, dobrze – myślał dalej. – Ale skąd wiedział, kiedy Kawecki wyjeżdża i kiedy wraca? Przecież inżynier mógł go zaskoczyć w mieszkaniu, tamten nie zdążyłby uciec swoją trudną drogą, gdyby usłyszał zgrzyt klucza we drzwiach. Nie mógł, absolutnie nie mógł ryzykować. A jeżeli nie mógł, w takim razie z jakiegoś źródła zdobywał dokładne informacje o wyjazdach i przyjazdach inżyniera... Kto mu dawał takie informacje? Może sam je zdobyć, pracując w tym samym biurze, co Kawecki. Biuro Konstrukcji Przemysłowych „Ultor” liczy sobie, jeżeli pamiętam, ze dwieście, może dwieście pięćdziesiąt osób. Ten facet musi pracować albo w tym samym wydziale co inżynier lub w kadrach, gdzie wydają delegacje służbowe. Inaczej byłoby mu trudno dowiedzieć się dokładnie, co do dnia i godziny wyjazdu oraz przypuszczalnego powrotu.

– Z tego wynika – powiedział głośno, sam do siebie – że trzeba zainteresować się bliżej „Ultorem”. A w tym pomoże mi Kawecki.

\*

Usiedli w kącie kawiarni, stoliki stały tu dość daleko jeden od drugiego i można było swobodnie rozmawiać. Kawecki, mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, wysoki, silnie zbudowany, siwowłosy trzymał się prosto i, mimo inwalidztwa,



wyglądał zdrowo. Kiedy po ciężkim wypadku w trakcie służby przewieziono go w karetce reanimacyjnej do szpitala, mało kto dawał mu więcej niż dwa, trzy dni życia. Po pół roku Kawecki opuścił sanatorium, wprowadzie bez jednego płuca, pozszywany i połatany, ile się dało, ale pełen wiary w to, że jeszcze czegoś w życiu dokona.

Wojsko musiał oczywiście pożegnać. Koledzy pomogli mu w znalezieniu pracy i po kilku latach żaden nowy pracownik, który przychodził do „Ultoru”, nie uwierzyłby, że inżynier Kawecki jest inwalidą. Ceniono go, lubiano, podziwiano energię i pracowitość. Nie ożenił się po raz drugi, pierwsza żona odeszła w miesiąc potem, jak uległ wypadkowi. Miał hobby: krótkofalówkę, przez którą kontaktował się z całym światem.

– Panie inżynierze, jak się nazywa wydział, w którym pan pracuje? – spytał major, podsuwając mu cukiernicę.

Kelnerka podała dwie kawy i odeszła.

– Nazywamy nasze wydziały cyframi, chociaż formalnie, to na przykład mój nosi dość długą i bardzo techniczną nazwę, którą nawet w skrócie trudno jest wymówić – roześmiał się Kawecki. – W codziennej pracy, ja jestem w „trójce”. To są właśnie umowy zagraniczne, kontakty z obcymi firmami, wyjazdy i tak dalej.

– Ile osób liczy „trójka”?

– To jest najmniejszy ze wszystkich wydziałów. Tylko sześciu pracowników.

- Czy długo ich pan zna?
- To zależy. Naprawdę dobrze, to ja znam tylko samego siebie! A tamtą piątkę... – zastanowił się chwilę. – Czy ja wiem. Są bardzo różni. Musiałbym o każdym wygłosić mały referat. Chyba o to panu nie chodzi?
- Właściwie tak – przyznał Szczęsny. – Ale może spróbujemy inaczej. Czy każdy z tej piątki wie, kiedy pan wyjeżdża za granicę i na jak długo?
- No, tak. Raczej tak.
- Co to znaczy: raczej?
- Bo jeżeli któryś z nas jest akurat w terenie, a mnie wypadnie nagły wyjazd, to oczywiście wiedzą o tym tylko ci, którzy są na miejscu.
- To znaczy, że wyjazdy nie są z góry zaplanowane?
- Na ogół są. Powiedzmy, że jedna trzecia zagranicznych delegacji jest nie przewidziana, reszta w planie. To zależy przecież od naszych kontrahentów we Francji, Austrii czy we Włoszech.
- Dobrze. Delegację na dłuższy pobyt wystawiają panu kadry?
- Tak. Mam stały paszport służbowy. Zaraz... zdaje się, że rozumiem, o co panu chodzi. Niestety, jest sporo osób w „Ulatorze”, które mogą wiedzieć, kiedy i dokąd ja wyjeżdżam.
- Sporo, to znaczy: ile?
- No – Kawecki pomyślał, obliczył coś w pamięci. – Chyba z dziesięć, biorąc pod uwagę wydział kadr i nasz.

– Dziesięć osób, to dużo? – zdziwił się Szczęsny. – Bałem się, że sto. O tej dziesiątce chciał bym teraz dowiedzieć się możliwie jak najwięcej wszystkiego, co pan o nich wie. Ale wpieryw jedno pytanie: gdyby miał pan podejrzewać którąś z tych osób o to, że wkrada się do pańskiego mieszkania i korzysta z radiostacji albo też o to, że udziela komuś innemu, spoza „Ultoru”, informacji o pańskich wyjazdach, czyje nazwisko pan by wymienił?

Kawecki zachnął się, skrzywił.

– Żadne! Nie mam podstaw do podejrzeń. Jakichkolwiek.

Szczęsny milczał chwilę, palił papierosa i spoglądał na swego rozmówcę. Wreszcie rzekł:

– Towarzyszu majorze. Jesteśmy obaj równi stopniem, chociaż wy służyliście w wojsku, ja pracuję w milicji. Jesteśmy też obaj członkami partii. Spytacie może, co to ma do rzeczy. Zaraz wyjaśnię. Szukamy nie tylko człowieka względnie kilku ludzi, którzy w sposób przestępczy zakradają się do waszego mieszkania i posługują się waszą radiostacją. Szukamy również morderców. Nie mam jeszcze na to dowodów, ale najprawdopodobniej ludzie ci mają na sumieniu zabójstwo i usiłowanie zabójstwa, przy czym w tym ostatnim przypadku nie wiadomo jeszcze, czy człowiek będzie żył. Nie wiem na razie, z jakich działają pobudek. I kto będzie ich następną ofiarą. Posługują się nożem, ale może mają również broń palną. Szukamy morderców – powtórzył z naciskiem.

Inżynier spojrział mu prosto w oczy.

– Tym bardziej trudno mi kogoś podejrzewać – odparł.  
– A jednak potrzebna nam jest wasza pomoc – nie ustępował Szczęśny. – Ja wiem, że nie wskażecie palcem: to ten. Więc może zrobimy inaczej. Dajcie mi, możliwie najdokładniejsze, charakterystyki osób, które najczęściej wiedzą o waszych wyjazdach. Bez podejrzeń. Ja chcę ich po prostu poznać, przy waszej pomocy. Reszta do mnie należy. Być może, nikt z nich nie okaże się podejrzany. Tym lepiej dla „Ulтору” – uśmiechnął się przelotnie. – A propos, czy któryś z tej dziesiątki mieszka na Barbary jeden?

– Nie wiem. Zdaje się, że Kopec, bo widuję go czasami w pobliżu domu. Mam tak mało czasu, że nie zdążyłem nawet przestudiować listy lokatorów!

– Kopec, kto to jest? Jak ma na imię?

– Zygmunt. Pracuje w kadrach, jako referent. Cóż by o nim... wesoły, dobry kompan, tak mówią, ja nie stykam się z nim bliżej. Jest dużo młodszy, ma chyba ze trzydzieści cztery, pięć. Podobno kobieciarz. Zresztą, pracuje nieźle.

– Jak wygląda?

– Nosi brodę, wąsy, cały taki zarośnięty, jak małpa. Ciemne włosy.

– Żonaty?

– Zdaje się, że rozwiedziony. Podpadł mi kiedyś na zebraniu zespołu, bo... ale to nie ma nic do rzeczy. Wygłupił się, potem to odwoływał.

– O co chodziło?

– Zarzucił kierownictwu brak zainteresowania dla

podwyżek, awansów itd. Nie miał racji, bo akurat w tym względzie nasza dyrekcja zrobiła bardzo wiele. Kopec ma dość niską grupę uposażeniową, ale moim zdaniem na razie nie zasługuje na awans. Wracając do tego, co mówiliście... dobrze, dam wam taką charakterystykę. Liczę jednak, towarzyszu majorze, na wasze doświadczenie i rozsądek.

Szczęśny roześmiał się. Doświadczenia miał sporo, a o brak rozsądku trudno go było posądzić.

\*

Obraz wysiadł. Najpierw na ekranie telewizora zaczęły dziać się różne dziwne rzeczy, przelatwały jakieś smugi, drgania, potem wszystko falowało, kurczyło się, wreszcie trzeba było wyłączyć wizję.

– Cholera! – zawołał ojciec rodziny, nie zwracając uwagi na trójkę potomków. – Akurat teraz, kiedy za godzinę będzie mecz!

– Co tam mecz – żona wzruszyła ramionami. – Po dzieniku ma iść następny odcinek porucznika Columbo. To ważniejsze niż sport.

Ale została zakrzyczana przez męską połowę rodu. Najmłodszy, wprawdzie skrycie wołał przygody Columbo niż mecze, bał się jednak do tego przyznać.

Jan Sikora, mistrz Zakładów Metalowych „L-23”, wziął do ręki „Życie Warszawy” i zaczął studiować ogłoszenia o naprawie telewizorów. Był fachowcem w dziedzinie obrabiarek,

ale miał kłopoty ze swoim „Ametystem 1012”. Poza tym pewnie potrzebna była nowa lampa. Spojrzał na zegarek. Docho-  
dziła szósta po południu, o tej godzinie nie przyjdzie już żaden  
pracownik z ZURT-u, można liczyć tylko na kogoś prywatnie.

– Tylu ich się ogłasza, czy ja wiem, który jest dobry? –  
mruknął z powątpiewaniem. – Zepsuje mi taki facet aparat...

– E, co by tam zaraz zepsuł! – powiedziała żona. – We-  
zwij tego, który mieszka najbliżej i ma telefon. – Zajrzała mu  
przez ramię, powiodła wzrokiem po rubrykach. – O, może  
ten? Jakiś Barańczak na Żeromskiego osiem. Za parę minut  
powinien u nas być.

– Jeżeli jest w domu. I jeżeli zechce.

– Za pieniądze każdy zechce. Zadzwoń.

Jakub Barańczak, radiotechnik, był w domu i zgodził się  
przyjechać. Po dziesięciu minutach zadzwonił do drzwi  
mieszkania Sikorów. Jan otworzył mu, uradowany, że chyba  
mecznik nie przepadnie, a i Columbo będzie dla żony.

– Pewnie pan sportowiec, bo zrozumiał mnie pan, cze-  
kam na mecz – rzekł z uśmiechem. – Proszę, to tutaj. Obraz  
całkiem znikł.

– Owszem, lubię oglądać imprezy sportowe – odparł  
technik uprzejmie. – Zaraz się przekonamy, co tam zaszło.

Usiadł przed ciepłym jeszcze odbiornikiem i zabrał się do  
roboty. Okazało się, że rzeczywiście potrzebna nowa lampa.  
Barańczak miał ją w swojej torbie. Poprawił, co było trzeba,

uregulował wizję, przyjrzał się przez chwilę, jak „Ametyst” działa, i wstał. – Trzysta dziesięć – powiedział.

Sikora westchnął, wyjął pieniądze. Wiedział, że w ZURT zapłaciłby mniej, ale dopiero następnego, dnia albo jeszcze później. Trudno, jak ktoś chce od razu, musi płacić dużo.

– Wie pan, lampy są drogie – wyjaśnił technik. – I trudno dostać. A pan pracuje może na Matuszewskiej?

– Nie – roześmiał się Sikora. – Panie, gdybym ja robił w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych, to bym do pana nie dzwonił, tylko sam naprawił, co trzeba. Ja pracuję w „L-23”. Jestem mistrzem.

– Podobno mieliście tam kradzież platyny? – zainteresował się Barańczak. – Ktoś mi o tym mówił.

– Platyny? Nie, skądże. Ja bym wiedział. Owszem, używamy platyny jako katalizatorów, nawet dość sporo. Ale nie słyszałem o żadnej kradzieży. Mamy co prawda kłopoty z magazynierami, jeden odszedł, drugi choruje. Może zna pan jakiegoś uczciwego magazyniera, z dłuższą praktyką?

– Nie. Nie znam żadnego. Takie duże zakłady i mają tylko dwóch? To na jedną zmianę pracuje magazyn?

– Na dwie. Na ogół na dwie. Teraz, kiedy tamten chory, to na jedną, ale to chwilowo. – Sikora spojrział na zegarek, technik zorientował się, że gospodarz nie przejawia już ochoty do rozmowy, i wyszedł. Za kilka minut zaczynał się mecz.

\*

„Delta” zaparkował swego Fiata obok hotelu, zamknął starannie, obejrzał z uwagą opony, a potem wszedł do hallu. Płaszcz i sportową czapkę oddał w szatni na piętrze, przyczesał włosy i, nie śpiesząc się, swobodnym krokiem przemierzał kawiarnię, szukając chyba znajomych, bo o tej porze było sporo wolnych stolików. Nie znalazłszy nikogo zajął miękki, złocisty, ale bardzo niewygodny fotel z za krótkim oparciem, pod samym oknem.

Podeszła młoda kelnerka. Zamówił kieliszek koniaku, kawę i porcję szynki. Po czterogodzinnej jeździe z Warszawy – jego Fiat był nowy, nie nadawał się jeszcze do szybkiej jazdy – odczuwał głód.

Kończył to spóźnione śniadanie, kiedy fotel po drugiej stronie stolika zajął mężczyzna lat około pięćdziesięciu, ubrany w szary flanelowy garnitur. Miał kwadratowe, lekko przyciemnione okulary i rudawe, kręcone włosy, mocno już przerezione.

– Morgen – powiedział „Delta” i skłonił głowę z wyraźnym uszanowaniem.

– Morgen – mruknął tamten. – Wie geht's?

Obejrzał się na kelnerkę, strzelił w powietrze palcami. Zbliżyła się powoli, nie lubiła takich „pańskich gestów”. Mężczyzna zażądał kieliszka koniaku i plasterka cytryny. Potem wcisnął sok do kieliszka, posłodził odrobinę i pił z widoczną



przyjemnością. „Delta” znał ten zwyczaj, było to jednak według niego marnotrawstwo koniaku i budziło w nim dreszcz odrazy.

Rozmawiali cicho, po niemiecku. „Delta” co chwila mierzył uważnym spojrzeniem salę kawiarni.

– Jak poszło z towarem? – spytał, wkładając do ust ostatni kawałek szynki.

– W porządku. Odebraliśmy. Ale mało tego! – Twarz wykrzywił mu grymas, górna warga podniosła się przy tym ledwo dostrzegalnie odsłaniając zęby. – Mało – powtórzył z naciskiem.

„Delta” wzruszył ramionami.

– Herr Zintau, pan przecież wie, jakie z tym trudności – westchnął. – W dodatku, spaliła nam się radiostacja na Barbary.

Niemiec uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Jak to: spaliła? Pożar?

– Nie – „Delta” mimo woli roześmiał się, ale zaraz spoważniał. W rozmowie z Zintauem zawsze należało mieć się na baczności. – Po prostu, „Alfa” nie może już stamtąd nadawać sygnałów.

– Wrócił ten inżynier? Przecież już kilka razy tak było, że wracał, ale potem znów wyjeżdżał na dłużej.

– Tak. Tylko że teraz milicja zainteresowała się SP 5 XXX. Zwrócili uwagę, że radiostacja pracuje w czasie nieobecności inżyniera. „Beta” mówił mi, że przesłuchiwali

sprzątaczką z biura, która miała klucze do mieszkania Kaweckiego. Prawdopodobnie wzięli ją pod obserwację.

– Tym lepiej. Tam nic nie znajdą.

– Oczywiście. Ale w tej sytuacji „Alfa” nie może już ryzykować. Przesłuchiwali też wszystkich lokatorów na szóstym piętrze. Jednym słowem, trzeba albo zmienić nasz system sygnalizowania, albo znaleźć inną radiostację.

Zintau zamyślił się. Wyjął z kieszeni cygareto, obciął, zapalił. „Delta” niespokojnie poruszył nosem. Nie lubił tego zapachu, choć cygareto było w doskonałym gatunku.

– Ten system jest dobry – rzekł wreszcie Niemiec. – Nie chciałbym go zmieniać. Jest lepszy, pewniejszy niż telefony, depesze czy listy. Szybszy. Macie towar, dajecie sygnał, „Gamma” odbiera i przekazuje nam. Wszystko daje się załatwić w ciągu dwóch godzin. Każda zmiana systemu wymagałaby zmiany całego planu wysyłania samochodu, umieszczania towaru, tutaj przecież jesteśmy w dużym stopniu zależni od rozkładu jazdy. A nasz transport jest powolny. Jeżeli damy na to przepuszczamy jedną okazję, to na drugą wypadnie za długo czekać.

– Rozumiem. Ale nie wiem, czy i kiedy znajdę krótkofalowca, który często wyjeżdża i pozostawia puste mieszkanie. Z Kaweckim to był zwykły zbieg okoliczności, „Beta” miał wtedy dobrego nosa. A teraz... – umilkł, rozważał coś w myślach. – Może by zaryzykować nadawanie własnej radiostacji?

- A pan ją ma? – zdumiał się Zintau.
- Nie. Mogę jednak mieć. Musiałbym tylko zapisać się do Polskiego Związku Krótkofalowców. Jestem technikiem.
- W żadnym wypadku! – tamten sprzeciwił się gwałtownie, popiół z cygara rozsypał się po obrusie. – Przede wszystkim, ściąga pan wtedy na siebie uwagę milicji. A to jest zawsze niepożądane. Pracować, siedzieć cicho, nawet nie przekraczać przepisów drogowych. Nie podpaść w niczym. Wzorowy obywatel. Wtedy ma pan swobodę w poruszaniu się i... – zawiesił głos. Dalsze słowa były im niepotrzebne.
- A jeżeli nie znajdę cudzej radiostacji? Co wtedy?
- Milczeli dłuższą chwilę. Za oknami mżył drobny, marcowy deszcz spływając po szybach gęstymi kroplami.
- Nie możemy przerwać dostaw – odezwał się Zintau. – Dopóki trwa świetna passa na platynę, nie możemy rezygnować z tego interesu. Pan chyba pamięta, bo już kiedyś wspominałem, że prace profesora... mniejsza o nazwisko, wymagają właśnie platyny. Nikt nigdy nie zaoferuje nam takiej ceny jaką dostajemy od niego dzisiaj. Ale nie wiem, czy za dwa, trzy miesiące profesor nie powie mi: dość! Już nie potrzebuję. Znalazłem katalizator tańszy, łatwiej dostępny. Tak może powiedzieć, a wtedy koniec z naszymi zarobkami. Pan to rozumie?
- Rozumiem – odparł „Delta”. – I chciałem właśnie powiedzieć, że chyba znaleźliśmy następne źródło platyny. Muszę jeszcze kilka rzeczy sprawdzić. Być może, da się to zrobić

najdalej za tydzień. W jaki sposób mam wówczas zawiadomić „Gammę”, jeżeli odradza pan korespondencję i telefon? Pojechać do niego? Daleko.

– Ile towaru może pan mieć tym razem? Chcę wiedzieć, czy warto ryzykować. Kiedyś dostarczyliście niecałe dwa kilogramy, śmiechu warte. Ja potrzebuję setki kilogramów!

– Setek tam na pewno nie ma – odparł „Delta” ostrożnie.  
– Na tyle, na ile mogłem się zorientować, osiągniemy ze dwanaście kilo. Co najmniej dziesięć. To już warto. Chciałem tylko panu przypomnieć, że za umieszczanie towaru w transporcie należy mi się dodatkowa zapłata. Robię to od półtora miesiąca. Dokładnie od siódmego lutego.

Zintau zmierzył go ostrym spojrzeniem.

– Można by sądzić, że pan Szumskiego żałuje – burknął.  
„Delta” uśmiechnął się, był to uśmiech bardzo nieprzyjemny.

– Nie żałuję umarłych – powiedział. – Nie istnieją, więc się nie liczą. Wiem, że jeżeli o niego chodzi, nie mieliśmy innego wyjścia. Zresztą „Alfa” to zgrabnie załatwił.

– Milicja znalazła już zwłoki?

– Tak. Lata upłyną, zanim ktokolwiek dojdzie, jak to było.

– Ale z tym strażnikiem, to był błąd. Należało go tylko ogłuszyć.

– Podobno zaczął się bronić i „Alfa” zląkł się, że ktoś nadejdzie. Nie miał innej możliwości, musiał zabić. Więc jak

mam dać znać „Gammie”?

- Cóż, niech pan tym razem zatelefonuje. Jakoś oględnie.
- „Gamma” nie jest zbyt bystry, może nie zrozumieć, będzie wypytywał, a co, a jak, a po co...Nie, chyba jednak pojedę do niego. Trudno, wysyłka towaru ulegnie małej zwłoce. Trzeba też przypomnieć „Gammie”, żeby przenośli się z radiostacją z miejsca na miejsce. Ma w samochodzie wystarczająco mocną antenę, żeby nadawać nawet z głębi lasu. Ale on jest leniwy i pewnie ogranicza się do strychu. Z tym wszystkim jest nam jeszcze ciągle potrzebny.
- Jeszcze – powtórzył Zintau i roześmiał się.

\*

Narada w gabinecie pułkownika Toporskiego trwała już trzecią godzinę. Zebrali się tu wszyscy oficerowie Komendy Głównej, którzy prowadzili sprawę o kryptonimie „Kolczyk”, a także pułkownik Polewski ze Służby Bezpieczeństwa i dwóch jego pracowników. Trochę z boku stołu usiadł skromnie kapitan Kręglewski, zażenowany i speszony w tym gronie, w którym znał właściwie tylko dwie osoby Szczęsnego i Polewskiego.

- Niech teraz ktoś krótko podsumuje, co wiemy i co zamierzamy – rzekł Toporski. – I otwórzcie okno, bo można się udusić.
- Spróbuję podsumować – odezwał się Szczęsny. – Najpierw fakty. Pierwszy, zabójstwo Władysława Szumskiego,

pracownika „Kolmetu”, nożem, w nocy z szóstego, na siódmy lutego. Wyrzucony z pociągu na trasie Warszawa-Wiedeń. Ściślej mówiąc na trasie Warszawa-Zebrzydowice. Drugi fakt: usiłowanie zabójstwa wartownika zakładów „E-15” w Poznaniu, Jacka Hajnowskiego, również nożem, kradzież sześciu kilogramów platyny z magazynu tychże zakładów. To było w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty marca. Trzeci fakt: powtarzające się kilkakrotnie...

– Dokładniej! – powiedział Toporski. Siedział z przykniętymi oczami, bolały go od dymu.

– Czte... pięciokrotnie, nadawane przez radiostację SP 5 XXX w mieszkaniu Kaweckiego i przez nie zidentyfikowaną jeszcze radiostację, w lasach nad Odrą, sygnały fragmentu utworu „Taniec szkieletów”. Radiooperatorzy nie znani. Przypominam, że w mieszkaniu zabitego Szumskiego znaleźliśmy kartkę z tym fragmentem. Dlatego łączymy jedno z drugim. Na marginesie tego chciałbym...

– Potem! – przerwał znowu pułkownik. – Skończcie z faktami.

– Dobrze. Więc czwarty fakt: informacja od „C-6” z Hamburga o pojawianiu się tam platyny, przysyłanej nie znaną drogą z Polski. Z tym, że wczoraj nasz pracownik trochę zmienił swoją informację. Mianowicie, platyna nie przedostaje się na czarny rynek, lecz kierowana jest do firmy „Guenther, Kaps und Sohn”. Prywatna firma, pracująca między innymi i na potrzeby zbrojeniowe.

- Platyna na zbrojenia? – zdziwił się ktoś.
- Nie wiemy, czy akurat na zbrojenia. To duża firma, zakłady elektroniczno-metalowe oraz instytut badawczy. Diabli wiedzą, nad czym oni pracują. Piąty fakt, jak dotąd ostatni: kradzież jedenastu kilogramów platyny z Zakładów „L-23”, konkretnie z magazynu, udaremniona przez Straż Przemysłową i naszych kolegów z Komendy Stołecznej. – Tu Szczęśny spojrział wymownie na Kręglewskiego. Kapitan skromnie spuścił głowę, ale skromność ta była udana, dobrze wiedział, ile warte jest jedenaście kilo platyny.
- Niestety, nie schwyciliśmy sprawców kradzieży – kontynuował Szczęśny. Rzucił okiem na Kręglewskiego, a ten skulił się na krześle w poczuciu winy. – Wiemy, że było ich dwóch, trzeci czekał w samochodzie pod parkanem, do którego przylega magazyn. Po prostu, za wcześnie wyszliście – zwrócił się bezpośrednio do kapitana. – A uprzedzałem, że robienie zasadzek przy zakładach, używających platyny, musi być niesłychanie ostrożne i opracowane w najdrobniejszych szczegółach.
- To nie myśmę się wyrwali – mruknął Kręglewski. – To wartownicy ze straży. Kładłem im do głowy, cholera, żeby czekali, ale ich poniosło. No i tamci porzucili worek i zdążyli uciec.
- Nie zauważyliście przedtem samochodu?
- Nie było go. Musiał podjechać w ostatniej chwili, obliczyli widać wszystko, zaplanowali, co do minuty. Oczywiście,

natychmiast zawiadomiłem stanowiska dowodzenia w Komendzie Stołecznej i w dzielnicach, zrobiliśmy blokadę miasta... wydział ruchu uczulony jest bez przerwy, ale co ja im mogłem powiedzieć? Widzieliśmy z daleka dwie sylwetki, teren jest tam źle oświetlony. Samochód, to Fiat 125p, ciemnożółty. Numerów nie znamy. Gdybyśmy mieli przedtem sygnał, że właśnie tej nocy albo następnej przyjdą do „L-23”... Ale przecież to jest pierwsza kradzież platyny w Warszawie.

– Nie – powiedział Toporski. Sięgnął po jakiś dokument, przebiegł oczami. – Mam tu wyniki kontroli w trzech zakładach; braki w magazynach, kontrolerzy nie doliczyli się, w sumie, dwudziestu sześciu kilogramów platyny. Włamywacze musieli dokonać kradzieży tak sprytnie, że zauważono brak dopiero wtedy, kiedy platyna była potrzebna w produkcji. W jednym zakładzie brak właściwego zabezpieczenia. Przesłaliśmy wnioski do dyrekcji i władz nadrzędnych. Za drogi metal, żeby tak się z nim beztrosko obchodzić. Proszę, tu są wymienione te trzy fabryki i wyniki kontroli.

Puścił dokument w obieg, podawali go sobie z rąk do rąk i czytali, dzieląc się uwagami, a pułkownik spojrzał na Szczęsnego.

– Co jeszcze? – spytał.

– Nie wiemy, jaką drogą platyna przemycana jest przez granicę. „C-6” nie może tego ustalić. Współpracujemy jednak w tej sprawie z WOP, z celnikami, zwiększyliśmy obserwację pociągów i samochodów, udających się na zachód, a nawet



zwykłych turystów, bo w końcu możliwe, że oni .wynoszą to z kraju w małych ilościach. Co prawda, teraz nie sezon, turystów mało. Ruch zacznie się dopiero gdzieś w maju. Jak już zdaje się mówiłem, wszystkie fabryki, instytuty, zakłady badawcze, używające platyny, wzięte są przez nas pod obserwację.

– Właśnie widzieliśmy to na przykładzie „L-23” – rzekł kąśliwie Toporski. Na swoje usprawiedliwienie miał to, że poprzedniej nocy miał atak woreczka żółciowego, czuł się podle. Przez chwilę zastanawiał się, kto powinien go zastąpić w razie operacji. Chyba Szczęśny – zawyrokował. Spojrzał na Polewskiego: – Towarzysz pułkownik ma coś dla nas?

– Myślę, że za parę dni ustalimy radiooperatora, który nadawał w lasach nad Odrą. Sprawia nam to pewne trudności, bo on się przemieszcza w różne punkty tej okolicy. Sądzę, że ma samochód z odpowiednią anteną. To też będzie dla nas ślad. Od tygodnia jego radiostacja milczy, poczekam więc na pierwszy sygnał, wozy pelengacyjne są tam przygotowane.

– Nie będzie sygnału – powiedział nagle Szczęśny. – Dopóki nie nastąpi kradzież platyny, nie będzie sygnału „Tańca szkieletów”. To się z pewnością ze sobą łączy. Oni chyba w ten sposób zawiadamiają odbiorców, że platyna zostaje przetrzucona. Żebyśmy już tylko wiedzieli, jaką drogą!...

\*

Kawecki zgodził się od razu. Był nawet zadowolony, bo jeżeli rzecz się uda, on nie będzie musiał już podawać żadnych charakterystyk kolegów w pracy ani rzucać najmniejszych choćby podejrzeń. Przyrzekł też zastosować się ściśle do wskazówek majora Szczęsnego, chociaż musiał przez to narużyć swój od dawna przyjęty sposób bycia w „Ułtorze”.

Jego dyrektor zdziwił się trochę; inżynier jeszcze niedawno bronił się przed następnym wyjazdem za granicę, gdyż nie czuł się dobrze, a teraz nagle dopomina się o delegację do Budapesztu. Kawecki zapewnił go jednak, że czuje się świetnie, a w Budapeszcie ma sporo spraw do załatwienia, co zresztą było prawdą. Ustalili więc, że wyjedzie w poniedziałek, drugiego kwietnia, wieczornym pociągiem i pobyt na Węgrzech zajmie mu około tygodnia, może dziesięć dni.

Inżynier wrócił do swego wydziału, opowiadając kolegom i współpracownikom, jak cieszy go ten wyjazd, jak bardzo lubi piękne miasto nad Dunajem, mówił o sympatycznych znajomościach, które zawarł, i jak wiele po nich sobie obiecuje. Koledzy zaczęli mu przygadywać, że pewnie poderwał w Budapeszcie dziewczynę, a on śmiał się tylko i nie zaprzeczał.

Poszedł potem do działu kadr, znowu szeroko wyjaśniał, kiedy jedzie i na jak długo, wypełnił potrzebne dokumenty i wziął delegację. Była to sobota, pracowali tylko do dwunastej, miał więc mało czasu na załatwienie wszystkich spraw. Dzięk

znajomościom, dawnym i późniejszym, otrzymał bez większych kłopotów przydział forintów i zamówił sobie hotel.

Szczęśny przyszedł do niego w poniedziałek późnym popołudniem, kiedy inżynier pakował walizkę.

– Zostawiam panu pełną lodówkę – rzekł Kawecki. – Zapas żarcia na tydzień. Papierosy w szufladzie biurka.

– Wykluczone! – zaproponował major. – Mam tutaj w teczce suchy prowiant, nie będę pana objadał. Papierosy też mam.

Ale Kawecki rozgniewał się nie na żarty.

– W moim domu – powiedział stanowczo – nikt nie będzie jadł suchego prowiantu, w dodatku nie przyniesionego przeze mnie. To, co pan tam ma w teczce, może być ewentualnie naruszone, gdyby zapas z lodówki nie wystarczył. Proszę – otworzył drzwiczki – tu są puszki z różnymi zupami, tu konserwy mięsne i rybne, tu masło, ser i pasztet. Pieczywo w tym metalowym pudle. Herbata, kawa i cukier w szafce kredensu. Co jeszcze?... Aha, ziemniaki. Są w koszyku, stoi obok szafy.

Szczęśny, któremu ani się śniło obierać ziemniaki, potakiwał uprzejmie. Nie znosił zupy z puszki, ale nie chciał martwić gościnnego gospodarza.

– Sądzi pan, że się uda? – spytał inżynier, zniżając głos, choć byli sami w mieszkaniu. – Zrobiłem w biurze szum dokoła swego wyjazdu. Tak się dobrze złożyło, że wszyscy koledzy z „trójki” i z wydziału kadr byli obecni.

– Nie wiem – odparł major. – Spróbujemy. Moja praca wymaga czasem ogromnej cierpliwości i czasu. A potem przychodzi chwila, kiedy musimy działać błyskawicznie. Tak to już jest.

– Nie zabezpieczałem radiostacji, na wypadek gdyby pan miał się nią posługiwać. Otwieranie automatu zawsze zabiera trochę czasu. Najgorzej, że będzie pan siedział nocą w ciemności. Bez radia i w ogóle. Zaśnie pan!

– Nie. Do takich sytuacji jestem przyzwyczajony. Kiedyś czekałem tak na przestępcę przez sześć nocy.

– I przyszedł?

– Tak. Siódmiej. A już myślałem, że dłużej nie wytrzymam. Byłem wtedy przeziębiony, miałem kaszel, ale musiałem go powstrzymywać, dusiłem się, tłumilem kaszel chustką do nosa, bo po kodeinie jestem senny i nie mogłem jej brać. Chyba uratował mnie wtedy miód, zjadłem prawie cały słoik!

– Ciężka jest wasza praca. Co to był za przestępca?

– Morderca dwóch osób. Szukaliśmy go półtora roku. Zmienił nazwisko, adres, pracę, nawet wygląd. Na fałszywych papierach zaszył się na drugim końcu Polski i pracował jako geodeta przy mierzeniu gruntów. Kiedy już prawie go mieliśmy, zorientował się i uciekł. Ale ja się wtedy zawniłem. Miałem go już po kilku dniach... No, inżynierze, czas na pana!

Kawecki spojrzął na zegarek i przestraszył się, że nie zdąży. Ubrał się śpiesznie, pożegnał majora, wziął walizkę i wyszedł.

## Rozdział 5

Przez pięć nocy Szczęsny spał tak czujnie, że najmniejszy szmer w mieszkaniu by go zbudził. Szóstej nocy usłyszał, że coś porusza się na balkonie. Poderwał się z tapczanu, sięgnął po pistolet. Ale broń była ostatecznością, mógł jej użyć wyłącznie tar obronie życia. Czekał w napięciu potem kilka minut. Szmer nie powtórzył się. W końcu zniecierpliwiony bardzo ostrożnie podszedł do balkonu i roześmiał się cicho. Poruszona wiatrem, szeleściła sucha gałązka, jakiś zeszloroczny badył w glinianej, cepeliowskiej rynience na kwiaty.

Ostatniej nocy przed powrotem Kaweckiego Szczęsny wiedział już, że tajemniczy radiooperator nie przyjdzie. Prawdopodobnie nie otrzymał informacji, że mieszkanie przez tydzień będzie puste – albo z innych przyczyn zrezygnował z nadawania. Major postanowił więc przeprowadzić ostatnią fazę swego planu. Musiał bowiem sprowokować sygnały z tamtej, drugiej radiostacji znajdującej się gdzieś w lasach nadodrzańskich, aby ułatwić ludziom Polewskiego spelengowanie.

Z obserwacji kamery, która była wówczas ukryta w mieszkaniu, wiedział dokładnie, o której godzinie osobnik z blizną

na prawym uchu zaczyna nadawać sygnał i jaka jest kolejność. Taśmę z nagraniem fragmentu „Tańca szkieletów” miał przygotowaną. Przypomniał sobie teraz, ile z tym było kłopotu! Nie mógł przecież nadać nagrania fortepianowego, musiał mieć do dyspozycji orkiestrowe i to takie, choćby w przybliżeniu, jakimi posługiwali się tamci dwaj. Co prawda, Polewski sądził, że wystarczyłaby taśma z nagraniem, uchwyconym w eterze. Zasięgnęli jednak opinii specjalisty-krótkofalowca, a ten stanowczo odradził.

– Za słabe! – powiedział. – Taka „przebitka”, to jak kiepska kopia na zużytej kalce. Oni mogą się zorientować, że coś nie tak.

Wspólnym wysiłkiem Szczęsnego i Kręglewskiego uzyskano więc pomoc u dyrygenta milicyjnej orkiestry. Pewną trudność sprawiło znalezienie nut, dyrygent jednak je zdobył w sobie tylko wiadomym miejscu. Ludzie z orkiestry, poinformowani w czym rzecz, byli mocno zdumieni, kiedy dyrygent powiedział:

– Gramy tylko początek utworu.

– Dlaczego? – spytał pierwszy skrzypek, który lubił wszystko wiedzieć. – To do jakiegoś filmu?

Dyrygent, major, wiedział zresztą niewiele więcej, ale nie chciał się do tego przyznać. Dorzucił więc tylko, że dalsze komentarze zbyteczne, i zaczęła się próba. Po trzydziestu minutach dyrygent uruchomił magnetofon. Szczęsny, mając taśmę pod ręką, spoglądał co chwila na fosforyzujące wskazówki swego zegarka i czekał. Kiedy dochodziła druga dwadzieścia,

nacisnął czarny klawisz przełącznika radiostacji. Umiął się z nią obchodzić, nieraz już miał do czynienia z tego typu transceiverem. Czekał jeszcze parę sekund, ze wzrokiem utkwionym w zegarek. Potem rozpoczął nadawanie. W eter popłynęła melodia, którą znał już na pamięć. Odczekał sześć minut i powtórzył. Przeszedł na odbiór i długo wsłuchiwał się w dalekie szumy, głosy, szmery. Nagle drgnął. Po upływie pół godziny od chwili, kiedy zakończył nadawanie, odezwała się znowu melodia „Tańca szkieletów”. Słyszał ją niewyraźnie, gdzieś bardzo daleko, rozpoznał momentalnie. I czas się zgadzał, i powtórzenie fragmentu po sześciu minutach.

– Więc jednak! – szepnął sam do siebie, uradowany.

Wyłączył SP 5 XXX, podniósł się z krzesła. Bardzo chciał zaraz zatelefonować do Tadeusza, wiedział jednak, że nie należało ryzykować. To mieszkanie mimo wszystko nie było bezpieczne, tajemniczy osobnik mógł gdzieś założyć podsłuch, podłączyć się do kabla, mógł to zrobić nawet poprzedniego dnia czy przed godziną.

\*

„Gamma” zakończył nadawanie i poszedł spać. Trochę był zaciekawiony skąd wzięli platynę, zdobycie jej nie było przecież łatwe. Dawno nie widział się z żadnym z tych dwóch. „Omegę” znał jedynie z pewnej wizyty, zakończonej polowaniem na dziki. Przed polowaniem, w nocy, odbyła się między nimi dłuższa rozmowa, w czasie której „Gamma” pocił się ze

strachu i kurczył na krześle czerwony i blady na przemian.

Rozmowa ta śniła mu się czasem w nocy, budził się wtedy z krzykiem i sięgał po alkohol. Dałby wiele, żeby mieć pewność, iż się nie powtórzy. Zresztą, „Omega” jakby zrezygnował z polowań w jego rejonie, bo więcej się nie pokazał. Wszelkie polecenia dostawał więc od „Delt” albo „Alfy”. Był tam jeszcze ktoś o pseudonimie „Beta”, ale nigdy nie pojawił się w lasach.

Następnego dnia wyjechał do miasta, miał urzędowe sprawy do załatwienia. Kiedy wrócił do domu, już z daleka spostrzegł samochód zaparkowany obok stodoły. Poznał wóz „Delt” i nawet się ucieszył. Pomyślał, że może tamten przywiózł mu pieniądze.

„Delta” siedział w kuchni, jadł bigos przegryzając chlebem. Żona leśniczego postawiła na stole butelkę wódki, z czego jej mąż wywnioskował, że przybyły zostanie na noc. „Delta” był ostrożny, nie prowadził wozu po alkoholu.

Przywitali się, „Gamma” rozlał wódkę, poprosił o bigos. Był potężnie głodny, zresztą zawsze lubił jeść dużo i często.

– Kałdun ci spuchł – stwierdził dosadnie przybysz, przyglądając mu się krytycznie. – Za dużo jesz.

– Stać mnie – burknął. Podniósł kieliszek. – Na zdrowie!

– Zdrowie! – „Delta” czuł już miłe ciepło w żołądku, zrobił się więc nieco bardziej uprzejmy i nawet zaproponował



kobiecie, aby z nimi usiadła, ale ta wykręciła się robotą.

Zjedli potem jeszcze po talerzu jajecznicy z boczkim. Butelka była już pusta, więc „Gamma” chciał przynieść następną, ale tamten zaprotestował.

– Dość – orzekł. – Mam z tobą do pogadania.

Przenieśli się do pokoju, gospodyni postawiła na stole kawę i wyszła. „Delta” zapalił carmena, podsunął gospodarzowi, ale ten wołał fajkę.

– Ciężko było zdobyć? – spytał „Gamma”. Miał na myśli ostatnią kradzież platyny. Ale „Delta” popatrzył na niego pustym wzrokiem.

– Co? – mruknął, był ociążały po jedzeniu. Napił się kawy i powtórzył – Co zdobyć?

– No, towar.

– Nie ma towaru.

„Gamma” uśmiechnął się wyrozumiale.

– Teraz już nie ma, jasna rzecz. Ale był.

Przybysz wzruszył ramionami. Nie rozumiał tej indagacji.

– Głupie gadanie! Był, to dawno poszedł.

– Jakże: dawno? Wczoraj przecie nadawałem.

Ręka, którą „Delta” niósł do ust filiżankę z kawą, znieruchomiała w powietrzu. Odstawiał naczynie na stół tak powoli, jakby usypiał. Oczy miał jednak teraz ostre, czujne. Wpił je w mówiącego, napotkał zdziwione spojrzenie „Gammy”.

– Wczoraj nadawałeś? – powtórzył, jakby nie wierząc w to, co usłyszał. – Co nadawałeś?

„Gamma” roześmiał się. Pomyślał, że widać tamtego wódka rozbiera i płacze mu się coś.

– Spiłeś się – stwierdził. – Co miałem nadawać? Zawsze to samo. Tę śmieszłą melodię, z taśmy.

„Delta” zmarszczył brwi. Teraz jemu z kolei przyszło na myśl, że chyba rzeczywiście wypił za wiele i nie pamięta wczorajszego dnia.

– Czemu to zrobiłeś? – spytał bezradnie.

– Człowieku, no przecież „Alfa” nadawał o drugiej dwadzieścia, dzień tygodnia się zgadzał, nastawiłem jak zwykle na odbiór i usłyszałem go. Więc zrobiłem, co trzeba. Co do mnie należało. Jasne, nie?

Tamten przetarł czoło, widać było, że skupiał myśli. Nie był pijany, ćwierć litra wódki, od tego się nie upija. Pamiętał doskonale, że poprzedniego dnia „Alfa” nic nie mógł przekazywać przez radiostację, bo przecież kradzież platyny z „L-23” nie powiodła się i towaru nie było. Cud, że im wówczas udało się uciec. Poza tym, radiostacji też nie było. Nie znalazł dotychczas aie odpowiedniego.

– Słuchaj – zaczął z namysłem. – Tylko bez żartów, bo się z tobą porachuję. Mów konkretnie.

– A czy ja nie mówię konkretnie? Był sygnał, po sześciu minutach drugi, jak zwykle. No, to i ja zrobiłem swoje. A ty mnie nie strasz, bo jakby co do czego przyszło, to ty byś leżał

na podłodze. Patrz! – podsunął tamtemu pod nos pięść, wielką jak bochen chleba. – Ja tu, u, siebie, jestem gospodarz. W Warszawie, to nie mówię. Nie znam miasta i jego sztuczek...

„Delta” ze zniecierpliwieniem odsunął rękę, która sterczała przed jego nosem.

– Słuchaj. Nie było żadnych sygnałów. „Alfa” nic nie nadawał... Czekaj, nie przerywaj, do ciężkiej cholery! Zrobili skok na jedne zakłady, on i „Beta”. Nie udał się. Dobrze, że zdążyli uciec, czekałem samochodem przy parkanie. Ściślej mówiąc, podjechałem w ostatniej chwili. I to nas uratowało, bo milicja i strażnicy urządzili zasadzkę. Platyna została w worku. Za ciężka, żeby z nią uciekać przez mur.

– „Omega” będzie wściekły!

– Trudno. Mniejsza o skok. Ale jak ty mogłeś słyszeć w nocy sygnały, kiedy nikt od nas nic nie przekazywał?!

„Gamma” siedział osłupiały i przestraszony. Teraz on przestał cokolwiek rozumieć. Przecież sygnał był wyraźny, taki jak zawsze.

– Taka sama melodia? – wypytywał tamten gorączkowo, próbował dociec prawdy. – Tak samo grana? Orkiestrowa? Nie pomyliłeś czegoś?

– Nie. Wszystko, jak zwykle.

– I podałeś na Hamburg?

– Podałem. A co miałem zrobić innego!

„Delta” uważał, że leśniczy postąpił prawidłowo. „Gamma” mądrością nie grzeszył, ale to, co mu polecono, wypełniał dokładnie. Dlatego był im ciągle jeszcze potrzebny. Tak,

tylko że... Pomyślał, jakie zamieszanie wywołały nadane sygnały, i aż jęknął z przerażenia. W miejscu, gdzie umieszczali towar na transporcie – właściwie, było to pod transportem, czekać będzie za dwa, trzy dni wysłannik „Omegi”. Albo on sam. Czeka na platynę, którą „Delta” musi przywieźć. Jego samochód jest do takich jazd przygotowany tak świetnie, że na dobrą sprawę mógłby nim zawieźć towar aż do Hamburga, chociaż „Omega” nigdy na to nie chciał się zgodzić. Twierdził zawsze z uporem, że celników nie należy lekceważyć. A ryzyko się nie opłaca.

No i co teraz? Jechać z niczym? Nie mieli umówionego szyfru na wypadek takiej skomplikowanej sytuacji. Nie było im to potrzebne. Nadawali sygnał tylko wtedy, kiedy towar już był. Proste. Jak teraz zawiadomić „Omegę”, że to pomyłka?

– Pomyłka? – powtórzył i skóra na nim ścierpła. – Niemożliwe! Ktoś umyślnie przekazał sygnały? To znaczy, że wiedzą.

– Co? Kto wie? – bąknął „Gamma”, równie przestraszony.

„Delta” wzruszył ramionami. Wstał, podszedł do okna i otworzył. Zrobiło mu się gorąco.

– Czy ja wiem? – warknął. – Pewnie milicja. Albo ten Kawecki coś podsłuchał i tak się zabawił. To by jeszcze było najmniej groźne, jeżeli to tylko zabawa.

– Myślisz, że milicja już o nas wie?

„Delta” nie odpowiedział. Próbował znaleźć jakieś wyjście

z sytuacji. Przede wszystkim, trzeba było jak najszybciej dowiedzieć się, co z „Alfą” i „Beta”. Herr Zintau... trudno, nawet jeżeli poczeka daremnie. Potem mu się wyjaśni. Zresztą, może powiedzieć, że „Gamma” się omylił. Pomylił melodię, zdarza się. Najważniejsze, to ustalić, co się stało w Warszawie. Trzeba tam jechać. Już.

– Cholera z wódką! – zaklął. – Daj parę ziarenek kawy. I trochę mięty... No, co się tak gapisz? Jestem trzeźwy. Trzeźwiejszy niż przed piciem. Ale mogę spotkać „drogową”. Gdy poczują alkohol, każą dmuchać w balonik, wtedy przepadłem. A ja muszę jak najszybciej być w Warszawie.

„Gamma” przyniósł palone ziarno kawy i garść suszonych liści mięty. „Delta” wcisnął to wszystko do kieszeni, narzucił płaszcz. Umówili się jeszcze, że dopóki „Gamma” nie otrzyma wyraźnych instrukcji, przekazanych bezpośrednio przez „Deltę” lub „Alfę”, ma ukryć radiostację i siedzieć cicho. Żadnych telefonów ani listów w tej sprawie nie będzie. Tylko przyjazd któregoś z nich.

„Gamma” potakiwał w milczeniu, jednakże zanim tamten wsiadł do samochodu, upomniał się o pieniądze. Robił, co mu kazali, przecież nie dla idei, nie uznawał niczego takiego.

– Rzeczywiście – przyznał „Delta”. Wyjął portfel, odliczył sumę, która się należała, i podał.

Leśniczy sprawdził, czy się zgadza, wsunął do kieszeni zwitek banknotów i twarz mu się wypogodziła. Życzył odjeżdżającemu dobrej drogi, powtórzył po raz trzeci, że pamięta

wszystko co trzeba. Kiedy za samochodem opadł kurz na piaszczystej, leśnej drodze, zawrócił do domu.

Radiostacją owinął grubą folią i ukrył, wraz z anteną, w kopcu na ziemniaki. Tam była bezpieczna.

\*

„Iść do któregoś z nich? Zadzwonić? – zastanawiał się, po powrocie do Warszawy. – A jeżeli zwinęli ich i wpadnę w zasadzkę?” Pomyślał, że najlepiej będzie sprawdzić w miejscu pracy. Zawsze może tam pójść nie zwracając niczyjej uwagi. Wprawdzie „Alfa” tak często zmieniał robotę, że „Delcie” nieraz myliło się, gdzie on aktualnie pracuje. Zaczął więc od „Bety”.

Wszedł do „Ultoru”, był tam już nie raz i wiedział, gdzie szukać. Zajrzał do pokoju, odetchnął z ulgą. „Beta” siedział spokojnie przy biurku, pochylony nad papierami. Dostrzegł „Deltę”, pytając uniósł brwi w górę, ale zaraz wstał, powiedział coś do kolegi pod oknem i wyszedł na korytarz.

– Co jest? – burknął niezyczliwie. – Nie powinienes tak często przychodzić.

– Musiałem. Chodź ze mną na parę minut do kawiarni.

– Zwariowałeś? Teraz, w czasie pracy? Zresztą, mam robotę.

– Wyjdz – powtórzył „Delta” z naciskiem. I dodał: – Czekam!

Odwrócił się i skierował w stronę windy. „Beta” zaniepokoił się. Ten nieudany skok... może milicja wpadła na ślad?

Może zauważyli numer samochodu?

Po kilku minutach siedział już w kawiarni, przy stoliku, gdzie „Delta” pił kawę.

– O co chodzi?

– Co z „Alfą”? – odparł pytaniem na pytanie.

– W porządku. Widziałem go dziś rano w autobusie. Znalazł robotę na Pradze, w warsztacie. Stało się coś?

„Delta” zaczął mówić. Wspólnie się zastanawiali, kto mógł nadawać i dlaczego.

– Jeżeli to milicja – rzekł „Delta” – jaki mają w tym cel?

„Beta” milczał długo, wreszcie odparł:

– Mogli mieć tylko jeden: wykrycie radiostacji w lesie. Rozumiesz, złapali już przedtem nasze sygnały i ustalili, że w określonym terminie ktoś stamtąd odpowiada w taki sam sposób. Więc teraz, po nadaniu melodii, przeszli na odbiór i czekali, czy coś się powtórzy. „Gamma” oczywiście nadał, no i mogli go spelengować. Spytałeś go, skąd przekazywał? Z domu czy z lasu?

– Z lasu. Dość daleko od domu.

– Całe szczęście. Kazałeś mu schować radiostację?

– Naturalnie.

„Beta” odetchnął z ulgą. Doszedł do wniosku, że nie należało się niczego bać.

– Słuchaj – powiedział „Delta”, a jeżeli to wszystko było inaczej? Nadawaliśmy sygnały tyle razy, że może po prostu

jakiś krótkofalowiec podsłuchał i dla kawału puścił w eter?

- Możliwe. Ale wątpię. Jak teraz zawiadomić „Omegę”?
- Niech się sam odezwie, wtedy mu wytłumaczę. Najbezpieczniej teraz siedzieć jakiś czas cicho.

\*

Sprowokowany przez Szczęsnego sygnał „Tańca szkiele-tów” i odezwanie się radiostacji w lesie przysporzyło funkcyj-nariuszom Służby Bezpieczeństwa wiele pracy. Nie sposób przecież było otoczyć wozami pelengacyjnymi cały olbrzymi szmat nadodrzańskich lasów, ciągnących się setkami hekta-rów. I tym razem bowiem nie znana radiostacja odezwała się w zupełnie innym miejscu, niż przewidywali. Zanim zdążyli skierować tam choć jeden samochód, sygnały umilkły i już się nie powtórzyły.

Pułkownik Polewski postanowił więc uderzyć z innej stro-ny. W Komendzie MO w małym miasteczku, pochyleni nad dokładną mapą tych okolic, zastanawiali się nad każdym do-mem i każdym mieszkańcem, mając do pomocy miejscowych milicjantów.

- Wiemy, że ten człowiek ma samochód. To niemal pewne – powiedział pułkownik. – W przeciwnym razie nie byłby w stanie tak szybko zmieniać miejsca nadawania. Musi to być mocny, w pełni sprawny, wóz. Ma antenę dipolową o poziomej polaryzacji. Wątpię jednak, żeby stale z nią jeździł.



Pewnie zakłada tylko wtedy, kiedy nadaje.

– Porusza się w lasach dość swobodnie – zauważył porucznik Klinga. – To by wskazywało na leśnika, gajowego czy kogoś o podobnym zawodzie. Znacie tu wszystkich leśników, komendancie? – zwrócił się do szefa miejscowej jednostki, kapitana Dominiaka.

– Raczej tak. Jednego trzeba było posadzić w ubiegłym roku za łapówki i kradzież. Ale dotąd nie wyszedł z więzienia, więc nie możemy go brać pod uwagę.

– Chciałbym przejrzeć teczki personalne tutejszych leśników i gajowych, w ogóle całej kierowniczej służby leśnej, pracującej w rejonie „X” – rzekł Polewski. – Da się to szybko zrobić?

Rejonem „X” nazwali umownie obszar lasów, z którego po raz pierwszy uchwycili sygnaty. Szef namyślał się chwilę, a potem odparł, że w zasadzie tak. Pułkownik dodał, że nie chodzi mu o drwali, lecz o osoby na bardziej odpowiedzialnych stanowiskach.

Następnego dnia rano szef jednostki położył przed nim kilkanaście teczek. Nie powiedział, że miał z tym wiele kłopotów: były potrzebne, musiały się znaleźć.

– Siadajcie, kapitanie – Polewski rozłożył pierwszą teczkę. – Widzę, że bez waszej pomocy nie dałbym sobie rady. Przejrzemy to razem.

Pracowali w milczeniu, czasem dzieląc się krótkimi uwagami, czasem kapitan wychodził z gabinetu, aby u swych podwładnych zasięgnąć dodatkowych informacji. Porucznik Klinga krążył w tym czasie wozem pelengacyjnym po najbliższym pasie leśnym, zresztą bez większej nadziei, że coś usłyszy.

W pewnej chwili pułkownik podniósł głowę znad papierów i rzekł:

– Tu jest jakaś luka. Gdzie on był od kwietnia czterdzieści pięć do marca czterdzieści sześć?

Szef wstał, popatrzył mu przez ramię.

– Henryk Woch? – zastanowił się, przyjrzał zdjęciu. – Nie pamiętam. Spytam sierżanta Markiewicza. On tu z nas wszystkich jest najdłużej i najlepiej zna ludzi.

– Poproście go tutaj.

Markiewicz dobiegał już pięćdziesiątki albo ją nawet przekroczył, wskazywała na to siwizna na głowie i twarz poorana zmarszczkami. Wszedł, zameldował się i spojrzał pytająco na swego szefa. Polewski był po cywilnemu, sierżant nie wiedział więc, kim jest człowiek za biurkiem, toteż zignorował go.

Ale pułkownik wstał, przedstawił się i wyciągnął rękę. Było to nie tyle formalne, ile grzeczne i Markiewicz w pełni docenił uprzejmość oficera. Potem wszyscy usiedli, a Polewski podsunął sierżantowi teczkę Wocha i spytał:

– Znacie go?

Sierżant spojrzał na fotografię.

– Oczywiście. Porządny człowiek, nie mamy z nim

żadnych przykrości. Trochę powolny w robocie. Kłusowników przegania, lasu pilnuje.

– Od dawna go znacie?

– Odkąd objął leśniczówkę w Marianowie. Właściwie, Marianowo to wieś, sześć kilometrów od lasu, ale leśniczówkę też tak kiedyś nazwano, no i zostało.

– Kiedy Woch przyjechał?

– O, to już będzie ze dwadzieścia lat. Albo więcej. On jest z Białostockiego. Tam mu podobno żona umarła, potem ożenił się drugi raz i już nie chciał zostać w tamtych okolicach. Mówił mi kiedyś, że za dużo przykrych wspomnień. Pewnie miał na myśli śmierć żony.

Polewski popatrzył na dokumenty i rzekł:

– A czy nie mówił wam, co robił przez prawie rok, od kwietnia czterdzieści pięć do marca następnego roku?

Markiewicz zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. To by było zaraz po wojnie... Nie mówił. W papierach tego nie ma?

– Pierwszy dokument jest dopiero z pięćdziesiątego drugiego roku, a obejmuje okres pracy od marca czterdzieści sześć. Woch był wtedy zatrudniony w tartaku. Jak zaczynał pracę, miał dwadzieścia cztery lata i...

Nagle sierżant uderzył się w czoło i zawołał:

– Prawda! Teraz mi się przypomniało. Opowiedział mi kiedyś, że tę jego pierwszą żonę zamordowała banda i on, bojąc się, że go to samo spotka, uciekł w ogóle z Białostockiego, zdaje się w Rzeszowskie. Pewnie dlatego przez pierwszy

rok po wojnie pracował gdzieś dorywczo albo siedział u znajomych i potem dopiero wziął się za stałą robotę.

– Zgadza się, był w województwie rzeszowskim – potwierdził pułkownik. – Właśnie tam, pod Przeworskiem pracował w tartaku.

– Towarzyszu pułkowniku – rzekł Dominiak – wolno spytać, dlaczego właśnie Woch was zainteresował?

– Bo tu jest dokument jego demobilizacji. A w wojsku był radiotelegrafistą. Rozumiecie teraz? – Podsunął mu teczkę. – Zaciągnął się w czterdziestym czwartym, doszedł do stopnia kaprała. No, wtedy szybko się awansowało, była wojna. Zdemobilizowany na własną prośbę, żona prowadziła gospodarkę, pewnie było jej ciężko samej. Czy Woch ma samochód? – zwrócił się do sierżanta.

– Ma. Kupił parę lat temu. Zieloną Warszawę.

– Często nią jeździ?

– Tego nie wiem. Parę razy widziałem go w tym wozie.

Przyjeżdża do nadleśnictwa, do sklepów. Przeważnie z żoną.

– Mają dzieci?

– Nie.

Polewski oparł się o poręcz krzesła i przygryzł wargi, rozważając w myśli swój projekt. W końcu powiedział:

– Można by znaleźć jakiś pretekst, żeby trochę obejrzeć tę leśniczówkę?

– Można – odparł kapitan. – Wprawdzie teraz nie sezon polowań, ale na przykład ryby. Tam niedaleko jest jezioro.

Moglibyśmy przenocować u Wocha, a przy tej okazji spenetrować, co w trawie piszczy. Sierżant pojedzie z nami?

– Przydałoby się. Zna teren i gospodarza – uśmiechnął się pułkownik. – Tylko nie uprzedzajcie Wocha! Zresztą – spojrzał na zegarek, była dwunasta w południe – możemy jechać zaraz. Zjemy tylko obiad w stołówce. I dajcie benzyny do mojego Mercedesa. Kwit podpiszę, Komenda Główna odda, co pożyczyla.

Wyjechali w godzinę później. Umówili się, że Polewskiego przedstawiają jako wysłannika resortu chemicznego, inżyniera, znajomego kapitana. Przyjechał na dwa dni, odnowić tę znajomość. Pułkownik sam prowadził wóz, Mercedes miał cywilny numer rejestracyjny, a radiostację ukryli pod siedzeniem. Woch mógł bowiem pamiętać, że miejscowa milicja nie dysponuje tego typu samochodami.

Do Marianowa było czterdzieści kilometrów z okładem. Minęli wieś, sierżant wskazywał drogę. Zagłębili się w las, świeża zieleń lśniła po niedawnym deszczu. Dwukrotnie trzeba było skręcać w leśny dukt, Mercedes pracowicie międlił kołami błotnistą ziemię, chwilami szorował brzuchem po wodzie. Potem drzewa rozsunęły się, wjechali na dużą polanę z zabudowaniami gospodarskimi. Pies zaczął ujadać i szarpać się na długim łańcuchu. Z domu wyszedł mężczyzna o postawie atlety.

– Woch – mruknął kapitan.

Polewski zatrzymał samochód kilkanaście metrów od budynku. Wysiedli, sierżant szedł pierwszy, uśmiechając się po swojemu, dobrodusznie.

– Dzień dobry, panie Woch – zawołał. – Gości prowadzę.

– Witam – burknął gospodarz, mierzył uważnym spojrzeniem idących, najdłużej zatrzymał wzrok na pułkowniku. – Kłaniam się nisko, obywatelu kapitanie. – Podał rękę Dominiakowi, potem znowu popatrzył na Polewskiego. – A tego pana nie znam.

– To inżynier Nowak – szef podał nazwisko, jakie poprzednio uzgodnili. – Mój serdeczny przyjaciel z dawniejszych lat. Pracuje w ministerstwie. Chcieliśmy, jeżeli pan pozwoli, zatrzymać się u pana na noc i świtem zapolować na ryby.

– Na ryby? – Woch z trudem oderwał oczy od nieznanego. – A wędki macie?

– Jasna rzecz! – powiedział sierżant. – W samochodzie pana inżyniera. Wędki, haczyki, czerwone robaczki, wszystko co trzeba. Trochę czegoś na rozgrzewkę też przywieźliśmy, panie Henryku!

– Przepraszam, że pakuję się do pana na noc, zupełnie obcy – odezwał się teraz Polewski z uśmiechem zażenowania. – Ale Wojtek – wskazał na kapitana – zapewnił mnie, że nie sprawimy panu specjalnego kłopotu. Oczywiście, ureguluję koszty noclegu.

– A co to za koszty! – zawołał Dominiak.

I nagle ze strachem pomyślał, że nie pamięta, jak pułkownikowi na imię. Co prawda jeszcze w aucie zaczęli do siebie mówić na ty, aby potem nie było omyłki, jednakże kapitanowi sprawiało to pewną trudność, ostatecznie tamten był o tyle wyższy stopniem, przedstawiciel Komendy Głównej, no i widział go po raz pierwszy. Cholera, jak on ma na imię? – myślał gorączkowo. Polewski, który zupełnie nie orientował się, o co chodzi, popatrzył na niego z lekkim zdziwieniem. Nastąpiła chwila ciszy. Przerwał ją przytomny sierżant; widząc, że coś jest nie w porządku, klepnął leśniczego po ramieniu i rzekł wesoło:

– No, panie gospodarzu! Długo nas tak będziesz trzymał na dworze? Nogi nam trochę zmarzły w samochodzie.

– Prawda! Ja przepraszam, rzeczywiście, proszę do domu – Woch otworzył drzwi szeroko, krzyknął coś do żony. – Proszę, niech panowie pozwolą do pokoju. Na prawo, pan sierżant wie, bo już tu był. Ciepło jest, bo rano trochę napaliłem w piecu. Noce jeszcze chłodne, z przymrozkiem.

W tym momencie kapitanowi przypomniało się imię Polewskiego i od razu poprawił się humor.

– Popatrz, Tadeusz, na te rogi jelenie – wskazał na ścianę obok kaflowego pieca, ozdobioną mnóstwem rogów, zawieszonych na barwnym kilimie. – To chyba wszystko pańskie trofea myśliwskie, panie Woch?

– E, nie! – uśmiechnął się leśniczy. – Trochę sam ustrze-liłem, trochę kupiłem, a resztę dostałem od myśliwych, którym

nie zależało na rogach i zwierzynie. Proszę, siadajcie panowie. Zaraz żona coś przygotuje na przekąskę.

Próbowali protestować, ale żona leśniczego wniosła talerz, kieliszki, a potem duży półmisek z wędliną, pieczywo, masło i miód. Woch wyciągnął z kredensu, butelkę nalewki, miała piękny rubinowy kolor.

– Na leśnych malinach – wyjaśnił, na pytające spojrzenie kapitana. – Proszę powąchać, jak pachnie.

Dominiak przytknął nos do otwartej butelki i pokiwał głową z uznaniem.

– Nie ma to, jak własne nalewki – rzekł. – Ale tylko po jednym, panie Woch.

– No, przecież panowie teraz nie na służbie? – leśniczy zawiesił głos, rysy twarzy zaostrzyły mu się.

– Oczywiście, że nie – odparł kapitan pogodnie. – Ale to u nas już tak jest, że służba trwa dwadzieścia cztery godziny.

– Kto ci kazał wybierać ten ciężki zawód?. – zażartował Polewski. – Ja pracuję od siódmej do trzeciej i koniec. Resztę dnia mam dla siebie. Telefon mogę w domu wyłączyć, na dzwonek nie otwierać. A ty musisz być stale pod telefonem.

– Trudno. Raz się wybrało, to się ma. Na starość zawodu nie zmienię. Prawda, sierżancie?

– Co do tej starości, to obywatel kapitan ma jeszcze dużo czasu. A ja już tylko jeden krok.

– Ludzie kochani, nie macie weselszych tematów?



– Mam. Znacie anegdotką o niewiernym mężu?... Nie? No, więc pewna kobieta miała męża, który ją przez całe życie zdradzał. Wreszcie umarł. Któregoś dnia poszła na jego grób. Z kwiatami, bo po śmierci już mu wszystko wybaczyła. Patrzy, a tam leży kartka. Ręką nieboszczyka napisane: „Jestem u Zosi, dwa groby dalej. „Zaraz wracam.”

Ryknęli śmiechem. Woch śmiał się najgłośniejszym, słysząc go było chyba na całym podwórzu, chociaż okna były zamknięte. Wypili, nie po jednym co prawda, ale po trzy kieliszki, przegryzając chlebem z domową kielbasą i salcesonem. Rozmawiali potem dość długo, o tym i owym, Polewski przytoczył kilka warszawskich kawałów, barwnie opowiadał o swojej pracy inżyniera-chemika, kapitan podziwiał go w duchu. Nie wiedział, że swego czasu pułkownik studiował chemię.

Zapał już zmrok, kiedy rozgrzani i zmęczeni rozmową wyszli „pochodzić po lesie”, jak to określił Dominiak. Sierżant wykręcił się bólem nóg. W rzeczywistości nie chciał zostawić Wocha samego, a że znali się już przedtem, wypadło to zupełnie naturalnie.

Obaj oficerowie oddalili się spory kawałek od zabudowań, a wtedy kapitan rzekł na wpuł żartem:

– Ręce ma niczym zapaśnik. Jak on tymi paluchami obchodził się z bądź co bądź delikatną radiostacją?

– Wtedy, w wojsku? No, pamiętaj, że to było ponad trzydzieści lat temu. Woch był młody, z pewnością nie taki gruby i niezgrabny, jak teraz. A jego wrodzona siła mogła przydać

się do noszenia radiostacji, dosyć jednak ciężkiej... Ciekawy człowiek. Zauważyłeś, jak mi się na początku podejrzliwie przyglądał? Dałbym wiele, żeby wiedzieć, co on robił przez pierwszy rok po wojnie. Jutro, zaraz jak powrócimy do komendy, skontaktuję się z naszymi w Białymstoku. Niech wygrzebią stare sprawy.

– Będzie trudno – zauważył pesymistycznie Dominiak. – Wątpię, żeby z tamtego okresu przechowały się u nich jakieś dokumenty. Sądziś, że Woch był w bandzie? Ale to podobno właśnie banda zabiła mu żonę?

– Jeżeli to prawda. Może był w bandzie, może coś innego. Słuchaj, w nocy trzeba będzie obejrzeć strych. Dom jest wysoki, drewniany, w takich domach świetnie można umieścić na strychu antenę o bardzo dalekim zasięgu, wcisnąć ją między belki stropowe i zamaskować tak, że sam diabeł nie odnajdzie.

– Jeżeli on nadaje z różnych miejsc, to zabiera antenę do samochodu. Wątpię, żeby potem za każdym razem ukrywał ją na dachu. Za wiele roboty. Myślę raczej, że ma jakiś prostszy, bliższy schowek, bardziej pod ręką. Ale na strychu i na dachu powinny być ślady takich umocowań. Dobrze, wybiorę się tam w nocy.

– Dasz radę sam?

Dominiak roześmiał się tylko. Był szczupły, wysportowany i zwinny, należał do sekcji lekkoatletycznej „Gwardii”. Sekcję tę sam założył w komendzie, a jej członkowie mieli bardzo

dobre wyniki.

– Postaram się – odparł skromnie. – Przewidywałem pewne rzeczy i zabrałem w teczce kilka narzędzi, sznur i latarkę. Wolałbym tylko, żeby gospodarze nie nakryli mnie w trakcie buszowania po dachu.

– W razie czego wytłumaczę im, że jesteś lunatykiem. Chociaż pewnie żadne z nich nie wie, co to znaczy – zażartował kapitan.

Nie wykręcili się od kolacji, jednakże Nowak-Polewski twardo postawił warunek: on za całą trójkę płaci. Woch cętownał się trochę, ale szturchnięty w łokieć przez żonę, ustąpił. Pułkownik zapłacił za kolację i z góry za jutrzejsze śniadanie, a także za nocleg. Żona leśniczego przygotowała posłania. Mieli na piętrze duży pokój gościnny z trzema łózkami i umywalnią, do której wodę trzeba było przynieść z kuchni.

Woch tłumaczył się, że mu w zarządzie lasów od lat obiecują wybudowanie nowego domu „z wygodami”, dlatego sam nie przeprowadza żadnych inwestycji, a prawdę mówiąc do tego starego przyzwyczaili się jakoś i żyją. Chciał ostatnio kupić telewizor, ale nie było w miasteczku, a dalej nie miał czasu jechać.

– I nie wstyd panu, panie Henryku, tak żyć jak za króla Ćwiczka? – zażartował sierżant, ale Woch nie zrozumiał porównania i nie zareagował.

O dziesiątej wieczorem rozeszli się, nazajutrz mieli wstać bardzo wcześnie. Gospodarz życzył wszystkim dobrej nocy i odprowadził na górę. Słyszeli, jak ciężko stąpając schodzi po

wąskich, wyślizganych stopniach i jak wychodzi na podwórze, gwizdząc na psa. Spuszczony na noc z łańcucha brązowy kundel przybiegł cicho, obesli razem budynki gospodarskie. Po kwadransie Woch wrócił do domu i zamknął drzwi.

– Jego samochód stoi w stodole – odezwał się cicho Markiewicz. – Mógłbym go obejrzeć.

– Stodoła jest zamknięta, a wrota skrzypią. Słyszałem, jak zamykał – rzekł Polewski.

– Tak, ale od tyłu dwie deski są obluzowane i dadzą się wyjąć. W każdym razie odsunąć.

– Nie. Poczekajcie z samochodem, ważniejszy jest strych. Wóz możemy zupełnie jawnie obejrzeć jutro, pod byle pretekstem.

Leżeli w ciemności, czekali, aż upłynie co najmniej godzina od chwili, kiedy z dołu przestały dolatywać wszelkie szmery, kroki i stukania. Sierżant ostrożnie otworzył okno, wychylił się i spojrzął w dół. Sypialnia Wochów znajdowała się dokładnie pod ich pokojem. Na ziemię nie padał z tamtych okien najmniejszy promień światła. Było cicho. Zamknął okno, bo marzył w piżamie.

– Poczekajmy jeszcze pół godziny – powiedział pułkownik. – Niech usną.

– Woch wypił pół litra, to go zmorzy.

– Ale gdzie tam! – sierżant dobrze znał leśnika. – On może wypić beczkę wódki, dopiero wtedy będzie trochę pijany. Twarda sztuka.

Kilka minut przed północą Dominiak bezszelestnie uchylił

drzwi. Pułkownik poświecił mu słabą latarką, nasłuchując, czy na dole nikt się nie porusza. Obok schodów stała drabina, górny szczebel opierał się o wąż na strych. Kapitan wypróbował w pierw po kolei wszystkie szczeble, czy nie są zmurszałe albo złamane. Potem wspiał się aż do włazu, zaparł ramieniem i bardzo powoli zaczął go unosić. Wciąż bał się, że w starym domu wszystko będzie skrzypieć, trzeszczeć i zdradzi jego wędrówkę.

Toteż z pewnym zdziwieniem stwierdził, że drabina jest mocna, wąż otwiera się łatwo i bez hałasu. Schylił się, odebrał od Polewskiego latarkę i po chwili znikł, zamykając wąż za sobą.

Pierwsze, co mu wpadło w oczy, to stół i krzesło, ustawione w pobliżu małego okienka. Zbliżył się, przyjrzał z uwagą. Nie wyglądało to na wyrzucenie starych gratów, które były, już zbyteczne w pokojach. Przeciwnie, mogło się wydawać, że przy tym stole ktoś niedawno coś robił, siedząc na krześle, leżała tam nawet mała, wygnieciona poduszka.

Dominiak oświecał stół, centymetr po centymetrze i przyglądał się jego powierzchni. Były na niej rysy, ale te jeszcze nic nie mówiły. Kawałek dalej znalazł zapis ołówkiem, ktoś tu zanotował datę i godzinę: ósmego kwietnia, trzecia pięć. Więcej nic na stole nie było. Natomiast pod nim, na nie heblowanych deskach podłogi, kapitan znalazł maleńki kawałek czegoś, co według wszelkiego prawdopodobieństwa było taśmą magnetofonową. Schował to starannie do przygotowanej

koperty, zakleił i wsunął do kieszeni.

Żałował, że nie może sfotografować linii papilarnych, pocieszył się jednak tym, że z pewnością byłyby to linie gospodarza, co w jego własnym domu, na własnym strychu było absolutnie prawdopodobne.

Cicho stąpając w samych skarpetkach, podszedł teraz do długich, ciemnych belek stropowych, które biegingy wzdłuż strychu lub też opadały ukosem po bokach, dugo, cierpliwie oglądał je ze wszystkich stron, świecił w każdą szparę i załamanie. Nagle drgnął.

Dwa dość duże gwoździe wbite były w belkę. W żadnym wypadku nie mogły służyć do wieszania mokrej bielizny lub pęczka cebuli. Umieszczono je dokładnie tak, jak powinny być wbite celem umocowania długiej, mocnej anteny. W dodatku, na jednym gwoździu wisały jeszcze resztki cienkiego kabla.

Kapitan obejrzał to wszystko dokładnie i wyciągnął wniosek, że ze strychu nadawano sygnały lub coś innego, nie jeden raz. W przeciwnym razie nie opłacałoby się przynosić tu stołu i krzesła. Woch był ociężały i wygodny. Gwoździe i kabel również wskazywały, że antenę umieszczano tu kilkakrotnie. Być może, Woch sądził, że wszystkie te rekwizyty będą mu jeszcze potrzebne.

No, dobrze. A gdzie jest radiostacja? – zadał sobie pytanie. Obszedł strych dookoła, zajrzał we wszystkie możliwe kąty i zakamarki, ale nic nie znalazł. Lekko opukiwał strop, przerywając i nasłuchując co chwila. Wiedział, że Polewski stoi

przy drzwiach pokoju i w razie najmniejszego szmeru z dołu odezwie się głośno, że właśnie chciałby skorzystać z domku w podwórzu. Na razie Polewski milczał.

Dalsze poszukiwania na strychu nie miały już «sensu. Radiostacja, jeżeli była w domu, to gdzieś na dole. Albo w stodołę czy w chlewiku. Albo nawet w lesie. Takich możliwości leśniczy ma o wiele więcej niż przeciętny człowiek, ograniczony swoim M 3 czy M 4, nawet z piwnicą.

Dominiak wrócił do wjazdu, poświęcił sobie na skarpetki od strony podeszwy, a widząc, że są zakurzone, przykucnął i starannie rozdmuchał kurz po podłodze, zacierając w ten sposób ślady swoich stóp. Potem zszedł po drabinie.

Obaj wrócili do pokoju, zamknęli drzwi.

– I co? – szepnął pułkownik z zaciekawieniem. Markiewicz, który tymczasem zasnął, ale spał czujnie, obudził się i nasłuchiwał.

– Są ślady – powiedział kapitan. Usiadł na łóżku, przełożył do teczki wszystko, co zabrał na strych. – Stół, krzesło, w belce znalazłem dwa gwoździe, wyraźnie wskazujące na umieszczenie tam anteny. Poza tym na podłodze był kawałek taśmy. Chyba magnetofonowej.

– Pokaż! – Polewski przysunął się bliżej.

Dominiak wyjął kopertę, otworzył. Pułkownik potwierdził i ucieszył się. Mieli już ślad, teraz trzeba ostrożnie, ale wytrwale pójść tropem. Kapitan opowiedział jeszcze dokładnie, jak wygląda strych i stół.

– Na blacie był napis ołówkiem – dodał. – Data: ósmego kwietnia trzecia pięć. Mówi ci to coś?

– Oczywiście! W tym dniu i o tej godzinie gdzieś w tych okolicach nadawano „Taniec szkieletów”.

– Co nadawano? – przestraszył się sierżant.

– Sygnały, oparte na pewnej melodii. To jest jej tytuł.

– Paskudny.

– Może – powiedział Polewski w zadumie – gdyby to był jakiś popularny walc, marsz albo urywek ze znanej operetki, nie zwrócilibyśmy uwagi. Oni zrobili błąd, że wybrali właśnie taki utwór.

– Co dalej? – Dominiakowi zupełnie odechciało się spać.

– Zaryzykować obejrzenie samochodu?

Polewski pomyślał chwilę, potrząsnął głową.

– I co tam znajdziemy? Radiostację na pewno nie. Taki głupi, to on z pewnością nie jest. Co najwyżej nieznacznym ślad jakiegoś otarcia, bo dipolowa antena jest większa niż zwykła samochodowa. Nie, Nie ma sensu ryzykować, bo możemy wszystko zepsuć. To, co mamy, na razie wystarczy. – Zgasił światło i dokończył: – Spać! Trzy godziny snu, bo o czwartej zbudzą nas na te cholerne ryby.

Markiewicz zachichotał i zaraz usnął.

Następnego dnia przed południem, pożegnawszy obojga gospodarzy, wrócili do miasteczka. Polewski połączył się milicyjnym kablem z komendą w Białymstoku i wyłuszczył, o co mu chodzi. Tamtejszy komendant wojewódzki przyjął polecenie



bez większego entuzjazmu – grzebanie w starych aktach było bardzo pracochłonne, a często bezowocne – ale przyrzekł zając się tym jak najszybciej. Miał takiego specjalistę od archiwów, oficera już na emeryturze, zaangażowanego na pół etatu, który nawet obudzony w nocy mógł powiedzieć, co działo się na terenie komendy, powiedzmy, szóstego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku.

W laboratorium podręcznym obejrzeni urywek taśmy. Była czysta, bez śladu zapisu.

– I jeszcze ten tartak w Przeworsku – powiedział Polewski do kapitana. – Stąd chyba łączność będzie utrudniona, drugi koniec Polski, więc może... – zamyślił się.

– Wysłać tam kogoś?

– Nie. Tu będziesz miał dość roboty. Wyślę pracownika z Warszawy. Zrób mi tylko odpis najważniejszych dokumentów Wocha. Z kopią, bo wam też będzie potrzebna.

– Gdyby zrobić przeszukanie oficjalne... – zaczął Dominik, ale tamten mu przerwał.

– W żadnym wypadku! Potrzebna jest nam cała grupa, nie jeden człowiek. A dałbym głowę, że tu działa dobrze zorganizowana grupa. Wiemy już o dwóch: ten, co nadawał z Warszawy, i, najprawdopodobniej, Woch. Ale Woch nie włamywał się do magazynów w Poznaniu i w „L-23”. Więc musi być jeszcze ktoś trzeci. A jeżeli rzeczywiście platyna wysyłana jest przez nich za granicę, to grupa liczy co najmniej cztery,

pięć osób. W takich wypadkach zwykle jest człowiek, który kieruje, układa plany skoków i tak dalej. Wątpię, żeby to był któryś z włamywaczy albo zabójca Szumskiego. To musi być człowiek bardzo sprytny, i taki, który sam głowy nie nadstawia. Inni to robią za niego.

## Rozdział 6

Kurt Zintau był bardzo zły. Wprowadzono go w błąd, umyślnie czy nieświadomie, tego na razie nie wiedział. Faktem jest, że wysłannik czekał w umówionym miejscu pięć długich dni i nie doczekał się transportu ani znaku życia od „Deltę” czy któregoś z tamtych. Brał pod uwagę, że „Delta” mógł zachorować, rozbić się samochodem, mogły zaistnieć jeszcze inne okoliczności.

Ale Zintau był podejrzliwy. Tak bardzo, że nie ufał nawet swojemu wysłannikowi, chociaż był to rodowity Niemiec, w dodatku z Dolnej Saksonii, a więc krajan. Mimo to, Zintau z miejsca posądził go o korszachy z tamtymi. Wyraził to nawet w sposób dosadny, a kiedy Hans próbował przekonać go, że nie ma racji, otrzymał siarczasty policzek, po którym twarz mu spuchła z jednej strony.

Wysłannik powstrzymał się, żeby nie zareagować. Zbyt wiele wiedział o Kurcie Zintau i chciał jeszcze trochę pochoździć po świecie. Poza tym, w ostatecznym rachunku praca dla

tego porywczego inżyniera opłacała mu się, a Hans lubił pieniądze.

Stał więc teraz na środku gabinetu, po którym biegał rozwścieczony Zintau, ale z doświadczenia wiedział, że tamtemu złość powoli opadnie, a wtedy będą mogli się dogadać. Tak też było. Zintau wysapał się, wyrzeszczał, potem usiadł w ogromnym, skórzanym fotelu i milczał kilka minut, spoglądając wrogo na stojącego wciąż, pokornie i nieruchomo, pracownika. Wreszcie warknął:

– Siadaj! I nalej piwa. Mnie i sobie. A teraz opowiedz jeszcze raz od początku. Tylko nie kręć, nie łyż, bo ja i tak się dowiem.

Pogróżka była bez pokrycia, o czym obaj wiedzieli. Gdyby Hans naprawdę chciał sprzymierzyć się z tamtymi przeciwko niemu, zrobiłby to, i Zintau nieprędko by się zorientował. Ostatecznie, on był jeden – ich pięciu. Jednakże cała piątka wiedziała, że tylko Zintau zna i ma możliwość dotarcia do kupca platyny, który płacił za nią tak wysoką cenę. Potrzebowali więc siebie wzajemnie.

Kiedy Hans skończył mówić i łyknął piwa, inżynier spytał już spokojnie:

– Co o tym sądzisz?

– Cóż, jest kilka możliwości – odparł Zintau ostrożnie. – Wypadek samochodowy, kontrola milicyjna, choroba... Mogli wysłać „Deltę” z pracy w jakąś dłuższą delegację i on nie potrafił się wykręcić. Powinien był w każdym razie zawiadomić. Choćby przez „Gammę”, a on nas.

– A jeżeli wszyscy wpadli?

Hans pokręcił głową. Daleki był od tej myśli. Znał „Deltę” i jego ostrożność. Znał też skrytkę w jego samochodzie, była tak przemyślnie zrobiona, że tylko rozebranie wozu na części mogło ją ujawnić. Oczywiście, w razie katastrofy rzecz by wyszła na jaw. Ale „Delcie” katastrofy nie miały prawa się wydarzać. Może więc jest chory albo wyjechał służbowo.

– Powinien był zawiadomić – powtórzył. – „Gamma” się nie odezwał?

– Nie. Żaden z nich.

– No, tamci nie mają przecież z nami kontaktu. Poczekajmy, może będzie telefon albo depesza.

– Profesor już dwukrotnie dopominał się o platynę. Donnerwetter, skąd ja mu wezmę?!

Hans spojrział na twarz swego szefa. I nagle przypomniał sobie pewną rzecz, przysunął się z krzesłem do biurka i powiedział z ożywieniem:

– Herr Zintau, ja mam wuja. To stary człowiek, blisko osiemdziesięcioletni. W czasie wojny, właściwie już pod koniec jej, przydzielono go do czternastej kompanii w szóstym pułku zaopatrzenia, nie pamiętam dokładnie nazwy, to nie jest ważne. Otóż wuj opowiedział mi kiedyś, że jak nasze wojska ucie.... to znaczy, wycofywały się regularnie na zachód, jego kompania przez tydzień ochraniała samochód pancerny, w którym podobno znajdowały się dwie skrzynie z jakimś cennym metalem. Wuj sądzi, że było to złoto albo platyna.

- No, no? – zachęcił Hansa inżynier, dolewając mu piwa.
- I co dalej?
- Szli przez lasy nad Odrą. Przejechali jakiś wiadukt, który zaraz potem został wysadzony w powietrze. Zatrzymali się, jeżeli pamiętam, w majątku grafa von Holstein. To było jeszcze po wschodniej stronie Odry. W nocy żołnierze tej kompanii zdjęli obie skrzynie, z samochodu, wynieśli do piwnicy, gdzieś bardzo głęboko, tam była zdaje się druga piwnica obok pierwszej. No i zamurowali. Najpierw przed skrzyniami ustawili taki mur, że niby tutaj nic nie ma, a potem jeszcze zamurowali wejście do tej drugiej piwnicy.
- Graf o tym wiedział?
- Nie, jego już tam wtedy nie było. Wyjechał wcześniej, razem z całą rodziną. Zostały tylko niektóre meble, resztę wywiózł.
- I wuj twierdzi, że to była platyna?
- Albo złoto. Co za różnica, dla nas dobre jedno i drugie. Zintau myślał przez chwilę, potem wstał i podszedł do ogromnej mapy, zawieszanej na ścianie gabinetu.
- Jak ten majątek się nazywał?
- Nie pamiętam. Ale mogę wuja zapytać. Mieszka na Rosenstrasse osiemnaście. Pamięć ma dobrą. Mogę zaraz tam iść – Hans podniósł się z krzesła, posłuszny i gotów do wypełniania rozkazów, zwłaszcza łatwych i bezpiecznych.
- Pójdziemy razem! – zastrzegł się Zintau błysnąwszy okiem podejrzliwie.

\*

Franz Mueller zdziwił się trochę wizytą obcego człowieka, który zjawił się u niego nagle, bez zapowiedzi, w dodatku w towarzystwie siostrzeńca.

Po chwili jakaś kobieta przyniosła koniak i mocną, świeżo zaparzoną kawę. Po krótkiej, obojętnej rozmowie, Zintau odezwał się tonem bardzo poważnym:

– Panie Mueller, pozwoliłem sobie przyjść do pana tak niespodziewanie, bo pański siostrzeniec, a mój doskonały pracownik, Hans – tu uśmiechnął się do podwładnego – wspomniął mi dzisiaj o pewnym ciekawym wydarzeniu, którego pan był uczestnikiem w czasie wojny.

Otóż kuzyn mój jest dokumentalistą. Zbiera do swojej książki wspomnienia żołnierzy Wehrmachtu. Ostatnio opracowywał kilka opowiadań, dotyczących intendentów oraz służb zaopatrzenia. Zwłaszcza zależy mu na czternastej kompanii szóstego pułku.

– Ależ ja byłem w tej kompanii! – wykrzyknął Franz.

– Właśnie! – wpadł mu w słowo Zintau. – Myślę, że mógłby pan świetnie uzupełnić pewne szczegóły. Ponieważ jednak kuzyn mój w tej chwili jest chory, prosił mnie, abym wyszperał mu, gdzie się da, informacje, dotyczące walk nad Odrą w czterdziestym piątym roku. Podobno kompania ochraniała jakiś samochód ze skrzyniami?

- Tak. To były dwie skrzynie z irydem i platyną.
- Podobno ze złotem?
- Nie, to plotka. Byłem zastępcą dowódcy kompanii i wiem z całą pewnością, że żadnego złota w nich nie było. Natomiast niewątpliwie znajdowała się tam platyna, a także kilka kilogramów irydu.
- Ile mogło być tej platyny?
- Sądzę, że co najmniej osiemdziesiąt kilo. Skrzynie były piekielnie ciężkie, żołnierze aż uginali się pod nimi.
- Panie Mueller, gdzie zostawiliście skrzynie?
- Zamurowaliśmy je w majątku grafa von Holstein. W piwnicy.
- Jak się nazywał majątek?
- Birgenwald. Ja nawet... – Franz zawahał się, umilkł i długo poruszał szczękami, miał z pewnością protezy. Wreszcie machnął ręką. – Te ziemie nie znajdują się teraz w naszych granicach. – Roześmiał się, urągliwie. – Zamurowaliśmy tak dobrze, że z pewnością do tej pory nikt skrzyń nie znalazł. Jak nie dla nas, to i nie dla nich.
- Bardzo słusznie! – pochwalił Zintau. – Tak. Czy ma pan w domu jakąś mapę? Dawną mapę – podkreślił. – Chciałbym memu kuzynowi pokazać, gdzie był majątek Birgenwald. Dzisiaj w Polsce to się oczywiście inaczej nazywa.
- Ja przyniosę – zaofiarował się Hans. – Wuj ma taką mapę w sypialni, prawda?

– Przynieś, chłopcze! Leży na komodzie, pod przyciskiem. Właśnie niedawno ją przeglądałem – zwrócił się do inżyniera – przypomiiałem sobie tamte czasy.

Hans przyniósł mapę, rozwinął na stole. Pochyliły się nad nią trzy głowy. Mueller bez wahania wskazał palcem na mały, ciemny punkt, zaznaczony kolorowym ołówkiem.

– Tutaj – powiedział. – W tym miejscu był wiadukt, później wysadzony w powietrze. Myśmy szli tędy, przez las. Nie-daleko już było do Odry, może ze czterdzieści kilometrów, może mniej. Doszliśmy do Birgenwald, tu, gdzie to czerwone kółeczko, byliśmy tam przez noc, ale o świcie musieliśmy szybko... iść naprzód – dokończył z rezerwą.

Zintau długo wpatrywał się w mapę. Wyciągnął notes i długopis, naszkicował wskazaną okolicę. Potem podniósł się i na pożegnanie uściśnął dłoń Franza.

\*

W kilka dni później Zintau znalazł się na lotnisku Okęcie. Czasami uchodził za turystę, czasem handlowca czy eksperta firmowego. Na każdy zawód i zajęcie dysponował odpowiednimi dokumentami. Język polski poznał na tyle, że potrafił się porozumieć bez tłumacza. Tak było wygodniej i bezpieczniej.

Miał zarezerwowany pokój w Hotelu Europejskim. Na drugi dzień wynajął na tydzień samochód, nie było z tym większych kłopotów. Wybrał Fiata 125p w kolorze niebieskim



aby nie zwracać niepotrzebnie uwagi. Wieczorem z budki zatelefonował do „Deltę”. Starał się poprawnie wymawiać słowa, bo nie chciał mówić po niemiecku. Nie był pewien, czy „Delta” nie jest pod obserwacją.

– Dobry wieczór, tu Feliks – to był jego pseudonim do rozmów telefonicznych.

– O... ach, co! – zająknął się rozmówca z drugiej strony telefonu i zaraz wróciła mu przytomność umysłu. – Jak się masz! Kiedy wrócisz z Radomia?

– Wczoraj. Co dobrego?

– Po staremu. Nic specjalnego. Tylko żona mi choruje.

To był sygnał, że coś jest nie w porządku.

– Za godzinę będę w kawiarni. Możesz przyjść? – spytał Zintau i zaklął w duchu, tyle w tym polskim języku było szleszczących spółgłosek.

– Tak. Będę – odparł „Delta”.

Niemiec nie musiał wymieniać nazwy kawiarni. Zawsze był to „Nowy Świat”, na parterze, duża sala jak stodoła, o wiele mniej uczęszczana przez cudzoziemców niż inne. Tutaj można było zginąć pośród zwykłych gości kawiarnianych, zajętych swoimi sprawami.

„Delta” już czekał, zajął wcześniej stolik, zamówił od razu dwie kawy. Przywitali się, jak krewni czy dobrzy znajomi, porozmawiali chwilę o pogodzie, potem Zintau utkwiał w nim swoje jasne, jakby przezroczyste oczy, ukryte pod

przyciemnionymi okularami, i spytał, co się stało. „Delta” powiedział wszystko, co mu było wiadome, ale nie było to dużo. W dalszym ciągu nikt z tej czwórki nie wpadł na trop nie znanego radiooperatora, nadającego ich własne sygnały.

– Byłem u „Gammy” – dodał. – Zabroniłem mu w ogóle odzywać się. Kazałem dobrze schować radiostację i czekać.

Niemiec zapalił cygaretkę i przez jakiś czas przeżuwał w myślach to, co usłyszał.

– „Alfa” też nic nie wie? – zapytał z odcieniem podejrzliwości w głosie. – Czy nie przypuszcza pan, że to on mógł nadawać?

Z nich wszystkich Zintau stosunkowo największym zaufaniem darzył „Deltę”, który był zresztą ćwierć krwi Niemcem, chociaż rodzina jego od dawna mieszkała w Polsce.

– Po co? – zdziwił się. – Sądzi pan, że jednak wyniósł z „L-23” trochę platyny? Wykluczone. Wiozłem ich swoim wozem. Zresztą, gdyby miał coś przy sobie, mogłoby to być zaledwie kilo, dwa. Ale wtedy, jak znam „Alfę”, nie nadawałby żadnych sygnałów, tylko sprzedał któremuś z tutejszych jubilerów lub dentystów.

– Tak, to jasne. Ale ja nie po to przyjechałem. Mam lepszą wiadomość. – Rozejrzał się dokoła, sąsiednie stoliki były nie zajęte, więc nikt nie mógł słyszeć ich rozmowy. Pochylił się do przodu, zniżył głos. – Niech pan uważa. Jest taka miejscowość, przed wojną nazywaliśmy ją Birgenwald...

„Delta” słuchał z na wpół otwartymi ustami. Informacja

starego Franza Muellera zelektryzowała go. Oczywiście, jeżeli przez te trzydzieści lat z okładem nikt się do piwnicy nie dostał. Osiemdziesiąt kilo platyny!

– Takiej ilości nie zdobędziemy z żadnego zakładu ani przez pięć lat – jęknął w zachwycie. – Gdzie to jest, ta czy ten Birgenwald?

– Przejrzałem dokładnie stare i nowe mapy. Miejscowość leży czterdzieści dwa kilometry od Odry, nazywa się teraz Poniec. Sądząc z mapy, jest to niewielkie miasteczko albo też nawet, jak wy teraz nazywacie według nowej nomenklatury, gmina. Franz Mueller powiedział mi, że pałac grafa znajdował się w dużym, starym parku; oddalonym od miasteczka o dwa, może trzy kilometry. Od głównej szosy prowadziła do niego szeroka aleja, obsadzona drzewami. Potem, po prawej stronie, wznosił się pałac, po lewej nieco oddalone stały budynki gospodarskie. Von Holstein miał tam podobno swoje słynne stajnie arabskie.

– Że też Mueller tak dobrze wszystko pamięta? – zdziwił się „Delta”.

Zintau uśmiechnął się lekko. Jego to nie dziwiło, wiedział, że przedsiębiorczy gefreiter zapamiętał miejsce schowania skrzyń, liczył w swej naiwności, że po wojnie wróci po nie, oczywiście, już na własny rachunek.

– Poniec... – zamyślił się „Delta”. – Poniec. Czekaj pan, coś niedawno o tym słyszałem. Albo czytałem w gazecie... Ach, no tak!

– Co takiego? – Niemiec najeżył się, zmarszczył brwi. Właściwie, każda informacja w polskiej gazecie o tej miejscowości była mu nie na rękę, tak sądził.

– Już wiem. Chyba dwa dni temu w „Expressie” była wzmianka, że w pałacu w Pońcu jakieś zakłady produkcyjne z Wrocławia urządzają sobie dom wczasowy. Z Wrocławia?... Zaraz, a może z Poznania, nie pamiętam. Ale sprawdzę. Jeżeli jednak oni już się tam wprowadzili, to wszystko przepadło. Nie sposób przecież odmurować piwnicę i wynosić skrzynie, jak w domu będą wczasowicze.

– Tak. Jeżeli jednak jest to dopiero zapowiedź urządzenia domu wczasowego, to wydaje mi się, że nasze szanse zwiększyły się!

– Dlaczego?

– Bo przed takim przygotowywaniem budynku, bądź co bądź opuszczonego przez wiele lat, trzeba...

– Już rozumiem! – przerwał mu „Delta”. – Rzeczywiście, w gazecie było napisane, że pałac znajduje się w dość kiepskim stanie. Fabryka kupiła go i przeznaczyła sporo pieniędzy na remont. Wobec tego musimy jednak się śpieszyć.

– Mam pewien plan – rzekł Zintau. – Wiem, że w Polsce buduje się dużo i potrzeba sił fachowych w budownictwie, każda para rąk bardzo się przydaje.

„Delta” patrzył na niego i twarz mu się rozjaśniła.

– My? – spytał zwięźle.

Niemiec przytaknął. Oczywiście, nie wszyscy. Ale powiedzmy dwóch. Reszta przyłączy się w stosownym momencie.

Trzeba też wziąć pod uwagę możliwości każdego z nich. Na przykład, „Gamma” z pewnością nie otrzyma urlopu o tej porze roku, kiedy zaczęły się już prace w szkółkach leśnych i przy wyrębie drzew. „Beta” też może mieć trudności ze zwolnieniem na tydzień czy dwa, bo tyle to może potrwać.

– Nawet dłużej – zauważył „Delta”. – Trzeba zgłosić się do roboty, przewąchać sytuację, poznać choć trochę innych ludzi, zorientować się w możliwościach dostępu do piwnicy. To musi potrwać. Więc najłatwiej byłoby mnie i „Alfie”. Ja sam wyznaczam sobie pracę i jestem panem swego czasu. A on tak często rzuca robotę, że może zrobić to jeszcze raz. Natomiast „Gammę” trzeba będzie ściągnąć „w ostatnim momencie, do dźwigania skrzyń. „Beta” przyjedzie moim samochodem, on ma prawo jazdy.

– W zasadzie, zgoda – odparł Zintau. – Z Pońca mamy bardzo blisko do brzegu Odry. To jest ważne, ze względu na nasz transport.

Uzgodnili, że „Delta” dowie się dokładnie, jaka fabryka kupiła pałac w Pońcu, a potem któryś z nich pojedzie do miasteczka i zorientuje się na miejscu w stanie robót. Niemiec sądził, że najlepiej byłoby, żeby to zrobił „Beta” w najbliższą wolną sobotę i niedzielę. „Alfa” i „Delta”, jeżeli mają później zgłosić się jako robotnicy budowlani, nie powinni się tam wcześniej pokazywać, zwłaszcza w postaci zmotoryzowanych turystów.

– Albo nie – rozmyślił się nagle. Znow stał się nieufny wobec nich. – Ja sam pojedę.

„Delta” próbował go odwieść od tego zamiaru. Obecność zagranicznego gościa według niego wzbudzi niepotrzebną sensację. Nie był to jeszcze sezon, wtedy co innego. Zintau jednak był uparty i nie lubił zmieniać raz powziętego postanowienia. Zgodziłby się na wyjazd „Delty”, tamtym nie ufał.

– Nie zjawię się wcale jako turysta – powiedział. – Dowiedziałem się, że w Pońcu jest taka ludowa spółdzielnia artystyczna, wyplatają z wikliny różne ozdobne koszyki i dostarczają na eksport. Pojadę więc jako zainteresowany przedstawiciel firmy, powiedzmy, kupującej takie rzeczy i dostarczającej do sklepów pamiątkarskich. Odpowiednie dokumenty, to dla mnie kwestia godziny. Zresztą w takiej małej spółdzielni najprawdopodobniej nie orientują się w niemieckich papierach. Tak, to nawet będzie lepsze niż wizyta „Bety”. A ja przy okazji obejrzę sobie okolice, no i pałac.

Po namyśle „Delta” uznał plan szefa za dość realny. Wieczorem zatelefonował do niego do hotelu. W trakcie rozmowy wymienił, jakby przypadkiem, nazwę zakładów, które zakupiły pałac. Niemcowi nazwa ta nie była potrzebna do odwiedzin Pońca, wolał jednak wiedzieć wszystko, co tylko mogło mu się przydać w różnych sytuacjach. Fabryka nazywała się ZARB, miała siedzibę we Wrocławiu, wytwarzała zespoły elektroniczne i przyrządy pomiarowe.

\*

Dwie informacje zbiegły się i stworzyły interesującą całość. Jedna pochodziła z dalekiego Marianowa, druga z Warszawy. Z posterunku Milicji Obywatelskiej w Marianowie przyjechał do Dominiaka tamtejszy komendant, plutonowy Kowalewski. Co prawda w leśniczówce nic nowego nie zaśzło, jednakże komendant przypomniał sobie, że bardzo niedawno tego Henryka Wocha odwiedził ktoś z Warszawy.

– Do niego dość często przyjeżdżają – powiedział – ale w sezonie polowań. Teraz to nie ta pora. Jesienią zdarzają się nawet dewizowcy, płacą po dwa tysiące dolarów za odstrzał dzika. Oczywiście nie jemu. No, zawsze on tam na nich dodatkowo zarobi. Ale to inna sprawa. A ten gość, o którym mówię, przyjechał samochodem z rejestracją warszawską. Mówiliście, towarzyszu kapitanie, żeby wszystko, co tylko wiem o Wochu...

– Słusznie, komendancie. Macie numer samochodu?

– Tak. Zapisałem na wszelki wypadek, chociaż to było chyba tydzień przed waszym wyjazdem do leśniczówki, na te ryby – wyjaśnił i uśmiechnął się pobłaźliwie. – Ale ja zwracam uwagę na takie rzeczy.

– Co to za wóz?

– Polski Fiat, ciemnożółtego koloru. Mój pracownik, bystry chłopak, twierdzi, że widział już tego Fiata kiedyś, jadącego lasem tak jakby w stronę gospodarstwa Wocha.

- Te same numery?
- No, on wtedy nie zanotował. Kolor ten sam i marka.
- Dobrze, komendancie. Dziękuję. I pilnujcie go dalej.
- Tak jest. On nie rusza się z leśniczówki. Tylko ludzi mam trochę za mało. Jakby gdzie ruszył tą swoją zieloną Warszawą, a mój motor jak raz byłby w terenie, to przepadło. Na piechotę nie upilnuje.

Dominiak pomyślał trochę, a potem rzekł, iż podrzuci do Marianowa funkcjonariusza z motocyklem. Na pewien czas. Kiedy Kowalewski wyszedł, połączył się służbowym kablem z Warszawą i przekazał informację Polewskiemu.

U pułkownika siedział właśnie major Szczęsny. Po kwadransie otrzymali wiadomość z dzielnicy: Fiat należy do niejakiego Jakuba Barańczaka, ulica Żeromskiego osiem. Radiotechnik, zajmuje się prywatnie naprawą uszkodzonych odborników radiowych i telewizyjnych. Nie notowany, nie karany.

- Może to nie ma nic wspólnego ze sprawą platyny – zauważył Szczęsny. – Po prostu, jakiś znajomy. Ale oczywiście weźmiemy pod uwagę, jakby co.

„Jakby co” znalazło się jeszcze tego samego dnia. Do Komendy Stołecznej zgłosił się Jan Sikora, mistrz Zakładów Metalowych „L-23” i zażądał rozmowy z oficerem dyżurnym. Major Stępień, zorientowawszy się w skrócie, o co chodzi, natychmiast przedzwonił do kapitana Kręglewskiego.



Wkrótce potem w Komendzie Stołecznej zjawili się, prócz Kręglewskiego, Szczęsny i Polewski, zaintrygowani dziwnym zbiegiem okoliczności. Oto Jakub Barańczak objawił im się po raz drugi, a to było już interesujące.

– Proszę, niech pan jeszcze raz opowie, jak to było – zachęcił mistrza kapitan Kręglewski.

Sikora, który nie przypuszczał, że jego informacje mogą aż tak bardzo zaciekawić oficerów, odchrząknął i powtórzył dokładnie relację.

– Zepsuł mi się telewizor. Obraz wysiadł. To była sobota po południu, za godzinę miał się rozpocząć mecz. No, więc postanowiliśmy z żoną zadzwonić do jakiegoś prywatnego technika, bo bardzo mi zależało na obejrzeniu meczu. Miała grać francuska drużyna Saint-Étienne z drużyną Bayern z Monachium. Obie mocne i mecz zapowiadał się pierwszorzędnie.

– Oglądałem ten mecz – wtrącił Kręglewski. – Francuzi wygrali jeden-zero.

– Tak. Nie znaliśmy żadnego radiotechnika, więc postanowiłem telefonować do wszystkich, po kolei, który przyjedzie, będzie dobrze. Ci, co się ogłaszają w gazetach, to podobno raczej fachowcy. Pierwszy z brzegu był Jakub Barańczyk, poza tym mieszkał niedaleko nas, bo na Bielanych. Zadzwoniłem, obiecał, że zaraz przyjedzie. Rzeczywiście, był chyba po dziesięciu minutach. Naprawił telewizor, nawet dobrze

naprawił, ale nie o tym chciałem mówić. Rozmawialiśmy chwilę, takie tam – o meczach, o lampach do odbiorników. Spytał, czy ja pracuję w WZT, ja na to, że nie, że w „L-23”. A wtedy on się spytał tak dziwnie, nie zwróciłem na to uwagi, dopiero później... Więc spytał: „Podobno u was była kradzież platyny?” Ja mówię, nie, skądże. Żadnej kradzieży nie było. No i może niepotrzebnie tak mi się wyrwało, że używamy jej wprawdzie, jako katalizatorów, nawet dużo. I że mieliśmy kłopoty z magazynierami. Wiecie, panowie, zapomniałem, że mówię do obcego, a nie do kolegów. Zapytałem go nawet, czy zna dobrego magazyniera. Odparł, że nie. No i wyszedł.

– Dużo wziął?

– Sporo. Trzysta dziesięć. Ale dał nową lampę. Więc kiedy później rzeczywiście była u nas, na szczęście nieudana, kradzież platyny, przypomniałem sobie tę rozmowę. Może to czysty przypadek, on tak sobie spytał. A może nie.

Podziękowali mistrzowi za cenną wiadomość. Kiedy wyszedł, Szczęsny pokiwał głową z zadowoleniem:

– Popatrzcie, jak to się zbiegło! Pan Jakub Barańczak odwiedza swoim ciemnożółtym Fiatem leśniczego Wocha, którego mamy już na oku. I Barańczak wypytuje pracownika „L-23” o platynę, a potem następuje tam włamanie do magazynu. Idiota, sam się podkłada. Nie spodziewał się na pewno, że nasz bystry Jan Sikora skojarzy sobie dwa fakty.

– Albo też, dzięki zastrzeniu naszej uwagi na zakłady, używające platyny, odcięliśmy tym ludziom dostęp do źródła. Zaczęli się denerwować, śpieszyć, popełnili błąd. Można przypuszczać, że człowiek względnie firma, która skupuje od nich platynę – ponagla. To dobrze. Tylko czekać, a zrobią następny fałszywy krok.

– Nie możemy czekać na ich błędy! – zniecierpliwił się Szczęsny. – Naturalnie, że to ułatwiłoby nam pracę, ale nie wolno na to liczyć. Więc tak: Jakub Barańczak z Warszawy i Henryk Woch z Marianowa – powiązanie, trzeba założyć obserwację obu. Tadeusz, sygnałów już więcej nie było9

– Nie – odparł Polewski. – Ani z jednej, ani z drugiej radiostacji. Jeżeli prawidłowo wywnioskowałeś, to oni nie mając platyny nie będą na razie nadawać. Tych dwóch... – zamyślił się. – Malo Co do tej pory wiemy o Władysławie Szumskim?

– Mam taką koncepcję – zaczął Szczęsny niepewnie – na razie bez żadnego pokrycia. Szumski należał kiedyś do Klubu Płetwonurków, był nawet dobrym zawodnikiem. Sekcja zwłok wykazała ślady długoletniego uprawiania sportów wodnych, choć lekarz zastrzegł się, że są to raczej jego prywatne wnioski. Dotychczasowe, bardzo dokładne obserwacje pociągów, samochodów, nawet samolotów, kierujących się za granicę w stronę Hamburga nie dały żadnych rezultatów. Przyszło mi więc na myśl, czy oni nie przemycają platyny wodą.

Spojrzeni na niego ze zdumieniem.

– Jak to: wodą? – spytał pułkownik. – Morzem? I co ma do tego płetwonurek? Z ciężkim towarem nie popłynię przecież zbyt długo pod wodą.

– Zaraz, ja chyba rozumiem! – zawołał Kręglewski. – Płetwonurek może umieścić, powiedzmy, worek z platyną pod dnem statku. Tak, Szczęśny? To miałeś na myśli?

– Właśnie. Dla nas piekielna robota, bo trzeba by założyć obserwację wszystkich portów. Właściwie, niemożliwe. Ale w naszej pracy nie ma rzeczy niemożliwych – uśmiechnął się. – Co ty na to, Tadek?

– Czy ja wiem – Polewski patrzył na nich niezdecydowanie. – No, powiedzmy, że masz rację. Ale w takim razie oni, zabijając Szumskiego, pozbawili się takich możliwości. Nie wnikiem w tej chwili, dlaczego zlikwidowali go, prawdopodobnie z jakichś przyczyn stał się dla nich niebezpieczny albo niewygodny. Ale... no, zdaje się, że i ja cię rozumiem. Powinniśmy zorientować się wśród płetwonurków. Może Barańczak albo Woch. Raczej ten pierwszy. Może jeszcze ktoś inny, bo musi być w tej całej grupie jeszcze paru.

– Taki człowiek prawdopodobnie nie należy do żadnego klubu sportowego, żeby nie ściągać na siebie uwagi. Musi jednak gdzieś ćwiczyć, pewnie ma w domu płetwy, aparat do oddychania i tak dalej. Może by tak u mnie zepsuł się telewizor? Jak sądzicie?

– To nic nie da. Trzeba by zobaczyć jego mieszkanie, z płetwami przecież nie przyjedzie. Obawiam się, że za bardzo

przejęliśmy się koncepcją Szczęsnego. Proponuję na razie ograniczyć się do bardzo wnikliwej obserwacji tych dwóch. Podesłę Dominiakowi jeszcze paru pracowników i samochód. Urządzymy ich, jako kontrolerów lasu z ministerstwa, żeby tamten nie zorientował się. Kapitanie – zwrócił się do Kręglewskiego – macie wystarczającą liczbę wywiadowców? Mam na myśli: bardzo dobrych wywiadowców.

– U nas nie ma innych – odparł Kręglewski, prawie obrażony. – Skontaktuję się również ze służbą wywiadowczą na Żoliborzu, tam są pierwszorzędne chłopaki. Barańczak będzie tak obstawiony, że ręką nie ruszy bez naszej wiedzy. Ja żartuję, oczywiście. Wiem, że obserwacja musi być nadzwyczaj ostrożna.

– Przypominam również, komu trzeba, że ci przestępcy nie zawahają się nawet przed zabójstwem – dodał Polewski.

Wieczorem Szczęsny odwiedził paru znajomych, o których wiedział, że uprawiają, bądź robili to kiedyś, sporty wodne. Byli to cywile, zapamiętali wodniacy, miłośnicy każdego skrawka wody. Major znał ich na tyle dobrze, że mógł rozmawiać o wszystkim, *co* go interesowało, nie wyjawiając prawdziwej przyczyny. Jeden z tych wodniaków, zagadnięty o pletwonurków, wymienił kilkanaście nazwisk. Jedenastym z kolei był Jakub Barańczak.

– Co to za gość? – spytał Szczęsny od niechcienia. –

Nazwisko jakby mi znajome. Wyczynowiec czy amator?

– Amator – odparł znajomy. – Z zawodu radiotechnik, kiedyś pracował w Zakładach „Kasprzaka”, stąd wiem coś niecoś o nim. Co prawda, od dawna już nie mamy ze sobą żadnego kontaktu. Zdaje się, że on prowadzi teraz jakiś prywatny warsztat. Chyba rzucił podwodne pływanie, bo nie widuję go na żadnej imprezie ani na basenach. Wyczynowcem nigdy nie był, ale pływał dobrze. Teraz są lepsi. Na przykład taki...

Tu znajomy wdał się w dłuższą gawędę o różnych sportowcach, a Szczęsny słuchał cierpliwie, bo to, co chciał, już się dowiedział. Tak więc jego koncepcja zaczęła przybierać realne kształty. Rozumował w ten sposób: pozbyli się Szumskiego, mogli to zrobić, bo mieli w odwodzie Barańczaka, który może go zastąpić. Rzecz w tym, w którym miejscu płetwonurek przedostaje się do statku, aby umieścić pod jego dnem skradzioną platyn, prawdopodobnie w plastikowym worku. Czy dzieje się to w zmowie z kimś z załogi? W porcie? Gdzieś po drodze?

Statek nie może być duży. Kuter rybacki? Połowy w rejonie morskim w pobliżu Hamburga odpadają. Zabłąkać można się raz, więcej taka historia się nie uda. Zwróci uwagę. Czy w ogóle morze jest właściwą drogą? A jeżeli nie morze, to co?

– Odra – mruknął do siebie. Leżał w domu na tapczanie, słuchał radia, nadawało cichą muzykę, dobrze się przy niej myślało.

Tak. Odra mogła być drogą, której tamci użyli. Barki płyną

wprawdzie bardzo wolno, za to są o wiele bezpieczniejsze niż statki morskie. Umocować worek pod barką, to dla pletwonurka o wiele łatwiejsze zadanie niż pod statkiem. Może w nocy przyjechać do nadodrzańskich lasów.

Barki płyną obok różnych miast i wsi. Zaczynają swój bieg w którymś z portów w żeglugi śródlądowej... w tym przypadku, portów nad Odrą. A więc we Wrocławiu czy Koźlu, może w Opolu albo w Gliwicach. Prócz portów jest jeszcze mnóstwo przeładowni przemysłowych. Ileż okazji do umieszczenia platyny pod dnem barki lub holownika!

Zagraniczny odbiorca zabiera towar albo w samym Hamburgu, albo w którymś mieście przed Hamburgiem. Załoga barek może być kompletnie nieświadoma tych wszystkich wyczynów. Oczywiście, może również być w zмовie. Jeżeli pletwonurek umieszcza towar pod dnem barki, powinny tam być ślady. Ale przecież nie sposób jednego dnia obrócić wszystkich barek dnem do góry, aby obejrzeć ich drugą stronę...

Z tego wynikałoby też, że oni posługują się zawsze tą samą barką. Kłopotliwe? Raczej nie. Pewnie więc znaleźli taki sposób umieszczania worka, może to wcale nie worek, lecz skrzynka z antykorozyjnej blachy lub sztucznego tworzywa, który pozwala im zaczepić go pod dnem każdej barki i holownika.

Trochę ryzykowne. Jeżeli nie zrobią tego dostatecznie mocno, może odpaść po drodze, i cześć. Utonie w Odrze na wieczne czasy. Nie będą nawet wiedzieli, w którym miejscu

szukać. Nie. Muszą mieć wypróbowaną metodę przewożenia platyny, zabezpieczającą przed odpadnięciem...

W tym miejscu rozważań Szczęsny doszedł do wniosku, że zbyt mało wie o barkach, holownikach, głębokości Odry i wielu innych sprawach, na których opiera się jego koncepcja. Postanowił więc porozmawiać z majorem Lityckim lub kimś z jego wydziału. Wiadomości o przemyśle mają na pewno sporo.

A jeżeli – myślał, szykując sobie kolację, była to znowu jajechnica z chlebem – jeżeli cała moja koncepcja diabła warta i tracę tylko niepotrzebnie czas? Przesyłają platynę pociągiem albo samochodem. Po prostu, nasi jeszcze nie wpadli na trop.

\*

Następnego dnia odwiedził majora Lityckiego i, z małymi oporami, zwierzył mu się ze swoich kłopotów. Major wysłuchał, pomyślał, potem wezwał jednego z pracowników specjalistę od przemytu „drogami nietypowymi”, jak to nazywali. Szczęsny po raz drugi wyjaśnił, o co mu chodzi, a oficer rzekł:

– Nie byłaby to metoda nie znana. Mieliśmy już wypadek, kiedy w podobny sposób przemycono kilka ton miedzi. Co prawda, nie pod barką, ale w środku. Wpierw muszę wam jednak, majorze, niektóre rzeczy wyjaśnić. Otóż, moim skromnym zdaniem, umieszczenie czegokolwiek pod dnem barki jest na Odrze prawie niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo Odra jest płytka. Tak zwana głębokość tranzytowa



gwarantowana powinna wynosić sto trzydzieści centymetrów; na odcinkach skanalizowanych sto osiemdziesiąt. W praktyce, średnia głębokość waha się od metra dziesięciu do metra trzydziestu. Na skanalizowanych spada do stu czterdziestu.

– Dlaczego? – powtórzył znowu Szczęsny, czując, że tym samym jego koncepcja traci realne podstawy.

– Po prostu, Odra jest technicznie zaniedbana, wymaga wielu robót regulacyjnych.

– A jakie zanurzenie mają barki?

– Po Odrze, do krajów Europy zachodniej, bo o to wam chodzi, pływają teraz już tylko barki motorowe typ BM-500 albo BM-600, zwłaszcza te ostatnie. Jest to statek motorowy do przewozu wszelkich ładunków, zarówno masowych, jak drobnicy. Nie będę wam podawał jego szczegółów technicznych, bo w tym wypadku nie ma to znaczenia... chociaż wyposażony jest w dwa główne silniki „Sulzer-Cegielskiego” o mocy sto sześćdziesiąt KM. Ale jego maksymalne zanurzenie wynosi metr sześćdziesiąt, płynie więc niemal po samym dnie rzeki. Jak w tej sytuacji chcecie cokolwiek umieszczać pod nim?

Pytanie było logiczne, Szczęsny musiał to przyznać. Oficer ciągnął dalej:

– Spróbujmy jednak pójść po linii waszego rozumowania. Przestępcy chcą mimo wszystko przemycić platynę tą drogą. Nasze barki w kierunku Hamburga płyną Odrą, potem w pobliżu Kostrzyna i Hohensaden kierują się przez kanał, a

następnie rzeką Hawela, dalej Łabą. Więc...

– Jak długo to trwa? – przerwał Szczęsny.

– Od jedenastu do szesnastu dni. Więc jest inna możliwość. Umieszczają towar z tyłu, pod rufą barki. Względnie gdzieś z boku, ale to by mogła spostrzec załoga. Zakładam, że załoga barki o niczym nie wie.

– Ile osób płynie, powiedzmy, ria BM-500?

– Zwykle sześć. Mają tam bardzo dobre warunki, wygodne pomieszczenia, kuchnię, łazienkę z wanną, centralne ogrzewanie. Chcę wam jednak zwrócić uwagę, majorze, na okres zimowy. Lody na rzekach bardzo utrudniają przewóz wodny, zwłaszcza w portach. Na ogół, kiedy lód jest grubszy niż dziesięć centymetrów, zwykle statki rzeczne nie mogą pływać. Oczywiście, są lodoamacze i tak dalej. Tej zimy, wyjątkowo łagodnej, żegluga na Odrze praktycznie trwała prawie bez przerwy. Więc tej zimy mogło im się udać.. I to nie raz.

– Sądzicie, że umieszczają towar w porcie czy gdzieś po drodze?

– Raczej w porcie. Odra ma trzydzieści dwa porty i przeładownie przemysłowe. Barki biorą mnóstwo cementu, butelki, gryzik budowlany, formaki... Co jeszcze chcecie wiedzieć?

– Jaką szybkość rozwija BM-600?

– Na głębokiej wodzie dwanaście i pół kilometra na godzinę.

– A ta druga?

– BM-500? Nie pamiętam. No, mniejszą. Chyba niewiele.

## Rozdział 7

Litycki patrzył na broszkę niemal z przerażeniem. Poznał od razu tego pięknego, irydowego ptaka ze skrzydłami, szeroko rozpiętymi do lotu, z uniesioną w górę głową i ciemnoczerwonymi oczami z rubinów. Nie mógł się mylić – to był ptak Antala Miklosa. Ale broszka znajdowała się w kieszeni „Cabana”, który w powojennym trzydziestoleciu dwadzieścia dwa lata spędził w więzieniu i który, pewnie nie zawahałby się przed...

Major, nie wkładając nawet płaszcza, wybiegł z gmachu, dopadł swego „malucha”, zapuścił silnik. Przez Puławską przeleciał takim pędem, że umykali przed nim co ostrożniejsi kierowcy, chociaż siedzieli w Wołgach i Mercedesach.

Miklos mieszkał na małej, bocznej uliczce w pobliżu dawnego Dworca Południowego. Litycki ostro zakręcił w prawo i syknął. Przed domem stał radiowóz, techniczna Nysa i karetka Pogotowia Ratunkowego. Za późno! – pomyślał. – Ażeby to szlag trafił! Zahamował, fiacik o mało „nie zarył nosem w ziemię. Wskoczył z wozu. Milicjantowi, odpędzającemu gapiów, okazał legitymację, tamten odsunął się i wpuścił go do środka.

Był to domek jednorodzinny, najmniejszy z możliwych, jakie stały w obrębie stolicy, pokój na górze, pokój na dole,

kuchnia, łazienka. Dokoła zielenił się równie mikroskopijny ogródek. Pod krzakiem leżał zabity pies.

Miklos żył. Siedział przy nim lekarz z Pogotowia, robił właśnie zastrzyk. Stary jubiler miał obandażowaną głowę. Po mieszkaniu kręcili się pracownicy grupy operacyjno-śledczej, był też bardzo wystraszony mieszkaniec sąsiedniego domku. Ori to właśnie, jak poinformowano Lityckiego, zainteresował się, że Węgier nie wychodzi z domu i nie odpowiada na dzwonek. A że wiedział, iż jubiler po śmierci żony mieszka sam, zaniepokoił się. Wszedł więc do ogródka i zobaczył nieżywego psa. Wtedy pobiegł na Malczewskiego, do Komendy Dzielnicowej MO Mokotów.

Major podszedł do tapczanu, a że lekarz wstał właśnie i zwolnił miejsce, usiadł na brzegu i wpatrywał się w bladą, woskową twarz Miklosa. Powoli, bardzo powoli uniosły się ciężkie powieki i w czarnych oczach ukazały się iskierki świadczące o wracającej przytomności. Jubiler westchnął głęboko, poruszył ustami.

– Panie Antal, słyszy mnie pan?... To ja, Litycki z Komendy Głównej.

Wzrok leżącego skierował się na twarz majora.

– Pozna... ja poznać... pan major. Co to jest ze mną?

– Jest pan ranny, ktoś pana uderzył w głowę. Czy przypomina pan sobie, jak to było?

– Tak. Ja byłem w domu... ktoś dzwoni do drzwi i... ciemno było, pewnie noc?

– Noc, panie Antal. Pan jest w piżamie, pewnie już pan wtedy spał. Co było dalej?

– Ja poszed...łem do... otworzyć i... tam ktoś stał. Kape-lusz i płaszcz. Tak. Od razu zaboląła głowa, bardzo mocno... Potem już nic nie pamiętam. – Chciał podnieść się, ale major powstrzymał go. – Czy mnie okradli?

– Nie wiemy, co pan miał w warsztacie – odezwał się po-rucznik, kierujący grupą operacyjną. – Tam jest wielki bała-gan, wszystko przewracane, jakby czegoś szukali. Gdzie pan trzymał pieniądze i kosztowności?

Węgier uśmiechnął się blado, samymi kącikami warg.

– Pieniądze na książeczki PKO – wyszeptał. – Są?

– Są w biurku – odparł któryś z inspektorów.

– A kosztowności dawno nie ma... Jeden pierścionek srebrny... naprawiałem takiej starszej pani. Jest?

– Nie. Duża strata?

– Mała.

Nagle Miklos wyraźnie zmienił się na twarzy. Chciał dźwignąć się, nie miał jednak sił i opadł bezwładnie na tap-czan.

– Proszę się nie ruszać! – ostrzegł go lekarz. – Zaraz pana zabierzemy do szpitala.

– O co chodzi, panie Antal? – spytał Litycki. – Proszę mi powiedzieć, może będę mógł pomóc.

– Ptak... mój ptak... w szufladzie... Jest?

Wtedy major z uśmiechem wyjął z kieszeni małe zawiniątko, odrzucił papier i położywszy sobie na dłoni irydowego ptaka z rubinowymi oczami, pokazał go leżącemu.

– Jest, panie Antal. Proszę – zsunął broszkę na kołdrę, tuż obok twarzy jubilera.

Porucznik, zdziwiony, przenosił wzrok to na broszkę, to na majora. Wiedział, że nie mógł Litycki znaleźć tak szybko klejnotu w mieszkaniu, i pomyślał, że być może dostrzegł ptaka gdzieś w trawie ogródka. Miał zamiar nawet zwrócić uwagę swoim pracownikom, że kiepsko pracują, ale major zrozumiał jego zdziwienie i rzekł:

– Później wyjaśnię, poruczniku. Mówiąc szczerze, to mnie właśnie sprowadziło do pana Miklosa.

Węgier, który słuchał i stopniowo wracały mu siły, zorientował się już, że Litycki przyjechał do niego, bo w jakiś sposób broszka dostała się w jego ręce, więc zaniepokoił się o właściciela. Toteż powiedział ze wzruszeniem w głosie:

– Ja dziękuję, pan major! Bardzo dziękuję!... Proszę to wziąć w depozyt, jak ja będę w szpitalu,. Dom będzie pusty.

– Dobrze, panie Antal. Broszkę miał pewien złodziej, ale o tym opowiem panu kiedy indziej. Zatrzymamy ptaka w depozycie i zwrócimy, jak już wróci pan do domu. A w ogóle, ożeniłby się pan po raz drugi! – rzucił żartobliwie. – Przyda się panu kobieca ręka.

Węgier westchnął i rzekł smutnie, że na to on już jest za

stary. Sanitariusze przynieśli nosze, zabrano jubilera do szpitala, a Litycki powiedział do porucznika, że przejmie sprawą. Coś mu bowiem w tym wszystkim nie grało.

\*

Szczęśny przyszedł do pokoju Lityckiego, chcąc raz jeszcze omówić z nim swoją koncepcją przemytu platyny. Zastał tam jednak Hornego i jeszcze dwóch oficerów z Komendy Stołecznej. Przesłuchiwali właśnie taśmą magnetofonową.

– Dobrze, że jesteś – powiedział Horny. – Ciekawa historia. Ja bym „Cabanowi” uwierzył – zwrócił się do Lityckiego.

– Co zrobił ten stary złodziej? – spytał Szczęśny, trochę nierad, że każą mu zajmować się czymś innym.

– Ukradł broszkę. A zresztą, posłuchaj od początku.

Jeżeli więc uwierzyć w opowiadanie „Cabana”, rzecz miała się tak. Była głęboka noc, kiedy szedł ulicą Puławską i rozmyślał, jak twierdzi – nad swoim losem, a jak przypuszczają oficerowie milicji – nad tym, gdzie i kogo by okraść. „Caban” nie miał pieniędzy. Był coraz starszy, palce już tak nie pracowały jak kiedyś, trzęsły się trochę od wódki. Tracił też powoli dawne znajomości w kręgu sobie podobnych: albo wymierali, albo chwyтали się za byle jakie zajęcie, bo kradzieże już im nie szły.

„Caban” szedł więc, mocno zamyślony, kiedy na pustej ulicy spostrzegł jakiegoś mężczyznę. Dawny instynkt złodziejski podpowiedział mu nieomylnie, że to jest ktoś z jego branży.

Nie znał jednak tego człowieka. Wstyd było się przyznać, ale „Caban” upadł już tak nisko, że próbował „pożywić się” przy innym, młodszym i obrotniejszym włamywaczu lub kieszonkowcu. Czasem się udawało, czasem też ten drugi poznał go i odpalił, z dobroci serca, parę papierków.

Mężczyzna skrzył w lewo. „Caban” siedł za nim, nie powłóczył już nogami, starał się iść cicho, od bramy do bramy. Osobnik zatrzymał się przed małym domkiem jednorodzinnym. Postać może kwadrans, nasłuchując i rozglądając się, a stary złodziej, przyklejony do ściany domu naprzeciwko, był już pewien, że instynkt go nie zawiódł. Tak stoją nieruchomo i wietrzą sytuację – włamywacze.

Wreszcie tamten spróbował otworzyć furtkę od ogrodu. Nie była zamknięta. Nagle zawarczał pies. Wylazł z budy, przeciągnął się i niepewnie, strzygąc uszami, zbliżył się do siatki, okalającej ogród. Jeszcze nie szczekał, przyglądał się tylko obcemu.

„Caban” nie umiał potem wyjaśnić, jak to się stało, że pies nie zareagował na otwieranie furtki? Może był to raczej łagodny pies, przyzwyczajony do ludzi dobrych dla zwierząt. „Caban” w zasadzie lubił psy, toteż na wszelki wypadek przymknął oczy i wcisnął się głębiej w bramę, aby nie patrzeć. Krótki, żalospny skowyt uświadomił go, że słusznie przewidywał.

Mężczyzna znowu poczekał dłuższą chwilę, czy wszystko,



co się stało, nie zbudziło przypadkiem właściciela domku. Potem cicho przeszedł przez ogród i zadzwonił do drzwi. Znowu obejrzał się uważnie, a „Caban” – przypomniawszy sobie swoje sześćdziesiąt lat i brak jakiegokolwiek narzędzia w kieszeni – znieruchomiał w ciemnej bramie. Nie chciał pójść w ślady psa.

W przedpokoju zabłyśło światło i drzwi uchyliły się. Przybysz wykonał prawą ręką nagły, mocny cios, po czym wśliznął się do środka i zatrzasnął drzwi za sobą. Światło zgasło. Dalsze wypadki rozegrały się poza polem widzenia „Cabana” i mógł się ich tylko domyślać. Trochę przestraszył się tego uderzenia. Nie lubił mokrej roboty, na ogół trzymał się od niej z daleka. Rozmyślał więc teraz, czy nie wycofać się z całego interesu. Z drugiej jednak strony, uliczka była wciąż pusta, w domach po obu jej stronach nie paliło się ani jedno światło. Ludzie spali, zupełnie nieświadomi, że obok nich kogoś okradają, może nawet mordują.

Niech śpią – pomyślał, uspokojony. – Jeszcze z godzinę, dwie niech śpią jak najmocniej i nic nie słyszą.

Nie upłynęła nawet godzina, kiedy drzwi otworzyły się znowu i złodziej wysunął się na zewnątrz. Ku zdziwieniu „Cabana” nie miał ze sobą żadnej torby, walizki ani worka. Nie niósł nawet aparatu fotograficznego czy zwykłego tranzytora.

Poszedł na forsy i biżuterię – zrozumiał. – Cwaniak. Ale może mi co zostawił? Wiedział już bowiem, że do tego

człowieka nie będzie próbował podejść, aby wytargować swoją dolę niemego świadka. Ciekawe, kto to jest? – myślał, próbując przeniknąć wzrokiem mrok ulicy. – Młody jakiś. Może nie z Warszawy. – Nagle poczuł gniew. Przyjedzie taki, Bóg wie skąd, nabierze, a ty, frajerze, męcz się, jak głupi dla nędznej sety. Tysiąca, to nie widziałem już chyba z miesiąc, zapomniałem, jak wygląda...

Złodziej ostrożnie przymknął furtkę, porozglądał się po ulicy, potem szybkim krokiem zaczął się oddalać. „Caban” czekał, aż kroki ucichną. Bał się tego człowieka, chociaż z natury nie był strachliwy. Może zdenerwował go widok martwego psa, leżącego pod krzakiem, a może szybkie, zdecydowane działanie tamtego.

Wylazł wreszcie z bramy, przysunął się do furtki. Potem wszedł do ogrodu. Pomyślał, że jeżeli drzwi są zamknięte, trzeba będzie spróbować oknem, chociaż umieszczono je dość wysoko. Dotknął drzwi, nie klamki, na to był za ostrożny, a rękawiczkami chwilowo nie dysponował. Drzwi były otwarte. Umyślnie czy wskutek pośpiechu? Zrozumiał, kiedy wszedł, potknął się na progu i rozciągnął jak długi. Zerwał się, przestraszony. W słabym świetle latarni, przebijającym przez zasłony na oknie, zobaczył, że na podłodze tuż Przy drzwiach leży mężczyzna w piżamie, z zakrwawioną głową. Położenie ciała utrudniało zamknięcie drzwi, a tamten widocznie nie chciał go poruszać.

„Caban” popatrzył, westchnął i odsunął się, uważając, aby

nie zabrudzić krwią spodni ani butów.

– Nie ja cię zabiłem – szepnął, dla uspokojenia sumienia. I zaczął rozglądać się po pokoju. Łatwo zorientował się, że obcy wyraźnie czegoś szukał w mieszkaniu. Świadczyły o tym niecierpliwie poprzesuwane meble, otwarta szafa i kredens w kuchni. Było to jednak jakieś dziwne szukanie. „Nie złodziejskie” – osądził, znał swój fach. Tamten – można by sądzić – szukał rzeczy dużej, zajmującej większą powierzchnię niż pierścionek lub pieniądze. Z pawlacza wyciągnął walizy, nie otwierał natomiast małych szufladek biurka.

„Caban” wruszył ramionami, w końcu to nie jego sprawa, czego tamten szukał. On sam natomiast dobrze wiedział, co chce znaleźć.

Schody wiodły na górę, do drugiego pokoju, w jednym kącie urządzono jakiś warsztat. Rozpromienił się na widok srebrnego pierścionka, wsunął go do kieszeni. Zabrał jeszcze trochę srebra, parę dłupek, zapalniczkę, nic bardziej ciekawego nie znalazł. Zeszedł więc na dół i zainteresował się szufladami biurka. Książeczek PKO nie ruszył, z tym były potem kłopoty, fałszować podpisów nie umiał, ręka mu się trzęsła. W ostatniej szufladzie na samym dole znalazł małe pudełeczko. Otworzył. Zobaczył srebrzystego ptaka z rubinowymi oczami i aż gwizdnął z przejęcia.

– To frajer! – mruknął. – Taką piękną rzecz zostawić. Zabrał broszkę. Z kolei przeszedł do kuchni.

Zjadł, co było na wierzchu, popił winem z flaszki, znalezionej w kredensie. Popatrzył na etykietę, „Egri Bikaver”, czerwone wytrawne, znał ten gatunek, kiedyś je pił. Za dawnych, dobrych czasów i między jedną odsiadką, a drugą. Wsunął flaszkę do kieszeni, ale odstawała. Umieścił ją więc za pazuchą, żał było zostawić. Znalazł jeszcze czterysta złotych w portfelu, leżącym obok tapczanu. Znowu zdumiał się, czego tamten szukał, że nie brał gotówki, która sama w ręce lała. W końcu wywnioskował, że pieniędzy musiało być o wiele więcej, może ze sto tysięcy, więc na co takiemu nędznych parę setek.

A dla mnie w sam raz – pomyślał. Nie podpadnie milicji, która i tak ciągle o coś ma do niego pretensję.

Ostrożnie przesunął ciało trochę na bok, dał duży krok i wyszedł do ogrodu, zamykając drzwi za sobą. Zatrzasnęły się na automatyczny zamek. Dojrzał leżący w trawie mały przedmiot, schylił się i włożył go do kieszeni. Kiedy był już na Puławskiej, przyspieszył kroku. Do domu miał niedaleko. W połowie drogi nagle przystanął. Okropnie zachciało mu się chociaż ćwiartki, na dobrą sprawę gotów był obciągnąć i pół litra. Tak, ale w domu nie miał już nic.

– U tej starej krowy na pewno będzie – mruknął, kierując się w stronę znanej mu meliny alkoholowej.

Następnego dnia myślał, że gdyby wypił u kobity i został u niej na noc, to by do dzisiaj chodził na wolności. Ale jemu zachciało się po wódce wlec do domu. Bładym świtem

zmorzyło go, leżał na chodniku z łokciem pod głową. Tak go znaleźli milicjanci, którzy właśnie jechali Nysą z dwoma innymi pijakami do Izby Wytrzeźwień. Zagarnęli „Cabana”, leciał im przez ręce, więc na Kolskiej wynieśli go, położyli na podłodze i odsapnęli, bo ważył te osiemdziesiąt kilo z „okładem”.

Podszedł sanitariusz, próbował go dobudzić, w końcu zaczęto zdejmować z „Cabana” brudne łachy. Wtedy z kieszeni poszarpanych i zabłoconych spodni wypadł pierścionek, pudełeczko z broszką i inne przedmioty.

W Izbie był akurat porucznik z Komendy Stołecznej, miał tam jakąś sprawę do lekarza. Zobaczył irydowego ptaka, zainteresował się. Sądził, że „Caban” poszedł na włamanie, potem spił się i wpadł. Broszka trafiła do rąk Lityckiego właściwie przez przypadek. Był w Komendzie Stołecznej i dowiedział się o „Cabanie”.

– Pojechałem od razu do Miklosa – uzupełnił teraz relację z taśmy. – Pamięta niewiele. W nocy obudził go dzwonek u drzwi. Na wprost śpiąc, podszedł i otworzył. Wtedy otrzymał mocne uderzenie w głowę. Stracił przytomność. Leżał na podłodze bardzo długo i gdyby cios był silniejszy, wykrwawiłby się. Sąsiad umówił się z nim poprzedniego dnia, mieli razem gdzieś tam pojechać. Dzwonił, stukał, potem zobaczył zabitego psa i zaalarmował komendę dzielnicową.

– Czy Miki os nie zauważył twarzy napastnika? – spytał Szczęsny.

– Nie. Powiedział tylko, że tamten był w kapeluszu i płaszczu.

– Czym uderzył?

– Chyba jakimś tępym narzędziem. Można sądzić, że nie chciał zabić, tylko ogłuszyć.

Szczęśny popatrzył po twarzach siedzących.

– „Cabana” znam od wielu lat – rzekł. – Gotów jestem zgodzić się z Hornym, że tak mniej więcej rzecz się miała. On nigdy nie chodził „na mokre”, a od pewnego czasu w ogóle bierze się już tylko za drobną partaninę. Portfel z tylnej kieszeni spodni w zatłoczonym autobusie albo bielizna ze strychu... Stracił wprawę złodziejską. Ale czy „Caban” nie zapamiętał twarzy tego napastnika?

Horny nastawił magnetofon, taśma zaczęła się obracać. Był to dalszy ciąg przesłuchania starego złodzieja przez porucznika z dzielnicy.

– Więc jak ten człowiek wyglądał?

– Tak raczej... obojętnie.

– Co to znaczy: obojętnie? Proszę mówić wyraźniej.

– Miał kapelusz, ciemny. Miał płaszcz. Więcej nie widziałem. Buty też miał...

– ...ręce i nogi. „Caban”, ty mi tu nie strugaj wariata! Pójdziesz siedzieć za włamanie, napad rabunkowy i kradzież.

– Ja? Za tego gnoja?! Ja, panie poruczniku, na mokre nie chodziłem i nie chodzę, mnie milicja zna. Wziąłem tę broszeczkę, bo mi się spodobała, ale przecież oddałem.

– W pijanym widzie. Z kieszeni ci wypadła, jak cię

poturlali w żłobku. Z dobrej woli, „Caban”, to ty nic nie oddajesz, coś zabrał. Odstawiasz mi tu głodne kawałki o jakimś nieznanym facecie, głupi by wierzył. Zaraz prześlemy sprawę do prokuratora. Pójdiesz pod sąd. Zabiłeś człowieka

– Ja nie zabiłem! – głos przechodzi w krzyk, pełen wściekłości. Ja za tamtego siedzieć nie będę! Za takiego gnoja, w ucho szarpanego, ja...

– Czekaj! – zawołał nagle Szczęsny, który przysłuchiwał się z uwagą, ściągając raz po raz ciemne brwi. – Puść jeszcze raz to miejsce. To, gdzie on mówi: Ja za tamtego siedzieć nie będę!

Horny cofnął taśmę, zaskrzeczała cienko, potem znowu rozległ się ochryply głos „Cabana”:

– Ja nie zabiłem! Ja za tamtego siedzieć nie będę! Za takiego gnoja, w ucho szarpanego, ja nie będę...

– Stop! – Szczęsny zerwał się z miejsca. – Jurek – zwrócił się do Hornego – jedź ze mną do Stołecznej. „Caban” jeszcze siedzi u nich na dole?

– Tak. A o co chodzi?

– O ucho – odparł Szczęsny lakonicznie. – On mi musi wyśpiewać wszystko, co wie.

– Czekaj – zmiłogował go kapitan. – Domyślam się, o co ci idzie, ale to może też być takie zwykłe powiedzonko, trochę pod Wiecha. W ząbek czesany, w ucho szarpany i tak dalej.

– Może być, ale nie musi. Jedziemy!

Szczęsny podszedł do „Cabana” nieomal z rewerencją, jak

do ministra. Zamówił kawę, kanapki, wytłumaczył mu z uśmiechem zażenowania, że wprawdzie przydałby się jakiś alkohol ale w komendzie nie wolno. Stary złodziej przyjął poczęstunek, jadł i wodził oczami za majorem, zastanawiając się widać, o co tu chodzi i czego od niego będą za chwilę chcieli. Zmiótł jednak wszystko z talerza, wypił kawę, bo go suszyło, zapalił podanego mu papierosa i rzekł:

– Na co ta parada? Nikogo nie zabiłem.

– Panie „Caban” – odparł Szczęsny – ja panu wierzę. Absolutnie wierzę we wszystko, co pan powiedział podczas przesłuchania. Znamy się nie od dziś i wiem, że pan swój złodziejski fach traktuje – chciał powiedzieć: uczciwie, w czas się zorientował, że akurat to słowo nie pasuje i dokończył – traktuje w sobie tylko właściwy sposób.

„Caban” ostatniego zdania nie zrozumiał. Speszył się trochę i burknął tylko:

– No?

– Dlatego wiem, że pan nie zabił. Po prostu, skorzystał pan z tego, co pozostawił pański poprzednik i kolega po fachu.

– Jaki on mi kolega?! – oburzył się nagle „Caban”. – To bandyta.

Szczęsny zrobił smutną minę, pokiwał głową.

– Słusznie. Przejęczyłem się. Cóż poradzić jednak, jeżeli prokurator będzie innego zdania niż ja? I sąd też poprze oskarżenie? Co wtedy, panie „Caban”? Mógłby pan jeszcze ładnych parę lat pochodzić po tym świecie. A tak... – zawiesił głos.



– Czego pan chce? – spytał nagle złodziej, już innym tonem.

– Rysopisu.

– Czego?

– Jak ten facet wyglądał. Dokładnie. Niech pan zrozumie, panie „Caban”, to mi jest potrzebne do ważniejszych spraw niż kradzież broszki.

Utkwił \v siedzącym przed nim człowieku czarne, wąskie oczy, w których płonęło teraz podniecenie. Wiedział, że potrafi siłą wzroku zmusić tego złodzieja do powiedzenia prawdy. Nieraz już się przekonał, że pod wpływem jego sugestywnego, spojrzenia przestępca zaczynali składać wiarygodne zeznania.

– Młody. Chudy, wygolony – mruknął „Caban”. – Włosy takie dosyć długie, wyłaziły mu spod kapelusza. I jedno ucho poszarpane.

– Które?

„Caban” zawahał się, przekrzywił głowę.

– To – wskazał na swoje prawe ucho.

– Co jeszcze?

– Więcej nic. Jak pragnę gołdy.

Było to bardzo wiarogodne zakłęcie, Szczęsny jednak miał w takich wypadkach ogromne zapasy cierpliwości i uporu. Pytał więc dalej, powracał po raz dziesiąty do tego samego, drażył i straszył na przemian, aż przyparty całkowicie do muru złodziej jęknął i powiedział z rezygnacją:

– Nożyk, to też pewnie jego. Pan mi odda, panie... – nie znał szarży, Szczęsny był po cywilnemu – panie generale?

Horny parsknął śmiechem, a „Caban” widząc ich rozweselone twarze dodał szybko:

– Taki mały nożyk to przecie nic warte. A mnie się bardzo przyda.

Szczęśny rzucił okiem na protokół z Izby Wytrzeźwień. Wśród innych przedmiotów, znalezionych przy zatrzymanym, wymieniony był scyzoryk o dwu ostrzach, z okładziną z czarno-żółtej masy.

– Gdzie leżał ten nożyk?

– W trawie. Przed furtką. – Pomyślał i zdobył się na gest: – Ale jeżeli to dla panów ważny ślad, no, to ja się obejdę. Może innym razem... – nie dokończył, zażenowany.

– Mam nadzieję, że innego razu nie będzie – rzekł major. – Ale obiecuję panu, panie „Caban”, że jeśli to rzeczywiście będzie jakiś ślad, dostanie pan ode mnie ładny scyzoryk. Nawet ładniejszy od tego. Naturalnie, po wyjściu z kicia.

– To za co będę siedział?

– Za, kradzież i nieudzielenie pomocy rannemu człowiekowi.

„Caban” popatrzył na mówiącego z uśmiechem pobłażania.

– Koło trupów nie umiem chodzić – oświadczył stanowczo.

– Możliwe. Ale Antal Miklos na szczęście żyje.

– Kto?

– No, człowiek którego pan okradł. Właściciel domu. Był tylko ranny, a pan się nawet nie zainteresował, czy żyje, tylko

od razu: trup. Bo tak było wygodniej.

– Cholera, kto by przypuszczał, że... Byłem pewien, że wykitował. Tamten go tak mocno zaprawił! I przedtem zabił psa. Szkoda zwierzaka, ładny był pies.

– A człowieka, to panu nie szkoda?

– Owszem, dlaczego nie – odparł „Caban” z uprzejmością w głosie. – Ale przecież żyje. A pies nie.

Logika tych słów była nieodparta. Szczęsny posłał milicjanta do depozytu w areszcie i po chwili na biurku leżał mały, zgrabny scyzoryk.

– Ten? – chciał się upewnić.

„Caban” wziął nożyk do ręki, obejrzał jakby go pierwszy raz widział, westchnął z żalem i odparł, że ten. Potem przypomniał Szczęsnemu obietnicę i, trochę podniesiony na duchu, począł za milicjantem do aresztu.

\*

Kawecki czuł się już tak wciągnięty w całą sprawę, że prośbę Szczęsnego przyjął niemal z zadowoleniem. Scenka, jaką miał odegrać, nie była zresztą trudna. Mógł ją z pewnością wykonać któryś z pracowników milicji, majorowi chodziło jednak o możliwie największe prawdopodobieństwo. W przypadku inżyniera rzecz była zrozumiała sama przez siebie.

Szczęsny sam nie wiedział, dlaczego instynkt śledczy każe mu wciąż powracać do człowieka, z którym rozmawiał raz jeden i właściwie nic w tej rozmowie nie wzbudziło jego podejrzeń. Prócz matowej szyby na balkonie.

Kawecki obejrzał szybę dokładnie od strony swojego balkonu i stwierdził z całą pewnością, że nie da się wyjąć ani przesunąć w żadnym kierunku. A przecież, kiedy major „odwiedził Waldemara Łukawskiego i wszedł na balkon, stwierdził z całą pewnością, że szyba „chodziła” na boki. Kawecki przypomniał sobie jednak, że nie dalej jak kilka dni temu, siedząc przed południem w domu nad jakąś robotą, słyszał dochodzące z sąsiedniego balkonu stukania młotkiem i szuranie po kamiennej podłodze. Nie zwrócił wówczas na to uwagi, pochłonięty pracą, teraz jednak to sobie uprzytomnił.

Umocnił szybę po mojej wizycie – myślał Szczęsny. – Wszedłem na balkon trochę bez uzasadnienia, to go spłoszyło. Tak mogło być. I tak chyba było. Czyżby więc znalazł nam się trzeci współnik do platyny?

Na umówiony dzień Kawecki zwolnił się z biura. Siedział w domu, starając się nie robić żadnego szmeru, i nasłuchiwał, kiedy Łukawski wyjdzie. Nie orientował się, gdzie jego sąsiad aktualnie pracuje. Milicja wiedziała już, że są to prace dorywcze, podejmowane i rzucane po miesiącu czy dwóch, bez podania przyczyn. Łukawski miał zawód technika-elektryka i kiedy nie angażował się do żadnej fabryki, zarabiał naprawą przewodów, zakładaniem nowych „gniazdek” w mieszkaniach, a że umiał to robić, zajęcia mu nie brakowało.

Tego dnia wyszedł z domu dość wcześnie, nie było jeszcze ósmej. Być może miał więcej roboty. Kawecki odczekał trochę, a potem – tak, jak był, w pantoflach, luźnym, domowym

swetrze i starych spodniach, zadzwonił do drzwi sąsiada.

Otworzyły się po chwili i stanęła w nich kobieta o bardzo jasnych włosach, dość ładna, chociaż rozczochrana i nie umalowana, w pikowanym różowym szlafroku. Spojrzała na inżyniera ze zdziwieniem, ale on uprzedził jej pytanie.

– Dzień dobry! – zaczął z uśmiechem. – Jestem sąsiadem państwa, nazywam się Kawecki, pani pozwoli, że się przedstawię...

Ujął jej rękę, pocałował. Bezwiednie odsunęła się trochę, wpuszczając go do mieszkania.

– Przepraszam, że tak wcześnie nachodzę, ale chciałem z pani mężem...

– Nie ma – odparła, tłumiąc ziewanie. – Waldek poszedł do roboty. A o co chodzi?

– O, to szkoda! – udał zmartwionego. – Bo widzi pani, powinienem był już kilka dni temu to zrobić, ale całkiem wyszło mi z głowy. Otóż, wychodząc rano z domu, zawsze wtedy przechodzę obok mieszkania państwa, zauważyłem, że na wycieraczkę leży ten scyzoryk. – Wyjął z kieszeni mały nożyk w czarno-żółtej okładzinie. – Pewnie mąż zgubił, kiedy wyciągał klucze. Taka ładna rzecz, szkoda byłoby stracić.

Spojrzała i uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście, to nóż Waldka – powiedziała, biorąc scyzoryk z jego ręki. – Szukał go po całym mieszkaniu. Jakaś pamiątka czy coś takiego. Bardzo panu dziękuję – przymrużyła

oczy zalotnie, znów się uśmiechnęła, tym razem trochę inaczej. – Proszę, może pan wejdzie do pokoju? Zrobię kawy. Zje pan ze mną śniadanie, dobrze? Tak nie lubię jeść sama.

Kawecki zakłopotał się. Tego scenariusz nie przewidywał. Śniadanie z żoną podejrzanego? Spłoszony, postanowił jednak się wycofać. Bóg raczy wiedzieć, co ta kobieta ma na myśli. Może go struje, bo z takimi ludźmi nigdy nie wiadomo.

– Serdecznie dziękuję – odparł – ale może innym razem. Teraz muszę jak najszybciej iść do biura. Właściwie już jestem spóźniony! – wykrzyknął, spojrzawszy na zegarek. – Do widzenia pani. Cieszę się, że przy mojej pomocy mąż odzyskał zgubę. Do zobaczenia!

Spiesznie wycofał się, widząc jej rozżalone spojrzenie. Wrócił do siebie. Trzeba było jednak wyjść z domu, inaczej wyglądałoby podejrzenie. Chciał też od razu zdać Szczęsnemu relację z udanego „śledztwa”. Przebrał się, nałożył płaszcz i kapelusz, bo trochę padało. Wziął teczkę, ciągle jeszcze grał swoją rolę. Kiedy mijał drzwi mieszkania Łukawskich, był prawie pewien, że blondynka w różowym szlafroku obserwowała go przez judasza.

Szczęśny wysłuchał opowiadania z napiętą uwagą. Był przy tym obecny Polewski, przeglądali razem meldunki wywiadowców, którzy obserwowali Barańczaka. Radiotechnik na razie zachowywał się w sposób, nie wzbudzający podejrzeń. Komuś naprawił telewizor, był na poczcie, gdzie zapłacił

rachunki za czynsz, światło i gaz, w kawiarni wypił dużą kawę – wyglądało, że na kogoś czekał, ale nie doczekał się. Potem wrócił do domu.

O Barańczaku obaj oficerowie dowiedzieli się już trochę więcej od kolegów z dzielnicy. Można go było dość często spotkać w barze kawowym „Amatorska” przy Nowym Świecie lub „Pod Kandelabrami”, a także w „Europejskiej”, choć tej od jakiegoś czasu unikał. Inspektor służby kryminalnej twierdził, że, było to od pewnego wieczoru, w którym zbyt przedsiębiorczy radiotechnik dostał od jednego z mężczyzn po mordzie, pomylił się bowiem w wyborze.

Relacja inżyniera wzbudziła zainteresowanie obu oficerów. Szczęsny nie wahał się przed zaliczeniem Łukawskiego do grupy kradnącej platynę. Pułkownik jednak miał tu jeszcze wątpliwości.

– Był u Mikłosa, może szukał u niego większej gotówki lub srebra, złota, jak to u jubilera – mówił. – Nie znalazł, więc opuścił mieszkanie. Na tym nieudanym skoku skorzystał tylko stary „Caban”. Gdzie masz powiązanie między Wochem, Barańczakiem a Łukawskim?

– Mam niemal pewność, że to on nadawał sygnały na radiostacji Kaweckiego. Zrozum, Tadeusz, zbyt wiele na to wskazuje! Choćby ta wymiana szyby na balkonie. Gdyby była rozbita, to można by sądzić, że z nadejściem wiosny chciał go uporządkować. Ale ona się tylko przesuwiała. Przechodził na sąsiedni balkon i otwierał drzwi w sposób, jaki ci niedawno

zademonstrowałem, pamiętasz?

– Pamiętam – przytwardził Polewski. – Zjawiłeś się w pokoju, jak duch. Moja żona prosiła, aby ci przekazać, że wierzy, iż przeniknąłeś przez szybę.

– No, widzisz. Potem uruchamiał cudzą radiostację, i tak dalej, resztę znamy.

– Po co poszedł do Mikłosa?

– Nie wiem. Ale myślę, że posądził go o posiadanie platyny. Być może, ktoś dał mu fałszywą informację. Być może, sam wykoncypował, że jubiler musi mieć nie tylko srebro czy złoto. A swoją drogą, chciałbym wreszcie wiedzieć, na eo im ta platyna! Pomyśl, narażają się przy jej zdobyciu na więzienie, nie wahają się nawet przed zabiciem człowieka. Cholernie musi im zależeć na tym metalu. Ktoś w Hamburgu płaci pewnie niewąskie sumy. – Zamyślił się. – Nie słyszałeś, czy na rynkach światowych platyna ostatnio poszła w górę?

– Nie poszła. Były lekkie wahania, bez większego znaczenia. Sądzę, że po prostu znaleźli jakiś prywatny, bardzo opłacalny zbytni. Na razie nie zwracajmy sobie tym głowy, niech się męczy „C-6”. Przecież nam przekazał, że jest na tropie.

– Co ty mówisz! Szalenie ciekawe. Nie mówił, kto to jest?

– Przypuszcza, że jakiś wynalazca, profesor. Właśnie w tej firmie „Guenther, Kaps und Sohn”. Ale to są jeszcze bardzo skąpe dane i powtarzam, nie zajmujmy się tym, mamy



ważniejsze sprawy tu, na miejscu. Zakładamy obserwację Łukawskiego. Prędzej czy później ta trójka musi się gdzieś spotkać. Ostrzegłeś jubilerów?

– Bardzo oględnie. Inspektorzy z wydziału przestępstw gospodarczych pogadali w Zjednoczeniu i w kilku większych sklepach, ale tylko zwrócili im uwagę na zabezpieczenie towaru. Że zdarzały się ostatnio kradzieże, więc niech uważają. Nie chcę robić szumu wokół platyny. Przeciwnie, chcę żeby ta trójka się uaktywniła. Bo jak przycichną, to pół roku będziemy tracić czas na ich obserwację.

– Też racja.

\*

„Delta” niecierpliwił się. Był punktualny, nie znosił czyjegoś spóźniania, a tymczasem „Alfa” spóźnia się już po raz drugi. Właściwie wtedy być może wcale nie przyszedł, „Delta” czekał na niego w kawiarni dwadzieścia minut, potem zrezygnował. Teraz minął już kwadrans, a on... No, nareszcie!

– Stało się coś, że tak się spóźniasz? – syknął gniewnie.

„Alfa” pochylił się nad stolikiem. Mówił samymi wargami, prawie nie było go słychać.

– Nie wiem, ale coś mi się nie podoba – zaczął.

I opowiedział o scyzoryku. Oczywiście, było całkiem możliwe, że wypadł mu na progu mieszkania. Tylko, że jeszcze tej samej nocy, kiedy kładł się spać, wyjął z kieszeni wszystko,

co tam nosił i wtedy stwierdził brak scyzoryka. Przestraszył się, że zgubił go w domu Mikłosa. Zaczął szukać. Z całą pewnością otworzył drzwi i obejrzał wycieraczkę, potem nawet wyszedł na schody. Szukał tak długo i hałaśliwie, że zbudził żonę. Nie znaleźli noża.

– Może po prostu nie zabrałeś go ze sobą? – zauważył „Delta”, ciągle jeszcze nie widząc związku między wizytą Kaweckiego a napadem na jubilera.

– Człowieku, to by był w domu! Mam ten scyzoryk od paru lat, ma świetne ostrza z sheffieldowskiej stali, a okładzina jest częściowo z bursztynu, a częściowo z jakiejś czarnej masy. Takiego nie kupisz w żadnym sklepie. No, więc myślałem potem, że jeżeli zgubiłem go tam, u tego Węgra, to przecież po scyzoryku gliny nie dojdą, że to ja, bo skąd? W najgorszym razie wyprę się. Powiem, że nie mój. Nikt mi nie udowodni, bo nikomu specjalnie noża nie pokazywałem. A tu nagle przychodzi ten kretański inżynier i przynosi... Że znalazł na wycieraczce. Żeby to ja był w domu, tobym wiedział, jak zareagować. Nie mój nóż, pewnie zgubił ktoś inny, przechodząc obok drzwi. Mało to ludzi mieszka w naszym wieżowcu! Ale była tylko Danuta. No i stało się.

– Nie widzę problemu – skrzywił się „Delta”. – Najpewniej rzeczywiście scyzoryk wyleciał ci z kieszeni, kiedy wyjmowałaś klucze. Może wpadł pod wycieraczkę, może trochę

dalej, nie zauważyłeś go, a rano inżynier znalazł. Gdyby była w tym jakaś pułapka, to ktoś musiałby cię widzieć, wychodzącego od Mikłosa.

– Nikogo nie było. Pusta ulica, nawet kota na chodniku. Niemożliwe, żeby mnie ktokolwiek zobaczył.

– To w ogóle nie był dobry pomysł – zasepił się „Delta”.  
– Może kiedyś Mikłos miał platynę, ale to musiało być dawno. Nie trzeba było ryzykować. Zwłaszcza teraz, kiedy mamy wyjechać.

– Myślisz, że nam się uda?

„Alfa” powiedział to ostrożnie i obejrzał się. W kawiarni było niewiele osób, siedziały dość daleko od ich stolika.

– Powinno – odparł „Delta”. Ale już nie będziemy tego robić na własną rękę. Przemyślałem wszystko i doszedłem do wniosku, że bez „Omegi” się nie obejdzie. Nie mamy żadnego dojścia do tej firmy ani do profesora. Nie wiemy nawet, jak on się nazywa.

– Firma, to „Guenther, Kaps und Sohn”.

– Głupcze – zniecierpliwił się – nikt z firmy nie będzie w ogóle chciał z nami gadać! „Omega” jest stamtąd, ma chody, zna profesora. A my? Żebyśmy nawet jakoś przedostali się do Hamburga, to wpadniemy w ręce policji przy pierwszej próbie kontaktu. W dodatku, wpadniemy razem z platyną. Pamiętaj, że ta firma produkuje na zbrojenia. Nie uda nam się nawet tam wejść. Szkoda myśleć!

## Rozdział 8

Kupili bilety drugiej klasy pośpiesznego pociągu, jadącego do Zielonej Góry. Stamtąd pekaes miał ich zawieźć do Pońca. Przygotowali się bardzo starannie. Dokumenty, podniszczone robocze ubrania, dwie walizki, nieco gotówki. „Delta” przyciemnił włosy i wąsy, „Alfa” skrył uszy pod długimi lokami. Tydzień wcześniej pracowali fizycznie, gdzie się dało i ręce ich, specjalnie nie oszczędzane, nosiły wyraźne ślady tej roboty.

Jechali nocą, na przemian jeden drzemał, drugi spoglądał uważnym wzrokiem na współpasażerów, ale nic podejrzanego nie dostrzegli. No, bo czyż mógł nie budzić zaufania dobroduszny jegomość o rumianej, pogodnej twarzy, który na samym początku podróży zapewnił cały przedział, że jego stosunek do życia jest na wskroś optymistyczny i taki był zawsze. A teraz jedzie na wesele syna, więc tym bardziej humor mu dopisuje.

Albo ospały, błądy młodzieniec ze smętnie zwisającymi włosami wyraźnie niedożywiony, taki, co to jednym palcem tknąć, a zaraz się przewróci. Albo dziewczyna o oczach tak niebieskich, że „Alfa” chętnie by się nimi bliżej zainteresował, gdyby był sam. No i gdyby jechał w innym celu niż ten, do którego zmierzali. Dziewczyna zresztą wysiadła gdzieś po

drodze i „Alfa” natychmiast o niej zapomniał.

Do Zielonej Góry przyjechali wczesnym rankiem. Pociąg kończył tu swój bieg i na peronie zaroilo się od ludzi. Pewnie dlatego obaj nie zwrócili uwagi, że rumianolicy pan i ospały młodzieniec, podróżujący bez żadnego bagażu, weszli za nimi do pobliskiej restauracji. Może zresztą, gdyby nawet to zauważyli, pomyśleliby, że tamci również chcą zjeść śniadanie.

– „Ćwiartkę? – spytał „Alfa” bez większego przekonania.

Tamten sprzeciwił się. Żadnych ćwiartek, zwykle śniadanie z herbatą, wędliną lub jajecznicą, co tam mają w bufecie.

– Budowlance piją – mruknął „Alfa”.

– Ty masz słaby łeb. W Pońcu każą ci chuchnąć, zajedzie wodą.

– A cóż to, do milicji się zgłaszamy?! – oburzył się. – Od kiedy na budowie każą chuchać!

– To nie jest zwykła budowa. To jest renowacja pałacu, kretynie, mówiłem ci dziesięć razy. Wymaga delikatnych rąk i trzeźwej głowy. „Omega” był tam i widział, co robią.

Zjedli śniadanie, poszli na dworzec autobusowy. Dobroduszny jegomość wyszedł za nimi i rozejrzał się bystro. W pobliżu stała czarna „Wołga”, kierowca opuścił szybę, w rękę trzymał gazetę. Jegomość podszedł do niego, o czymś chwilę rozmawiali. Na tylnym siedzeniu krępy, silny mężczyzna w grubym swetrze słuchał tego uważnie. Potem rumianolicy wrócił do restauracji. Teraz mógł już przysiąc się do ospałego młodzieńca, który wyraźnie ożywił: się i widać było, że wcale

nie jest znów z niego takie chuchro, jakby kto myślał. Rola tych dwóch zakończyła się. Po kilku godzinach wracali pociągiem do Warszawy.

„Alfa” i „Delta” wsiadli do autobusu, jadącego w kierunku Pońca. W pewnej odległości za pekaesem trzymała się czarna Wołga. Kierowca zwalniał, kiedy zbliżał się przystanek, hamował i stawał gdzieś za rogiem domu albo na bocznej drodze. Potem znowu ruszał. Robił to z taką wprawą, że nawet gdyby tamtym dwóm zdawało się, że ktoś ich ściga, nie zdołaliby zauważyć czarnego samochodu.

Do Pońca zajechali w południe. Wsiadło tu parę osób miejscowych, obładowanych koszami i torbami. Stanęli przy kiosku „Ruchu”, kupili papierosy. W pobliżu wznosił się na żółto malowany kościół, po drugiej stronie wsi był cmentarz, naprzeciw poczta. Długi pawilon handlowy wybudowano chyba niedawno, bo świecił czystością białych ścian. Był też Zajazd Ludowy, stały przed nim dwie furmanki.

– Tam – powiedział „Delta”, pokazując oczami wylot szerokiej alei obsadzonej dwoma rzędami starych, pięknych topoli.

– Biuro mają w pałacu?

– Tak. Prowizoryczne, oczywiście. Kierownictwo remontu, pewnie jakaś maszynistka, księgowy.

– Piwa bym się napił – westchnął „Alfa”, spoglądając na zajazd, z którego właśnie wyszli furmani.

– No, piwa można – zdecydował tamten.

Zajazd był ładny, dość obszerny, mieścił się w oddzielnie

stojącym domu o grubych murach. Nad drzwiami wykuto datę: 1862 rok. Zasiedli na ławie, dostali zimne, spienione piwo i kanapki z serem, bo był poniedziałek.

– Panowie nietutejsi – zagadnęła życzliwie tęga kelnerka.  
– Pewnie do roboty w tutejszym pałacu?

– Możliwe – zgodził się „Delta”. – A tam potrzebują ludzi?

– Chyba tak. Wszędzie ludzi za mało. U nas też. Kelnerki szukamy i kucharki.

– Za kucharkę, to ja bym mógł – rzekł „Alfa” z powagą.

– Ale za kelnera, to już nie. Z takimi łapami? – Wyciągnął nad stołem swoje spracowane ręce i roześmiał się.

– Pan murarz? – spytała z szacunkiem.

– Konserwator – odparł. – Technik konserwator.

– Idziemy! – „Delta” miał dość tej rozmowy, nie po to przyjechali.

Szli potem aleją, topole kwitły i wiatr unosił biały puch. Słońce zaczynało grzać na dobre. Za parkanem z prawej strony rozciągał się ciemny staw, pływały po nim cztery łąbędzie. Na stawie była maleńka wyspa, siedziała tam na gnieździe łąbiedzica, a małżonek co parę minut z głośnym trzepotem skrzydeł odpędzał od wyspy inne ptaki.

– Ładnie tu – stwierdził „Alfa” – Słuchaj, a jak nas przyjmą, to gdzie będziemy spać? Chyba nie na tej wyspie, z łąbiedziami.

– Gdzieś muszą mieć zakwaterowanie dla robotników przyjezdnych. Może w samym pałacu, a może na wsi. Dowieśmy się.

Kierownika nie było, wyjechał na pół dnia w sprawach służbowych. Był księgowy, starszy, zupełnie łysy pan w okularach, z długim nosem i rozbieranymi oczami. Popatrzał na nich z troską i rzekł:

– Czy ja wiem? Etaty mamy nie te, co trzeba... A panowie co umieją?

– Jestem technikiem-konserwatorem – odparł „Alfa” z godnością, wysuwając się do przodu. – Chciałbym znaleźć tu pracę, lubię wieś. Latem – dodał spieszenie. – Nazywam się Andrzej Kraska. Proszę, tu są moje dokumenty – położył na biurku dowód i książeczkę ubezpieczalni.

Księgowy spojrzał na to niezdecydowanie, potem przeniósł wzrok na „Deltę”.

– A pan?

– Technik-elektryk, Jan Mrończyk. Specjalista od zakładania przewodów w takich pomieszczeniach, gdzie nie wolno zbyt dużo kuć i przebijać dziur – uśmiechnął się. – Jednym słowem, pracowałem przy kilku renowacjach pałaców.

– To dobrze! – ucieszył się księgowy. – Właśnie nam brakuje takiego specjalisty. Panowie razem?

– Znamy się, tośmy się razem wybrali. Kolega orientuje się również dość dobrze w murarce. Pracował niedawno przy organizowaniu kawiarni w zabytkowej piwnicy. W jednym pegeerze.

Księgowy nie mógł decydować sam, ale z jego miny i zadowolenia widać było, że obaj bardzo się przydadzą. Do chwili



powrotu kierownika „Delta” i „Alfa” włączyli się po parku, zapamiętując wszystko, co mogło im być później przydatne. Nie mogli jednak wiedzieć, że pasażer i kierowca czarnej „Wołgi”, nie dojeżdżając do samej wsi zatrzymali się w umówionym miejscu, gdzie za kółkiem usiadł ktoś inny, a oni pieszo powędrowali do Pońca. Tam zakwaterowali się w jednym z domów, gdzie przyjęto ich gościnnie, jak starych znajomych.

Kierownik wrócił pod wieczór. Z miejsca zaangażował „Alfę” i „Deltę”, przejrawszy pobieżnie ich papiery. Przy odnawianiu pałacu rzeczywiście brakowało fachowców. Z grubsza uzgodnili zakres robót i płace, potem kierownik wskazał im oddzielnie stojący, mały pawilon, w którym mieszkali już inni renowatorzy. W sumie, pracowało tu jedenaście osób, nie licząc biura.

– Wychodzi, że jestem trzynasty – mruknął „Alfa” z niezadowolaniem – Cholernie mi się to nie podoba.

– Mogę ja być ten trzynasty, co za różnica – odparł „Delta”. – Głupstwami się zajmujesz, zamiast obserwować i uważać.

– Obserwuję. Na razie, nie ma co. Jutro zejdziemy do piwnic, to sobie wszystko pooglądamy.

Wyżywienie, jak inni, mieli zamówione w zajeździe. Przedstawili się kilku murarzom i mistrzowi, postawili całego litra, to się spodobało, uznano ich za swoich. Spali po czterech

i po trzech, zależnie od rozmiarów pokoju w pawilonie. Im dostał się na trzeciego – a ściślej mówiąc to oni do niego dołączyli – młody, trochę gapiowaty pomocnik mistrza. „Delta” przejrzał go na wylot w pierwszych pięciu minutach i zagrał wobec skołowanego chłopaka rolę wysokiego specjalisty, który z byle kim się nie zadaje i wymaga dla siebie szacunku. „Alfa” – odwrotnie, wszedł z pomocnikiem w komitywę. Tak podzielili się zadaniami.

Nazajutrz, po śniadaniu, kierownik zeszedł z „Delta” do piwnicy. Obejrzel na wpół zawałone gruzem, ale mocne i dość wysokie pomieszczenia. Fabryka chciała tu mieć klub-kawiarnię i salkę do tańca. „Delta” oglądał z powagą stropy, opukiwał ściany, pytał, gdzie miałyby być umieszczone kontakty, gdzie lampy i któredy pociągnąć przewody. A ponieważ znał się na tej robocie, kierownik w miarę jak szli odczuwał coraz więcej satysfakcji z zaangażowania nowego pracownika.

– Widzę, że macie mało ludzi – rzekł w końcu „Delta”. – Wobec tego nie warto ściągać do piwnic innych robotników. Ja z kolegą Kraską uprzątziemy stąd gruz i cegły, potem zabierzemy się do instalacji. Sprzątać trzeba ostrożnie, żeby czego nie uszkodzić,

– Doskonale! – zgodził się kierownik, coraz bardziej zadowolony. – Zaraz go panu przyślę. Jakie narzędzia będą wam potrzebne?

– No, łopaty, rękawice ochronne, bo swoich nie mamy, a gruz ostry... ze dwa młotki, oskard. Chyba wystarczy. Aha, i drabina.

– W porządku. Wszystko to mamy, panie Mrończyk. – Na schodach odwrócił się jeszcze i zawołał: – Za dobrą robotę będzie premia!

– Dziękuję z góry! – odparł „Delta”. I mruknął do siebie: – W d... mam twoją premię.

Pracowali z „Alfą” nie szczczędząc sił, tak ich gnało do tej zamurowanej platyny. Pod wieczór kierownik pojawił się w na wpół oczyszczonej piwnicy i aż przystanął, zdziwiony.

– Panowie, toż to wspaniała robota! – wykrzyknął. – Tylko mi się nie rozchorujcie z przepracowania, bo co bym bez was zrobił.

Już mu się zdawało, że byli tu od dawna. „Alfa” odparł uprzejmie, że stać ich nawet na więcej, tylko muszą się rozkręcić, pewnie już jutro to zrobią. Powietrze tu było inne niż w mieście, więc trochę ich „rozbiera”, ale prędko przywykną.

\*

Minęły trzy dni. Bolały ich grzbiety, nogi i ręce, wieczorem rzucali się na łóżka i trwało z pół godziny, zanim potrafili wstać i zrzucić ze siebie brudną, przepoconą odzież. Pomocnik mistrza widząc to sam sprzątał pokój, nosił wodę i parzył herbatę na maszynie, kiedy nie mieli sił, aby iść do zajazdu na kolację. Kupował im wtedy chleb, smażył jajka, za co wspaniałomyślnie „Delta” wypłacał mu prywatne honorarium

Czwartego dnia cała piwnica była wymieciona z gruzu i śmieci. Usiedli na schodach, chwilę odpoczywali, dysząc i

ocierając pot z twarzy. Wreszcie „Alfa” spytał szeptem:

– Co teraz?

„Delta” zadumał się. Wodził wzrokiem po ścianach i betonowej podłodze, w myśli próbował odtworzyć tamtą noc, kiedy żołnierze czternastej kompanii szóstego pułku przynieśli tu dwie ciężkie skrzynie i zaczęli murować.

– Druga piwnica – powiedział, również cicho. – To by znaczyło, że albo za tą ostatnią ścianą, albo pod podłogą.

– „Omega” nie dowiedział się dokładniej?

– Nie. Może nie mógł, przecież jemu też zależy. I to bardzo. Przypuszczam, że ten stary gefreiter po prostu nie pamięta już szczegółów. Albo nie chciał powiedzieć.

Wstał, podszedł do ściany, która zamykała piwnicę po stronie przeciwnej niż schody. Poświecił latarką, szukając najmniejszej choćby rysy, załamania czy śladów zamurowania. „Alfa” też zbliżył się i patrzył. W końcu rzekł niechętnie:

– Człowieku, tu była przecież kupa gruzu! Trzydzieści lat temu, owszem, można było znaleźć miejsce świeżego murowania, ale teraz to już jest stare murowanie. Wilgoć i czas zrobiły swoje.

– Nie masz racji – odparł. – Mury piwniczne postawiono ze dwieście lat temu albo więcej. Wtedy murowano inaczej. Żołnierze Muellera śpieszyli się, nie mieli z pewnością odpowiednich narzędzi ani dobrej zaprawy. Może nawet nie było tam żadnego fachowca. Postawili więc pewnie cegły, spoiłi je

byle jak, czym się dało. Jeżeli to jest za tą ścianą, dałbym sto dolarów, że tylko dobrze kopnąć, a rozleci się.

– Spróbujemy?

– Zostaw! Co zrobimy ze skrzyniami, jeżeli tam są? W każdej chwili może tu przyjść kierownik albo ktokolwiek inny. Musimy czekać, aż „Omega” kogoś przyśle. Potrzebny jest samochód. I „Gamma” do dźwigania. Możemy tylko – zawałać się – i chyba nawet powinniśmy upewnić się, że one tam są. Żeby na próżno nie robić szumu.

„Alfa”, który rzeczywiście kiedyś pracował jako murarz, przysunął się do ściany i zaczął ją ostrożnie opukiwać. „Delta” miał słuszną rację, mimo upływu lat widać jednak było ślady innego murowania, chociaż mocno zatarte. Wziął szmatę, zamoczył w wiadrze z wodą i ścierał delikatnymi, kolistymi ruchami grubą warstwę kurzu, zmieszaną z jakąś pleśnią zielonkawego koloru. Po kilku minutach odsłoniła się jaśniejsza plama.

– Widzisz? – mruknął, nie odwracając głowy. – To pewnie tutaj. Wyjęli stare cegły, zanieśli skrzynie, potem cegły z powrotem wmurowali, ale całkiem po partacku. Krzywo. Dziwne, że to się jeszcze trzyma.

– Wystarczy, że wyjmiemy kilka cegieł i zobaczymy skrzynie. Wtedy damy znać „Omedze”.

„Alfa” zastanowił się, przymierzył młotkiem do ściany, ale nie uderzył. Bał się, że zwali całe zamurowanie.

– Musimy przyjść w nocy – powiedział „Delta”. – Założymy jakieś pasy, przytrzymają te cegły, których nie będziemy wyjmować. Pojęcia nie mam, jak to zrobić – zafrasował się. – Trzeba sposobem. Na razie zakryj płamę śmieciami, bo jak ktoś wejdzie, gotów się zainteresować.

„Alfa” posłusznie przybrudził świeżo wymyte miejsce, zaznaczył tylko ołówkiem, gdzie zaczynał się ślad. Potem dla niepoznaki zabrali się do zakładania przewodów w pierwszej części piwnicy. Naznosili mnóstwa kabli, łączy, kontaktów, byli tak zapracowani, że nie chcieli z nikim wdawać się w rozmowę, „Delta” nawet przepędził dwóch murarzy, którzy przyszli z wizytą, bo im się znudziło na górze.

Tak naprawdę, to udawali tylko, że pracują, oszczędzali siły na nocną robotę. Wyszli z piwnicy pod wieczór, niby to sypiąc ze zmęczenia. Kierownik raz jeszcze gorąco zapewnił ich o premii. Chciał nawet wypłacić zaliczkę, ale wymówili się skromnie. Potem, jak klub-kawiarnia będzie już wyposażona<sup>na</sup> w całą sieć elektryczną, przyjdą po zapłatę. „Alfa” wprawdzie coś tam mrucał, ale jego kolega spojrzał tak, że tamtemu się odechciało.

– Zrozum, idioto – tłumaczył mu w drodze do zajazdu – jeżeli on nam cośkolwiek wypłaci, będzie patrzył na ręce i co chwila kontrolował. Znam takie typy.

Zjedli kolację, porozmawiali trochę z innymi pracownikami.

Dowiedzieli się, że renowacja pałacu potrwa jeszcze miesiąc, że meble są już zakupione, dywany i kilimy na ścianę też. W pałacu będzie mogło wypoczywać jednocześnie sześćdziesiąt osób. Jutro przywiozą urządzenia kuchenne, zaczną się montaż. W końcu czerwca powinien nadjechać pierwszy turnus.

„Niech nadjedzie – pomyśleli obaj to samo. – Nas już tu nie będzie. Platyny też.”

W pawilonie wieczorem szybko gasły światła. Ludzie byli zmęczeni, śpieszyli się. „Delta” siedział na łóżku i spoglądał na, pomocnika mistrza, który przewracał się w pościeli i stękał. Na kolację był bigos, a on miał słaby żołądek. Już dwukrotnie wędrował do łazienki. „Cholera, gotów tak łązić całą noc!” – złościł się „Delta”. I krzyknął:

- Weź coś na wstrzymanie, bo spać nie dajesz!
- Kiedy nie mam – wyjąkał chłopak, przestraszony.
- Obzarłeś się, szczeniaku, po co jesz bigos, jak ci szkodzi?
- Bo nic innego nie było.

Wreszcie „Alfie” przyszedł do głowy zbawczy pomysł. Wstał, ostentacyjnie naciągnął kombinezon i powiedział do „Delty”:

- Chodź, popracujemy jeszcze. Wrócimy rano, gówniarz pójdzie do roboty, a my położymy się spać.
- Masz rację.

„Delta” ubrał się również, wzięli narzędzia i głośno ztorze-  
cząc pomocnikowi mistrza wyszli z pokoju.

– Dobrze się stało – mruknął „Delta”. – Mamy świetną  
wymówkę, jakby ktoś nakrył nas w piwnicy.

W pałacu było cicho i ciemno, dochodziła pierwsza godzi-  
na. Wejście do piwnicy jeszcze z wieczora zostawili otwarte,  
powiedzieli mistrzowi, że trzeba wypuścić wilgoć. Teraz we-  
szli i zamknęli drzwi od wewnątrz, na zasuwę, którą poprzed-  
nio przygotowali. I na to mieli wymówkę, w razie alarmu po-  
wiedzą, że pracują, stukają, więc nie chcieli przeszkadzać, nie  
chcieli też, żeby im przeszkadzano.

Oczyścili płamę z kurzu. Potem „Alfa” zabrał się do wyj-  
mowania cegieł, a „Delta” trzymał w ręku zabrane z łózka  
prześcieradło, aby w razie czego przychwycić opadające ce-  
gły, które mogły zwalić im się na głowy. Mieli już w piwnicy  
światło, podłączyli więc mocną żarówkę.

Z napięciem patrzyli, jak tynk i kurz sypie się ze ściany,  
odkrywając starą czerwień cegieł. Kiedy pierwsza była już  
odsłonięta, „Alfa” okroił ją dokoła nożem, aby uwolnić od  
zaprawy. Potem spróbował. Cegła dała się wyjąć, ukazując  
mały czarny otwór.

– Poświeć! – powiedział, głos miał zachrypnięty. Splu-  
nął, w gardle pełno pyłu.

„Delta” ujął luźno zwisający kabel i nachylił żarówkę nad  
otworem. Coś tam było, jakby nowy mur z cegieł. Nie sięgał  
stropu.



– Zgadza się – szepnął z przejęciem. – Mueller mówił, że za skrzyniami najpierw ustawili niewielki mur. To by było właśnie to. Znaczący, że jesteśmy na właściwej drodze. Wyjmij więcej, trzeba tam wejść.

„Alfa” uwolnił od zaprawy jeszcze kilka cegieł. Otwór poszerzył się teraz na tyle, że szczupły człowiek mógł się przecisnąć. „Alfa” był bez wątpienia chudszy i zwinniejszy. Tylko, że „Delta” nie miał do niego stuprocentowego zaufania. Wiedział też jednak, że dla tego człowieka skierować nóż nie w mur, ale w czyjeś ciało, nie było problemem. Jeżeli więc on sam będzie próbował przedostać się do drugiej piwnicy, może utknąć w otworze, z nożem w plecach. Jak „Alfa” by się z tego wytłumaczył przed „Omegą”, też nie było wątpliwości. Powiedziałby po prostu, że działał w obronie własnej, bo tamten rzucił się na niego, chcąc samemu zagarnąć platynę.

To wszystko w ciągu paru sekund przemknęło mu przez głowę, kiedy patrzył to na ciemny otwór, to na swego kolegę. W końcu powiedział stanowczo:

– Daj nóż!

„Alfa” zamrugnął zdziwionymi oczami.

– Na co ci?

– Daj nóż, powiedziałem! – Wyciągnął rękę. – Ja tam przejdę.

– Jestem szczuplejszy od ciebie.

– Jesteś również nieobliczalny – „Delta” pozwolił sobie na ironiczny uśmieszek. – Tak nieobliczalny, że wolę, abys

został po tej stronie otworu i bez noża.

„Alfa” wybuchnął krótkim, złym śmiechem. Potem podał mu nóż, odsunął się parę kroków i ostentacyjnie założył ręce na piersiach.

– Idź! – rzekł lakonicznie.

„Delta” obrzucił go nieufnym spojrzeniem. Oczywiście, mógł mieć drugi nóż w kieszeni. Były też oskardy i młotki. Trudno, trzeba zaryzykować. Wahał się chwilę: a może jednak posłać „Alfę” przez otwór? Nie. Sam musi się przekonać, co kryje się za niskim murem.

Przecisnął się nie bez trudności, w pewnej chwili poczuł, że rozdziera kombinezon. W końcu jednak przeszedł. Druga piwnica była trochę niższa, miała mniej więcej wysokość dwóch metrów. Mur, ustawiony pośrodku, zrobiono tak niefachowo, że nawet laik mógł to stwierdzić. Nie zawalił się pewnie tylko dlatego, że nikt do drugiej piwnicy przez trzydzieści lat nie wchodził.

– Świeć! – rzucił w stronę kolegi.

– Za krótki kabel – odparł „Alfa”, ale zbliżył nieco żarówkę do otworu. – Jest mur?

– Tak.

Odwrócił się, bo światło raziło oczy. Położył rękę na obrzeżu murku i poczuł, że cegły drgnęły. Wtedy nie wytrzymał i silnie popchnął je naprzód. Rozległ się łoskot, mur obsunął się i rozpadł. Za nim na betonowej podłodze „Delta” dojrzał w mroku coś jakby dwie szare, niewielkie trumny. Patrzył

na nie przez chwilę i poczuł, że włosy jeżą mu się ze strachu.

- Są? – zawołał cicho „Alfa”.
- Trumny – rzucił, cofając się w stronę otworu.
- Co mówisz? – wykrzyknął „Alfa”. – Jakie trumny! –

Umilkł, a potem spytał ciszej: – Nabrali nas?

„Delta” opanował się już jednak na tyle, że spojrzął na tajemnicze przedmioty uważniej. Nie, to nie były trumny. I kształt miały inny i wielkość była nie ta.

– Są skrzynie – powiedział, czuł, że mu dech zaparło z wrażenia.

Przechylił się, dotknął palcami szarej powierzchni. Wyczuł zimny, wilgotny metal. Przesuwał po nim, aż natrafił na wystający nieco łebek gwoździa, potem na drugi. Dalej już nie mógł sięgnąć, zresztą nie było potrzeby. Wystarczyło, że skrzynie są tam, gdzie być miały. Wszystko się zgadzało.

Wycofał się, przecisnął przez otwór. Pozwolił „Alfie” tam pójść i również dotknąć skrzyń. Usiedli później w pierwszej piwnicy, zmęczeni emocją, zadowoleni.

– Trzeba to замуrować – „Delta” wskazał otwór. – Przygotowałeś zaprawę?

- Gips. Szybciej, łatwiej i na krótko wystarczy.

Po godzinie na ścianie nie było śladu, że ktoś tędy przechodził. Zamiast otworu widniała brudna, zakurzona ściana, zamykająca piwnicę od tyłu. Kiedy zbierali narzędzia, usłyszeli na górze kroki, a potem łomotanie do drzwi. Spojrzeli na siebie, potem na miskę z resztką rozrobionego gipsu. „Delta” błyskawicznie cisnął tam szmatą, położył młotek. Skinął

głową, że już w porządku.

„Alfa” nie śpiesząc się poczłapał schodami na górę, odsunął zasuwę. Za drzwiami stał pomocnik mistrza, dygocąc z zimna, w samej koszuli i portkach.

– Ja już jestem zdrow – powiedział, jękając się z wrażenia. – Zaparzyłem świeżą herbatę. Nie trzeba pracować w nocy, musicie odpocząć. Przespać się.

„Alfa” chciał się roześmiać, zamiast tego jednak rozczulił się i poklepał chłopaka po ramieniu.

– Dobry z ciebie kumpel – rzekł: – Właśnie mamy wielką ochotę na szklankę herbaty. I na sen. Zresztą, skończyliśmy robotę.

\*

Szczęśny nie mógł zrozumieć, dlaczego obaj „podopieczni” jego wywiadowców zaangażowali się raptem, na drugim końcu dołski, do prac budowlanych w remontowanym pałacu. Waldemar Łukawski nie pracował wprawdzie ostatnio, bo robotę w warsztacie na Pradze rzucił, po dwóch tygodniach. Miał jednak zawód, który daje niezły zarobek. Elektrycy wszędzie są potrzebni, na każdym osiedlu. Miał w Warszawie żonę i dobre mieszkanie. Co go skłoniło do wyjazdu do Pońca?

Jakub Barańczak miał chyba jeszcze mniej powodów, aby zaciągać się do renowacji przyszłego domu wczasowego. Był radiotechnikiem, dysponował własnym mieszkaniem i samochodem. Dziewczynami się nie interesował.

A więc? Czego ci dwaj tam szukali?

– Najprostsza odpowiedź byłaby: platyny – powiedział Polewski. – Wrocławski ZARB używa jej do produkcji. Nawet w niemałych ilościach. Ale przecież w Pońcu buduje się dom wypoczynkowy, nie zaś hale produkcyjne. Co ci powiedzieli wczoraj nasi ludzie?

– Niezbyt dobrze było słyhać. W każdym razie, porucznik Małysz twierdzi, że ani jeden, ani drugi nie kontaktują się z mieszkańcami Pońca. Śpią razem z resztą ekipy konserwatorskiej w pawilonie, który stoi w parku, obok pałacu. Razem z nimi chodzą na posiłki do zajazdu. Nie piją. Nie wygląda też, aby miała to być okazja do jakichś pogaduszek o produkcji, używaniu platyny i czymś podobnym. Zresztą, w tych celach pojechaliby raczej do Wrocławia. Oczywiście, można by ich od razu zamknąć za posługiwanie się fałszywymi papierami. Mają „lewe” dowody, na nazwiska: Jan Mrończyk i Andrzej Kraska. Dałem polecenie, aby zbadać, czy komuś o takim nazwisku nie skradziono dowodu albo też czy nie zgłosił zguby. Sądzę raczej, że są to dokumenty sfałszowane od początku do końca.

– Żeby tylko to mieli na sumieniu, to byłby drobiazg. Powiedziałeś Małyszowi, żeby ich w żadnym wypadku nie ruszał? Może nam zepsuć całą robotę.

– Małysz nie zepsuje. To świetny oficer. I wie, co do niego należy.

W środku nocy Szczęsny nagle obudził się pod wpływem męczącego snu. Były tam jakieś białe zjawy, snujące się po podziemiach starego dworu czy pałacu, jakieś podziemne korytarze, głębokie piwnice... Wstał, napił się coca-coli, zapalił papierosa. Wyjrzał przez okno na cichą, opustoszałą ulicę.

Pałac przyśnił mi się, bo wciąż myślę o Pońcu – stwierdził rzeczowo. – O tym cholernym...

Dzwonek telefonu przerwał mu tok myśli. Podjął słuchawkę.

– Szczęsny? – poznał głos Polewskiego. – Nie obudziłem cię?

– Nie. Zbudziłem się już przedtem, miałem jakieś głupie sny. Co się stało?

– Nic. Tylko, wiesz co mi przyszło do głowy?

– Skąd mogę wiedzieć. W związku z Pońcem?

– Tak. Przeglądałem w domu różne wydawnictwa o ziemiach odzyskanych i natrafiłem na opis tego pałacu. Był własnością niemieckiego grafa Manfreda von Holstein. Stary dom, rozległy, położony w pięknym parku...

– Dużo tego masz? – przerwał mu Szczęsny.

– Czego?

– No, tego opisu.

– Czekał. Przecież i tak nie śpisz. Przez Birgenwald, bo tak się wtedy majątek nazywał, przechodziły cofające się wojska hitlerowskie. Zasięgnąłem wczoraj opinii jednego z generałów, znawcy przebiegu drugiej wojny światowej. Poszukał w swojej bibliotece, ma tam różne wydania zagraniczne, pamiętniki

oficerów Wehrmachtu i tak dalej. Natrafił na interesującą rzecz. Otóż przez Birgenwald przejechała jakaś kompania szóstego pułku, która ochraniała samochód nie znanego bliżej dygnitarza. To był wóz pancerny, ciężarowy. W nocy coś się stało, o czym w żadnym dokumencie nie ma słowa, ale samochód pozostał w majątku, pusty, odstawiony w głębi parku. Później uderzył tam pocisk artyleryjski, z wozu zrobił się wypalony wrak. Dygnitarz i żołnierze tej kompanii odjechali o świcie. Teraz spróbuj skojarzyć sobie tę historię z wyjazdem naszych dwóch podopiecznych do Pońca.

Szczęśny myślał przez chwilę, w końcu rzekł niezdecydowanie:

– Sądysz, że w samochodzie była platyna?  
– Albo złoto. W każdym razie coś, czego żołnierze nie mogli lub też obawiali się dalej wieźć. Front szedł za nimi, doganiał ich. Jeżeli więc mieli w wozie rzeczy bardzo cenne, a znajdowali się w pałacu grafa von Holstein, cóż im pozostało do zrobienia?

– Zakopali w parku. Albo schowali w jakimś bunkrze, jeżeli był. Albo w rodzinnym grobowcu Holsteinów. – Jak by się o tym dowiedzieli Łukawski i Barańczak?

– Jestem przekonany, że pracują na rzecz obywatela Republiki Federalnej Niemiec. Przesyłają przecież platynę do Hamburga. A taki obywatel może wiedzieć dużo więcej o ukrytym skarbie. Powiedzmy, że był wówczas jednym z żołnierzy tej kompanii. On, względnie ktoś z jego rodziny.

– Genialne! – wykrzyknął Szczęsny. Miał na myśli tok rozumowania przyjaciela. – Tadeusz, postawiłbym ci od razu butelkę Martela, gdyby o tej porze sklep był otwarty. Jedziemy do Pońca! Zaraz.

Wyjechali jednak dopiero następnego dnia wieczorem. Koncepcja pułkownika miała wszelkie cechy prawdopodobieństwa, ale trzeba było dobrze rozważyć ją i przygotować się do, zagarnięcia całej grupy, nie tylko Łukawskiego i Barańczaka. Skarb, czy cokolwiek to było, ściągnie być może do Pońca pozostałych członków szajki. Najbardziej chodziło im o przywódcę, który musiał to wszystko organizować i nadawać kierunek.

Z Hamburga przyjechał pracownik Służby Bezpieczeństwa, znany jedynie pod pseudonimem „C-6”. Był to mężczyzna niewielkiego wzrostu, ogromnie ruchliwy, o twarzy pociągłej, śniadej, oczach jasnych, które patrzyły jakby przenikając człowieka na wskroś. W wywiadzie służył już szereg lat, a robił to tak zręcznie, że nikomu z przeciwników nie udało się wpaść na jego ślad. Przesyłał cenne informacje, wykrył niejednego agenta, udaremnił niemało planowanych dywersji. Od pewnego czasu zajął się sprawą przemytu z Polski platyny i złota.

W gabinecie Polewskiego spotkali się tylko w trójkę, ze Szczęsnym, który go znał i bardzo cenił. Przywitani się serdecznie, gospodarz pokoju postawił koniak i kawę, a potem wyłożył przed „C-6” swoją koncepcję.



Major – bo taki stopień miał „C-6” – słuchał uważnie, swoim zwyczajem wpatrując się w mówiącego przymrużonymi oczami..

– Bardzo możliwe – orzekł. – Ze swej strony ja chciałbym dodać, że dowiedziałem się już nieco więcej o platynie w Hamburgu. Otóż w firmie „Guenther, Kaps und Sohn” niejaki profesor Erick Gebitner skupuje platynę, płacąc wysokie sumy. Mówiąc ściślej, płaci firma, a profesor pracuje na jej potrzeby. Zbrojeniowe. Ktoś mu dostarcza ten cenny metal, nie wiem kto... – Zamyślił się. – Słuchaj, Szczęsny, czy do Pońca w ostatnich miesiącach nie przyjeżdżał jakikolwiek cudzoziemiec?

– Dowiem się – odparł. Połączył się z Hornym, powiedział kilka zdań, podał numer, telefonu „Polewskiego. – Czyba by nie ryzykował? W małej miejscowości obcokrajowiec zawsze wzbudza zainteresowanie. No, zobaczymy.

Rozmawiali jeszcze, kiedy odezwał się telefon. Mówił Horny. Porucznik Małysz, który nie tracił czasu, przebywając w pobliżu Pońca, miał już gotową odpowiedź. Do miejscowej spółdzielni wyrobów artystycznych przyjeżdżał niedawno – w spółdzielni nie pamiętali dokładnej daty – przedstawiciel zachodnioniemieckiej firmy eksportowo-importowej „Malbex”. Powiedział, że firma chciałaby zakupić większą partię wiklinowych koszyków. Obejrzał kilka wzorów, wybrał trzy. Ustalili termin wykonania. Niemiec przyjął do wiadomości, że spółdzielnia może mu sprzedać towar tylko przez swoje zjednoczenie, bo takie ją obowiązują przepisy. Zapisał adres

zjednoczenia i powiedział, że załatwi wszelkie formalności. Spółdzielcy wzięli się więc do roboty.

Zjednoczenie miało swoją siedzibę w Warszawie. Szczęsny skontaktował się z kierownictwem, nie wyjawiając bliższych szczegółów i otrzymał odpowiedź, iż do tej pory żaden przedstawiciel takiej firmy nie zgłosił się.

– I nie zgłosi – rzekł Polewski, po wysłuchaniu informacji. – Mamy rysopis tego Niemca?

– Horny zapyta Małysza. Zaraz będziemy wiedzieli. Horny siedzi przy wzmocnionym kablu, ma lepsze połączenie z Pońcem.

Znowu czekali, tym razem dłużej. „C-6” pożegnał ich, miał jeszcze sporo spraw do załatwienia w czasie krótkiego pobytu w Polsce. Wreszcie kapitan przekazał wiadomość.

– Mężczyzna w wieku około pięćdziesiątki, mała ciemna broda, krótki wąs, włosy lekko siwe – relacjonował Szczęsny. – Ubrany był... no, to mniejsza. Ma pewnie mnóstwo ubrań na każdą okazję. Co nam to daje? Niewiele.

– Rysopis niewiele, ale sam fakt, że przyjeżdżał i to, że nie złożył zamówienia w zjednoczeniu, to już jest coś. Ręczę, że przyjechał wyniuchać, co się dzieje w Pońcu. Z pewnością obejrzał sobie pałac i park.

Z pułkownikiem Toporskim uzgodnili szczegóły wyjazdu. Na razie mieli wybrać się tylko we dwóch, na miejscu znajduje się już porucznik Małysz wraz z podoficerem z komendy zielonogórskiej. Zabierali radiostację, noktowizor i co tam

jeszcze mogło być potrzebne. Jako trzeci jechał kierowca w stopniu sierżanta, znał okolice Pońca, bo jakiś czas pracował w tamtejszej jednostce.

Na miejsce przybyli o szarym świcie. Małysz zakwaterował się u komendanta posterunku, w pobliżu urzędu gminnego. Centrum wsi oddalone było od pałacu o dwa kilometry. Aby nie wzbudzać podejrzeń i zbytecznej sensacji u tubylców, Szcześnie i Polewski zatrzymali się w odosobnionym, starym domu na samym skraju Pońca. Mieszkała tam starsza kobieta, Kwiecińska, wdowa po milicjancie, który zginął pod koniec lat czterdziestych, zamordowany przez bandę. Wdowa przy pomocy dorosłej córki dzielnie prowadziła małe gospodarstwo, pomagając sobie rentą. Córka ukończyła technikum ogrodnicze i zamierzała zaprowadzić wzorowy sad oraz założyć kilka szklarni. Naczelnik gminy, z początku nieufny do „babskiego” gospodarowania, potem udzielił pomocy, a kiedy kobiety otrzymały nawet medal na wystawie ogrodniczej we Wrocławiu, stał się dumny, że ma w gminie takich mieszkańców i bez trudu przydzielił Kwiecińskim szkło na rozbudowę inspektów.

Kobiety nie wiedziały, kto przyjechał do nich w gościnę; udzieliły jej na prośbę komendanta posterunku, a to im wystarczyło. Obie były raczej milczące, nie lubiły bliższych kontaktów ze wsią. Matka do dziś dnia sądziła, że mordercy jej męża zostali nastani przez któregoś z mieszkańców Pońca, a córka, wychowana w takich podejrzaniach, również unikała

wszelkich towarzyskich spotkań.

Obaj oficerowie, ubrani po cywilnemu, zajęli pokój na mansardzie; było to konieczne ze względu na umieszczenie anteny, aby z zewnątrz nie została dostrzeżona. Zapłacili z góry za mieszkanie i wyżywienie. Przespali się trochę, zjedli obiad, a wieczorem przyszedł Małysz. Jego informacje były zaskakujące. Łukawski i Barańczak poprzedniej nocy wybrali się po cichu do piwnicy pałacu i przebywali tam kilka godzin, przy drzwiach zamkniętych. Nie sposób było stwierdzić, co robili, gdyż okienka piwnicy były czymś przysłonięte. Wreszcie nadszedł młody chłopak, pomocnik majstra z ekipy załogi fabrycznej. Wyszli potem we trójkę i udali się, do pawilonu, gdzie mają zakwaterowanie.

– Czyżby ten pomocnik był z nimi w jakiś sposób związany? – spytał Szczęsny.

Małysz zaprzeczył. Nie, na to nie wygląda. Może zbudził się w nocy i zaciekawiło go, co się stało z jego współlokatorami, więc wyszedł, aby ich poszukać. Oczywiście, trzeba go również mieć na uwadze. Mieszkają w jednym pokoju i być może zdążyli go wykorzystać do jakichś celów.

– Jeżeli twoja koncepcja jest słuszna – powiedział Szczęsny do Polewskiego – można przypuszczać, że szukali w piwnicy ukrytej platyny lub złota. Nie wiemy, czy znaleźli cokolwiek, czy w ogóle wpadli na ślad. Założmy, że tak. Wobec tego muszą teraz skomunikować się z resztą szajki. Kwestia, w jaki sposób. Być może, przywieźli ze sobą radiostację i ukryli w pobliżu.

– Samochód pelengacyjny krąży niedaleko stąd – rzekł Małysz. – Mieli dwie walizki, więc w jednej mogła być radiostacja.

– Pamiętajcie, że niedawno był tu ten Niemiec, amator wiklinowych koszyków – przypomniał pułkownik. – Może umieścił radiostację i antenę w nie znanym nam miejscu. Ściągnę jutro drugi wóz pelengacyjny. Niech się namiary nałożą.

– Nie wystarczy nasza?

– Nie. Nam może być potrzebna do nadawania, i to szybkiego, zresztą kto by siedział przez cały czas przy odbiorze?

– Jeżeli nie znaleźli nic w piwnicy, będą przez następne noce szukać gdzie indziej. Powiedzmy, w parku. Czy tu jest jakiś rodzinny grobowiec albo stary bunkier?

– Nie ma. Są ruiny na końcu parku, przejrzelśmy je dokładnie. Nic tam nie ma. Jest wprawdzie... – Małysz zawahał się – no, na cmentarzu jest taka jakby kaplica, tam chowali urny z prochami, bo oni kremowali ciała. Też zbadaliśmy. Jeżeli coś by tam było, to zakopane bardzo głęboko. A na to żołnierze z szóstego pułku na pewno nie mieli czasu.

– Najlepiej byłoby w nocy obejrzeć piwnicę w pałacu – stwierdził Szcześny. – Tylko kto nam zagwarantuje, że ci dwaj znowu nie wybiorą się na tajemnicze roboty? Jak ich na tę noc zatrzymać w pawilonie?

– Spić? – zaproponował sierżant kierowca.

– Nie da się. Są ostrożni.

– Poczekajmy – zakonkludował Szczęsny. – Poczekajmy na ich następny krok.

## Rozdział 9

W nocy przyjechał milicyjny kurier i przywiózł Polewskiemu list od komendanta z Białegostoku. Pułkownik niecierpliwie rozerwał kopertę, domyślał się, że będą to wiadomości o Henryku Wochu.

– Cholera! – zaklął, przebiegając wzrokiem papier. – Posłuchaj – obejrzał się na Szczęsnego, a widząc, że śpi, potar mosił go za ramię. – No, zbudziłeś się już?

– Mhm? – Major, wyrwany z pierwszego snu, popatrzył na niego mało przytomnie. – Co jest? Wywożą platynę?

– Człowieku! Gdyby wywozili, to bym ci wiadro wody wylał na łeb. Przyjechał milicjant z Białegostoku. Posłuchaj, są informacje o tym leśniczym z Marianowa.

– No, no? – Szczęsny zaciekawił się, rozbudził i usiadł na łóżku. – Czytaj!

– Więc komendant pisze tak: Woch Henryk, urodzony... i tak dalej, leśniczy z zawodu, to wszystko wiemy. Ale dalej: „Nie udało mi się do końca wyjaśnić, czy wyżej wymieniony brał rzeczywiście udział w bandzie rabunkowej, która wówczas grasowała na naszych terenach. Natomiast z całą

pewnością, na podstawie starych akt i meldunków, mogę stwierdzić, że Woch popełnił zbrodnię. Zabił mianowicie własną żonę, Eugenię Woch z domu Mielecką, używając w tym celu siekiery. Porąbał następnie ciało i rozrzucił po mieszkaniu, a sam uciekł. Ponieważ stało się to w dniu, w którym banda urządziła napad rabunkowy na okoliczne domy, przypuszczano, że to jej członkowie zabili Eugenję Woch, a on sam zdołał uciec.

Rozumiecie, towarzyszu pułkowniku, że były to jeszcze lata, kiedy nie dysponowaliśmy ani dostateczną i dobrze wybraną kadrą, ani środkami technicznymi. Znalazłem jednak meldunek jednego z podoficerów, który stwierdził, iż na stylisku siekiery były wyłącznie odciski linii papilarnych Henryka Wocha. Podaje on również, że z domu zniknęły kosztowności, które – jak mówili sąsiedzi – Eugenia Woch przechowywała ukryte w schowku pod podłogą. Wydaje mi się niemożliwe, aby banda zdołała natrafić na schowek i opróżnić go, nie zostawiając na nim w dodatku żadnych śladów linii papilarnych. A tymczasem na pokrywie i wewnątrz schowka, prócz linii właścicielki, były jedynie ślady odcisków palców Wocha.

Wreszcie, udało mi się natrafić na inny dokument, a mianowicie protokół z przesłuchania jednego z członków bandy. Przywódcą jej był człowiek o pseudonimie „Frak”, do dziś nie udało się go zatrzymać; zresztą, według naszych obliczeń, „miałby on teraz przeszło siedemdziesiąt lat. Przesłuchiwany

zecznał, iż dom Wochów omijali przy każdym napadzie, gdyż Henryk Woch okupił się „Frakowi”, dając mu pieniądze i trochę kosztowności.

Sumując to wszystko, niemal za pewne należy przyjąć, to, iż Woch zamordował swoją żonę, zabrał biżuterię i pieniądze, po czym uciekł. Ponieważ do kodeksowego terminu przedawnienia pozostało dokładnie jedenaście dni – licząc od dnia zabójstwa Eugenii Woch – dlatego proszę o jak najszybszą odpowiedź towarzysza pułkownika, gdyż chcemy zatrzymać Henryką Wocha pod zarzutem zabójstwa.”

– Popatrz, jak to się złożyło! – rzekł Szczęsny. – My go chcieliśmy również zatrzymać, tyle, że pod innym zarzutem. Co postanowicieś?

– Oczywiście, niech go przyskrzynią natychmiast. Potem my swoje dołożymy.

Szybko skreślił odpowiedź i wręczył list kurierowi. Była to najbezpieczniejsza droga, jaką stąd mogli się porozumiewać. Pułkownik nie chciał użyć radiostacji, nie mając pewności, czy przeciwnicy nie złapią w eterze tego, co chciał przekazać, a także, czy w ogóle nie zorientują się, że stąd ktoś cokolwiek nadaje.

Milicjant zjadł kolację, która była jednocześnie śniadaniem, i pojechał. Tymczasem zaczął się świt i oficerom odechciało się spać. Ubrali się, wyszli przed dom. Było jeszcze pusto, cicho dokoła, tylko ptaki rozgwarzyły się wśród drzew i pszczoły zaczynały swoje poranne, pracowite loty.



– Wciąż się zastanawiam, w jaki sposób oni będą się kontaktować – rzekł Szczęsny. – Wydaje mi się, że mimo wszystko nie przy pomocy radiostacji. Może więc...

Urwał, bo dostrzegł, że ktoś zbliża się do furtki. Był to porucznik Małysz.

– Kiedy ten człowiek śpi? – powiedział Polewski ze zdumieniem. – Ma chyba końskie zdrowe.

Małysz pozdrowił ich i spiesznie zdał relację z tego, co zaszło. Pół godziny temu Jakub Barańczak wyszedł z terenu pałacu, wsiadł do autobusu i pojechał do Zielonej Góry. W ślad za nim udał się podoficer tamtejszej komendy, a w mieście mieli przejąć Barańczaka inni wywiadowcy.

– Być może, mamy wyjaśnienie twoich wątpliwości – rzekł pułkownik do Szczęsnego. – Myślę, że Barańczak będzie do kogoś telefonował.

Odpowiedź nadeszła po południu i była potwierdzeniem tych przypuszczeń. Jak stwierdzili wywiadowcy, radiotechnik poszedł na pocztę i zamówił rozmowę z Warszawą. Otrzymał ją o tej porze dość szybko. Wszedł do kabiny, rozmowa trwała parę minut. Potem zjadł w mieście śniadanie i autobusem wrócił do Pońca. Milicja dowiedziała się iż zamawiał rozmowę z Hotelem Europejskim. Przy pomocy kolegów z Komendy Stołecznej ustalono że rozmówcą Barańczaka był gość z pokoju dwieście osiem, obcokrajowiec Kurt Zintau z RFN.

– A! – wykrzyknął Szczęsny, czym wzbudził zainteresowanie obu oficerów. Po czym wyjaśnił: – Spotkałem tego

faceta w windzie hotelu „Merkury”, w Poznaniu, kiedy byłem tam z Hornym. Zjeżdżał na dół razem ze mną i powiedział coś po angielsku, nie pamiętam już, co. Podpadł mi, bowiem kiedy obaj wysiedliśmy w hallu, recepcjonistka odezwała się do niego po niemiecku. Mówiła, zdaje się, że otrzymał depezę i wymieniła jego nazwisko – Zintau. Zapamiętałem dlatego, że pomyślałem wtedy: „Niemiec, a do mnie odezwał się po angielsku”. Oczywiście, rzecz bez znaczenia. Właściwie nie wiem, czemu to nazwisko utkwilo mi w pamięci. Może dlatego, że od pewnego czasu jestem uczulony na obcokrajowców, szyfry, radiostacje i „Taniec szkieletów” – roześmiał się.

– Jak wygląda Zintau? – spytał Małysz.

Szczęśny pomyślał chwilę.

– Wysoki, barczysty. Włosy rude, jeżeli pamiętam. Miał okulary w kwadratowej oprawie, przyciemnione. Gęba taka, wiecie, mało przyjemna. Kojarzy się z dawnymi, niedobrymi wspomnieniami. Nie zdziwiłbym się, gdyby to był aktywny działacz NPD. Ale, być może, fantazjuje. Więc Barańczak do niego dzwonił! No, chyba zaczyna się.

– Tak myślę – stwierdził Polewski. Poruczniku, macie na posterunku kabel służbowy do Warszawy?

– Tak, u komendanta.

– Wolałbym tam nie chodzić, nie pokazywać się. Połączcie się z pułkownikiem Toporskim i powiedzcie, że prawdopodobnie będą nam już potrzebni ludzie, samochody, może helikopter. Zresztą, sami wiecie. Aha, tego Zintaua natychmiast

pod bardzo ostrożną obserwację. Bardzo, bardzo ostrożną! To musi być szczwana sztuka. I jeszcze jedno: niech się skontaktują z kapitanem Dominiakiem, żeby zatrzymanie Wocha nikomu nie podpadło. Muszą to zrobić tak, żeby wyglądało nie na zatrzymanie, ale na cokolwiek innego. Niech znajdą pretekst. Może kontrola w leśniczówce, żeby on nie był w stanie się stamtąd ruszyć ani nikt obcy do niego nie mógł przyjechać. Oczywiście, niech się ściśle kontaktują z milicją białostocką i działają razem. Ja zakładam, że Zintau czy Barańczak będą próbowali ściągnąć tu Wocha do pomocy w przenoszeniu platyny. To jest wielki, mocny chłop. Aha, prokurator, żeby dał zezwolenie na podsłuch jego telefonu. No, to chyba wszystko.

\*

Prokurator zezwolenia udzielił. W porę, bo tego samego wieczoru w leśniczówce zadzwonił telefon, z Warszawy. Woch podniósł słuchawkę, a gdzieś po drodze milicyjna ręka uruchomiła magnetofon. Później przesłuchano taśmę.

- Halo!
- Czy pan Henryk Woch?
- Przy telefonie. Kto mówi?
- Dzwonię z polecenia „Deltę”... – Chwila ciszy, jakby leśniczy zastanawiał się, co powiedzieć.
- Ale... kto mówi?
- „Beta”.
- Aha. – Znów namysł, kasznięcie.

- Słyszysz mnie pan? – Głos niecierpliw się.
- Słyszę.
- Czy pan jest sam?
- Tak, oczywiście. O co chodzi?
- Konieczny szybki przyjazd do Warszawy. Czekam jutro. Cały dzień. To znaczy, od ósmej do trzeciej trzydzieści.
- Ja nie wiem, czy będę mógł. Mam robotę w lesie.
- Polecenie odgórne. Rozumie pan?
- Tak. Gdzie mamy się spotkać?
- U mnie w pracy. Był pan już raz. Pamięta pan?
- Tak, wiem. Na... – ale tamten głos przerywa mu gniewnie.
- Nie mówić! Niech pan szykuje się do wyjazdu. Do widzenia.”

Szczęk słuchawki, koniec rozmowy.

Dominiak puścił taśmę jeszcze raz. Kapitan Korecki z komendy w Białymstoku zanotował oba pseudonimy, po czym rzekł:

- To nam chyba trochę zmieni plany.
- Tak. Trzeba Wocha wypuścić i obserwować, żeby dostać również tego drugiego. Nic o nim nie wiemy. Dzwonił z poczty przy Świętokrzyskiej. Szkoda, że nie zdążyliśmy zawiadomić Kręglewskiego.
- Za krótka rozmowa. Zanim by dojechali na pocztę, już by go tam nie było. Nie pamiętam, czy na tej poczcie podaje się swoje nazwisko przy zamawianiu międzymiastowej. Jeżeli nawet, to pewnie podał fałszywe.

W godzinę później Woch wsiał do swojej zielonej Warszawy i wyjechał z leśniczówki. Kiedy znalazł się na szosie, a była już noc, dostrzegł wprawdzie światła jakiegoś samochodu, który za nim podążał, nie zwrócił jednak na to uwagi.

Zresztą, później tych światel było więcej, samochody to mijały go, to wyprzedzały, zwyczajnie, jak na szosie.

Do stolicy dotarł wczesnym rankiem. Zbyt wczesnym, aby zjawić się w jakimkolwiek biurze. Zostawił wóz na strzeżonym parkingu, zjadł śniadanie, później zdecydował, że należałoby się ogolić i ostrzyc, więc wszedł do hotelowego fryzjera, bo ten był najwcześniej otwarty. Wreszcie doczekał się godziny ósmej.

W „Ułtorze” skierował się od razu do pokoju, w którym pracował „Beta”. Ten na jego widok wstał, zgarnął z biurka papiery i wyszedł, mówiąc kolegom, że wróci gdzieś za pół godziny. W pobliskiej kawiarni usiedli przy stoliku pod oknem. Młody człowiek, brodaty i wąsaty, w koszuli w paski i dżinsach najmodniejszego niebieskiego koloru zajął miejsce w pobliżu. Jakaś para, kłócąca się bez przerwy gniewnymi, choć ściszonymi głosami, ulokowała się z drugiej strony. Dziewczyna postawiła na stoliku otwartą torebkę, wyjęła puderniczkę i szminkę, potem jakby przez zapomnienie nie zdjęła torebki ze stolika.

W jakiś czas potem, w Komendzie Stołecznej trzech kapitanowie – Kręglewski, Dominiak i Korecki, wspólnie przesłuchiwali taśmą, nagraną na magnetofon, ukryty w torebce.

Nie wszystko można było usłyszeć, tamci dwaj mówili szeptem, pochyleni ku sobie. Najważniejsze jednak – kilka, zdań – oficerowie wyłowili spośród szumu i trzasków. Woch zresztą raczej słuchał, mówił przede wszystkim ten drugi, o którym wiedzieli już, że nazywa się Zygmunt Kopeć i pracuje w dziale kadr „Ultoru”.

– Kopeć... – Kręglewski przerzucił swój notes. – Mam. Mieszka na Barbary trzy, następny dom za blokiem, gdzie Kawecki i Łukawski. Na Kopcia zwrócił nam uwagę inżynier, chociaż bardzo się bronił przed rzucaniem jakichkolwiek podejrzeń. Okazuje się, że jednak te podejrzenia były uzasadnione.

– Z rozmowy Wocha z Kopciem wynika, że jeszcze dzisiaj obaj wyjadą do Pońca – rzekł Korecki. – Dwoma samochodami. Widocznie Kopeć ma własny.

– Nie ma – zaprzeczył Kręglewski. – Być może, posłuży się Fiatem Barańczaka, bo wczoraj widzieliśmy, jak się kręcił przy tym wozie. Obserwacja Kurta Zintaua jak dotąd nie wykazuje, żeby facet dokąds się wybierał. Może czekał na tych dwóch.

– Wątpię, żeby jechali razem – zauważył Dominiak. – Zintau ma wypożyczony samochód. W razie czego może nie przyznać się do znajomości z Kopciem czy z Wochem.

Pułkownik Toporski rozdzielił zadania. Kręglewski wraz ze swymi wywiadowcami miał nie spuszczać oka z Zintaua, a

gdyby Niemiec wyjechał poza Warszawę – ująć go w „kleszcze” przy pomocy czterech samochodów i tak, ostrożnie, kontynuować obserwację. Natomiast Dominiak i Korecki – ten ostatni nie chciał już odstąpić od Wocha, pamiętajcie o zbliżającej się dacie przedawnienia zbrodni – mieli jechać ze swymi ludźmi, w ślad za „Betą” i leśniczym. Przekazano też wszystkie te informacje na posterunek milicyjny w Pońcu.

Na propozycję wciągnięcia do akcji helikoptera pułkownik Toporski wzdrygnął się, po namyśle jednak wyraził zgodę. Gra szła o wielką stawkę i helikopter mógł być użyty – w razie potrzeby – jak podkreślił szef wydziału. Skomunikowano się więc z Wrocławiem, gdyż komenda zielonogórska takiego środka lokomocji nie posiadała.

\*

Kurt Zintau zwolnił trochę bieg niebieskiego Fiata, jedną ręką wyciągnął z torby mały termos i umieścił na sąsiednim siedzeniu. Manipulując ostrożnie, zdołał go otworzyć; nalał sobie kawy i wypił. Przegryzł kawałkiem czekolady, zapalił małe cienkie cygaro. Wieczór był, jak na koniec maja, bardzo ciepły, niemal upalny. Chyba zbierało się na burzę.

Pomyślał, że tamci pewnie są już na miejscu. Jechali wprawdzie oddzielnie, ale wyznaczył im godzinę spotkania dużo wcześniejszą niż sam by zdołał przyjechać. Wolał, żeby

oni na niego czekali, zamiast on na nich. Wybrał miejsce w lesie, upatrzone podczas poprzedniej wizyty w Pońcu. Tam miał też nocą zjawić się „Delta”.

Po raz któryś z rzędu spojrzął uważnie w lusterko, czy nie ciągnie za sobą jakiegoś „ogona”. Ale prócz autobusu PKS i motocyklisty z dziewczyną na siodełku nic nie spostrzegł. W górze terkotał helikopter, słyszał go poprzez szum silnika swego Fiata, przelotnie pomyślał, że to wojskowy ćwiczebny. W innej sytuacji może by się nim zainteresował, różnych bo-wiem informacji udzielał agencji wywiadowczej po każdym powrocie z Polski. Teraz jednak te sprawy go nie zajmowały. Chciał za wszelką cenę zdobyć i wywieźć, a potem korzystnie sprzedać jak najwięcej platyny.

Właśnie ten przemysł – skrzynie, zamurowane trzydzieści lat temu – miał go urządzić na resztę życia. Zdecydował bowiem, że pieniędzmi ze sprzedaży tych osiemdziesięciu czy stu kilogramów nie podzieli się już z nikim. Żaden z czterech współników nie będzie miał potem możliwości odnalezienia Kurta Zintaua na terenie jego ojczyzny.

Właściwie chciał to zrobić już dawno. Czekał tylko na okazję. Na większą transakcję niż dziesięć kilo czy nawet mniej. Czekał cierpliwie, chociaż cierpliwość nie była cechą jego charakteru. Rozmowa z Hansem, a potem ze starym gefreitem Muellerem, otworzyła przed nim – wierzył w to – drogą do ziszczenia pragnień. Miał już sporo pieniędzy odłożonych, gdyż oszukiwał swych pomocników niemiłosiernie, ale przecież nie



mieli żadnej możliwości, aby sprawdzić, ile w rzeczywistości płaci profesor Gebitner za gram platyny,

Trzeba więc tylko, aby teraz wszystko przebiegło według planu. Skrzynie wydobędą w nocy, przeniosą na własnych plecach do samochodów, przełożą platynę do skrytek w wozach. Tylko w wozie „Deltę” i w jego niebieskim Fiacie. Miał wprawdzie trochę kłopotu z umocowaniem skrytki w wypożyczonym pojeździe, ale uporał się z tym.

Potem, jak zwykle dotąd, „Delta” – dobry, pracowity pletwonurek – umieści pojemniki z platyną za rufą barki. Najdalej za dwa tygodnie on sam odbierze towar w małym porcie przed Hamburgiem. Pomoże mu Hans i jego brat. Obaj zdrowi, silni i zadowolą się niedużym zarobkiem. A Kurt Zintau więcej już się w Polsce nie pokaże.

Helikoptery krążyły po niebie, terkot ich silników przeszkadzał mu w myśleniu. Może zresztą był to ciągle jeden i ten sam śmigłowiec. Mniejsza o to.

Szaro już było, kiedy dotarł do umówionego miejsca w lesie. Z daleka dostrzegł zaparkowane samochody i dwóch mężczyzn, rozłożonych niedbale na trawie. Jedli coś, popijając z termosów. Dosłyszeli szum silnika, podnieśli się z miejsc i uważnie patrzyli na niebieskiego Fiata. Potem poznali swego przywódcę, który wysiadał z wozu i zbliżyli się do niego z uśmiechem powitania.

– Wszystko w porządku? – spytał, podając im rękę. Mówił po polsku, ze względu na Wocha, który nie znał niemieckiego.

Kopeć odparł, że tak. Jechali bez przeszkód, żadnych policyjnych kontroli po drodze. Woch widział Zintaua po raz drugi dopiero, był więc trochę skrępowany, zwłaszcza że natychmiast stanęła mu przed oczami ich jedyna, a taka przykra rozmowa. Nie przypuszczał nigdy, że Niemiec zna tak dobrze przyczynę, dla której Woch musiał uciec z domu, wiele lat temu. I która, gdyby znały ją organa ścigania, jeszcze dzisiaj zaprowadziłyby go do więzienia albo tam, skąd nie ma już powrotu.

Zintau jednakże tak jakby nie pamiętał o tamtej rozmowie, przywitał się z nim prawie przyjaźnie i poczęstował cygarami. Usiedli potem w trójkę na kocu, skwapliwie rozesłanym przez leśniczego, z zapasów, jakie przywieźli, złożyli kolację. Noc już nadeszła i każdej chwili powinien nadjechać Barańczak.

Zjawił się po godzinie, podniecony perspektywą tego, co miało się rozegrać w pałacu, trochę niepewny, jak to zrobią, czy wszystko się uda. Pomocnika mistrza udało im się spać. Leżał teraz w pokoju i chrapał twardo. Łukawski przygotował w piwnicy narzędzia, sznury do wyciągnięcia skrzyń i latarki.

– Czy dokoła pałacu chodzi w nocy jakiś stróż albo wartownik? – spytał Zintau.

– Nie – odparł Barańczak. – Kierownik z księgowym wyjechali na dwa dni. Tamci ludzie dziś porozłazili się, po wsi, ale na noc wrócą do pawilonu. „Alfa” będzie na nas czekał na tyłach parku i uprzedzi, w razie czego.

– Podjedziemy tylko dwoma samochodami – rozkazał Zintau – moim i pańskim – zwrócił się do Barańczaka. – Warszawa tu zostanie, nie ma skrytki. Ale poczekamy do północy.

\*

Cisza panowała taka, że słyhać było śpiew słowika w krzakach obok stawu. Pracownicy ZARB-u powrócili już dawno do pawilonu i spali snem sprawiedliwego. Dwa samochody zahamowały za parkanem, prawie niewidoczne w cieniu wysokich, starych drzew. Czterech mężczyzn wysiadło z wozów, w parku dołączył do nich piąty. Szli powoli, ostrożnie, rozglądając się i nasłuchując, ale nie działo się nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenie.

Przed wejściem do piwnicy Zintau rozkazał szeptem:

– „Beta” pozostanie na górze, w razie czego będzie alarmował. A my, idziemy!

Łukawski i Barańczak szybko uporali się z usunięciem tego, co maskowało ślad zamurowania skrzyń. Potem mocnymi uderzeniami młotka, stłumionymi przez szmatę, którą narzędzie było owinięte, Łukawski rozbił mur. Wszedł do drugiej piwnicy i zrobił to samo z prowizoryczną ścianą, zasłaniającą skrzynie.

– Czekaj! – powiedział Zintau. Jego też ogarnęło podniecenie. Z pewnym trudem przecisnął się przez otwór i długą chwilę przyglądał się dwóm szarym, metalowym przedmiotom. Wreszcie wycofał się i skinął na Wocha. – Wyciągajcie!

Leśniczy przerzucił przez otwór sznury. Łukawski złapał jeden koniec, omotał nim pierwszą skrzynię i umocował na uchwytach po obu jej stronach. Potem zrobił to samo z drugą.

– Gotowe! – zawołał. I spróbował popchnąć skrzynię, ale nie drgnęła nawet. – Ciężka, jak cholera!

Woch zapał się nogami, napiął mięśnie, zaczął ciągnąć. Barańczak chwycił sznur trochę dalej, również wyteżył siły. Rozległo się szuranie, pierwsza skrzynia przesunęła się w stronę otworu. Zintau, przyglądając się temu, pomyślał, że w każdej powinno być co najmniej ze sto kilo platyny. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Kiedy skrzynie były już w pierwszej piwnicy, przysiedli i oddychali ciężko. Woch zmierzył wzrokiem schody, zmarszczył czoło.

– Najgorzej pod górę – mruknął. – Może się obsunąć na nogi.

– Dwóch będzie ciągnąć, trzeci popcha z tyłu – zdecydował Niemiec.

Łukawski popatrzył na niego, splunął i powiedział z zaciętością w głosie:

– Dwóch z góry i dwóch z dołu. Dwóch, panie Zintau! Pan też ma ręce.

Zintau poczerwieniał z gniewu, ale nic nie odrzekł. Ciągle jeszcze byli mu potrzebni, sam nic by tu nie zrobił. Posłusznie schylił się i wraz z Łukawskim zaczął pchać skrzynie po schodach. Szło im to wolno, metalowe pudła były diabelnie ciężkie i śliskie, sznury wpijały się w dłonie, w dodatku schody piwniczne – strome i wąskie – nie nadawały się do takich operacji.

Wreszcie jednak dotarli na sam szczyt. Położyli obie skrzynie na podłodze u wejścia, sapali i ocierali pot z twarzy. Kopeć pojawił się w ciemności. Był jakiś niespokojny.

– Ciągle mi się zdawało, że ktoś jest w tych krzakach – szepnął do Barańczaka. – Tak jakby się ruszały liście...

Barańczak popatrzył, wzruszył ramionami.

– Wiatr się zrywa, to się liście ruszają – burknął. – Nie zawracaj głowy, wszyscy śpią. Jak my to zatargamy do wozów? – zwrócił się do Zintaua. – Ręce mdleją.

– Może podjechać pod pałac? – zaproponował Łukawski.

Zintau zastanawiał się chwilę. Uspokoiła go cisza, wciąż panująca dokoła. Zgodził się, w końcu to było rzeczywiście najlepsze wyjście. Barańczak i Łukawski zniknęli w ciemności, a po paru minutach przed pałac cicho zajechały dwa samochody. Znowu wzięli się wszyscy do dzwigniania.

Ale kiedy ręce mieli zajęte skrzyniami, nagle oślepiły ich mocne światła reflektorów, Ze wszystkich stron ukazały się nieznane sylwetki, niektórzy byli w mundurach, inni po cywilnemu. Czyjś drwiący głos zapytał:

– A dokąd to, panowie?...